

*Pasjonująca lektura
o kondycji naszych
sąsiadów Niemców
w XX wieku*

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI



BARTOSZ T. WIELIŃSKI

ŻŁI NIEMCY

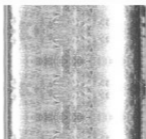
ZBRODNIARZE, GENIUSZE,
FANATYCY, WIZJONERZY

ale historia



BARTOSZ T. WIELIŃSKI

ŹLI NIEMCY



Redakcja
Piotr Głuchowski

Korekta
Marta Śliwińska

Konsultacja merytoryczna
Prof. Arkadiusz Stempin

Fotoedytor
Sylwia Tukendorf

Zdjęcie na okładce
Rama/Wikimedia Commons

Projekt graficzny okładki i makiety oraz skład
Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Przygotowanie zdjęć do druku
Michał Odolczyk

Fotografie
Getty Images/Gallo Images Poland, DPA/AFP/East News, AP/East News,
Muzeum Niepodległości/East News, Instytut Pamięci Narodowej, ullstein
bild/BE&W, Sueddeutsche Zeitung Photo/Forum, Akg/East News, Klaus
Mehner/BE&W, DEUTSCH Jean-Claude/BE&W, Deutsches
Bundesarchiv/Wikimedia Commons

Producenci wydawniczy
Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

Koordynacja projektu
Magdalena Kosińska

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

- © Copyright by Bartosz T. Wieliński 2014
- © Copyright by Agora SA 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone
Wydanie elektroniczne Warszawa 2014

ISBN: 978-832-681-667-3 (epub);978-832-681-668-0 (mobi)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Od autora

Fritz Haber

Za cesarza i Vaterland
Jak wykarmić planetę
Profesor przerywa front
Ostateczne zastosowanie
Haber w każdym z nas

Wilhelm II

Kraj nauki i dostatku
Wychowanek Bismarcka
Młody arystokrata i rozkosze łoża
Przykręcona śruba i głowa
Nowi Romeo i Julia
Wiadomość w papierośnicy
Adolf Hitler idzie na front
Plan Schlieffena nie wypala
Ucieczka do Holandii
Hitlerowcy i arystokraci
Ostatnie dobre wieści

Johann Reichhart

Kat z rodziny katów
Nikt już nie wielbi kata
Najtrudniejsza egzekucja
Złote czasy dla katów
Kat starej daty ma nowe zadania

Gilotyna ponad wszystko
Mentor amerykańskiego kata
Na finansowym dnie

Amon Göth

Tata był bohaterem
Mony, syn Amona
Kat Lubelszczyzny i Krakowa
Dziedzictwo Moniki
Jak ubiera się komendant
Zabawy w willi Götha
Więzień obozu w Dachau
Co myśli Monika Hertwig?

Eva Justin

Krew włóczęgów
Cyganów do obozów!
Ich potomstwo nam niepotrzebne
Ja decyduję, kto jest Cyganem
Porajmos – cygańska zagłada

Herbert von Karajan

Mistrz dba o publicity i o kasę
Szukając pracy
Cudowne dziecko boi się porażki
Zazdrość Furtwänglera
Czy Karajan był antysemitą?
Poszukiwany przez Gestapo
Dyrygent zrehabilitowany

Friedrich Paulus

Awans przed klęską
Stalingradzki Leonidas w niewoli
Pan feldmarszałek wraca
Gdyby skapitulował w grudniu...
W Komitecie Wolne Niemcy
Świadek Norymbergi
Patron czcicieli Hitlera
Bezużyteczny i sparaliżowany

Wernher von Braun

Daliśmy radę, mein Führer!
Tajny doktorat
Chcemy się z bratem poddać
Co począć z von Braunem?
Gdyby nie Gagarin...
Zbrodnie w Mittelbau-Dora
Księżyc wzięty, Sowietci z tyłu
Mars musi czekać

Otto Skorzeny

Bohater z Jugosławii
Komandos z powołania
Mussolini w potrzebie
Legendarna akcja „Dąb”
Operacja „Pancerna pięść”
Najniebezpieczniejszy człowiek Europy
Wojny ciąg dalszy
Nowi pracodawcy Ottona
Nazista do końca

Wolfgang Vogel

Abel za Powersa i Pryora
Niemcy za marki i surowce
Z detalisty hurtownik
Ile za doradcę kanclerza?
Jak uwolnić Sacharowa?
Zaufany Honeckera
Winny i niewinny

Horst Herold

Porwanie kapitalisty
Emeryt ze smartfonem
Norymberski policjant stawia na komputery
Akcja w czytelni i narodziny RAF
Operacja „uderzenie w wodę”
Zabójstwo w Karlsruhe
18 października 1977 r.

Werner Stiller

Wyjście przez służbę
Egzamin za lipną granicą
Nazywam się Werner Stiller...
Imperium Ericha Mielkego
Kobieciarz i zdrajca
Amerykanie po Francuzach
Kryptonim „Szakal”
List z domu wariatów
Z pomocą brata
Zaczyna się polowanie
Polska odyseja Ursuli
Powrót do Niemiec

Gerd Heidemann

Historię III Rzeszy trzeba pisać na nowo
Przepustka do byłych nazistów
Pamiętnik – enerdowski ślad
Pilny słuchacz nazistów
Samolot rozbity w NRD
Wszyscy liczą miliony
Wątpliwości zostają odrzucone
Na miarę Watergate
Jak można było?

Margot Honecker

Młodsza i piękniejsza
Wzorowa, socjalistyczna para
Margot daje Niemcom szkołę
Terapia szokowa
Margot i Wolf
Osaczeni w Lobetal
Socjalizm jeszcze powróci

Josef Scheungraber

Stary człowiek i sąd
Masakra w Falzano
Szafa hańby otworzona

Honorowe obywatelstwo za szczególne zasługi
To nie temat do rozmowy
Cicha Pomoc byłym nazistom
Polskiemu księdzu jest przykro
Wyrok: dożywocie

Heinz Reinefarth

W mieście coś się zmienia
Zadaliśmy ćwierć miliona strat
Brunatne bagno Szlezwika-Holsztynu
Philipp Marti i e-mail z Wrocławia
Wyspa dobrobytu
Pod ochroną CIA
Tablica na ratuszu

Bibliografia

Publikacje zwarte
Źródła internetowe
Filmy

Od autora

- Ilu ludzi pan zabił? - wiosną 2010 r. zapytałem o to 89-letniego Samuela Kunza, weterana SS i strażnika w niemieckim obozie zagłady w Bełżcu. W 1942 r. Niemcy zamordowali tam pół miliona osób. Kunz był podoficerem, nadzorował ukraińskich strażników, którzy zapędzali Żydów do komór gazowych. Jak każdy esesman służący w tej fabryce śmierci miał na rękach krew tysięcy ludzi.

To jedyny Niemiec z przeszłością zbrodniarza, z jakim udało mi się porozmawiać. O ile tę wymianę zdań można nazwać rozmową. Ja pytałem, Kunz łodowatym głosem odpowiadał, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

Mimo to chciałem szerzej opisać jego historię. Kunz był volksdeutschem osiadłym od pokoleń nad Wołgą. Wojnę zaczął w mundurze Armii Czerwonej. Gdy dostał się do niemieckiej niewoli, przeszedł na stronę III Rzeszy. Po przeszkoleniu w obozie SS w Trawnikach pod Lublinem wysłano go do Bełżca. Został podoficerem, bo mówił po niemiecku. Po 1945 r. w zachodnich Niemczech w spokoju pracował do emerytury jako urzędnik państwowy - w tamtej rzeczywistości nie było to jednak nic nadzwyczajnego.

Kilka miesięcy po tym, gdy się z nim skontaktowałem, esesman zmarł. Niemieckiej prokuraturze zabrakło czasu, by wytoczyć mu proces. Dlatego w tej książce nie ma opowieści o życiu Samuela Kunza.

Opisałem więc 16 innych osób o różnie obciążonych życiorysach. To książka o szaleńcach i ludziach wielkiej wiary. Zbrodniarzach i gorliwych wykonawcach rozkazów. Oportunistach i wizjonerach. Ludziach w większości z drugiego planu, którzy tworzyli światową historię.

Można by długo wymieniać nazwiska Niemców, którzy w historii ludzkości zapisali się złotymi zgłoskami: naukowców, pionierów lotnictwa i motoryzacji, artystów, politycznych wizjonerów, męczenników, takich jak Sophie i Hans Schollowie. O nich napisano już - i słusznie - grube tomy.

Mnie zafascynowali ludzie, którzy pogubili się w zaułkach XX-wiecznej historii.

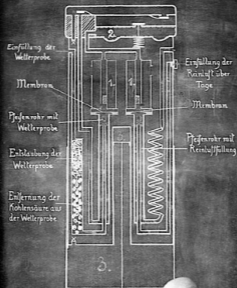
Oczywiście można by też spisać losy „złych” Polaków, Francuzów, Brytyjczyków czy Rosjan. Ale żaden naród nie miał w XX w. takiego wpływu na losy świata jak Niemcy. Dlatego ta książka jest o nich.

Die Hauptteile der Konstruktion
sind:

1) die beiden Pfeifen, rechts
für Luft, links für Welter

2) der Druckregler

3) die Pumpe.



Die Pumpe ist teilweise ausgetrennt.

Die Rohrkalzen x sind verbunden.

Haber podczas wykładu.

Fritz Haber

Einstein nazwał go ofiarą nieodwzajemnionej miłości do własnego kraju

Chmura, która rankiem zawisła nad poligonem w Beverloo, przerażała. Rosła jak wielki grzyb. Najpierw nad ziemią zaczęły się unosić pojedyncze kłębki. Z każdą minutą było ich więcej, gęstniały, aż w końcu zlały się w obłok, który zaczął się przesuwac. Miał okropny kolor. Był żółty o lekko zielonkawym odcieniu.

Obserwującym to zjawisko niemieckim żołnierzom widok przypominał arabskie bajki o uwolnionym z butelki dżinie. Było w tym trochę racji. Wielki dżin wyłonił się z tysięcy stalowych cylindrów. Niemieccy szeregowi bali się, ale obecni na poligonie oficerowie sztabu generalnego patrzeli na pełzający po ziemi żółty twór z fascynacją.

Nie wolno się było do niego zbliżac ani stać na jego drodze. Zakaz nie dotyczył tylko dwóch mężczyzn, którzy wjechali w chmurę na koniach, a po chwili zniknęli w jej wnętrzu.

Chwilę później dało się słyszeć końskie rzenie. Gdy obłok po kilku minutach wypłuł dwóch śmiałków, z trudem trzymali się w siodłach. Byli trupio bladzi, gdy z pomocą żołnierzy schodzili z ledwo żywych wierzchowców. Nie mogli iść o własnych siłach. Trzeba było ściągać felczerów z noszami. Dla świadków stało się jasne, że gdyby spędzili w chmurze kilka minut dłużej, potrzebne byłyby nie nosze, lecz trumny.

Obecni na miejscu generałowie wcześniej mieli posępne miny. Ale gdy chmura przeszła, nie kryli zadowolenia. Śmiałkowie zresztą też. Był ranek 2 kwietnia 1915 r. Na poligonie w Beverloo w okupowanej przez Niemcy Belgii po raz pierwszy przetestowano na ludziach broń, która miała zapewnić

kajzerowi zwycięstwo w wielkiej wojnie. Był nią gaz. Chlor.

Płk Max Bauer, 46-letni wysoki rangą oficer sztabu generalnego, w chmurę wjechał w poczuciu obowiązku. Pracował przy wynalazkach, które miały zrewolucjonizować wojnę: przy wielkiej haubicy Gruba Berta, która kruszyła najgrubsze mury belgijskich i francuskich twierdz, i przy miotaczach płomieni, które miały torować niemieckim żołnierzom drogę przez francuskie okopy. Gaz był kolejną pozycją na liście pułkownika. Bauer chciał na własnej skórze i płucach sprawdzić jej działanie. Towarzyszący mu starszy o rok mężczyzna nosił wprawdzie mundur, ale formalnie był cywilem. Mimo to w chmurę gazu pocwałował bez wahania. Bo pomysł, żeby na polach bitew używać właśnie chloru, wyszedł od niego. – Nawet nie było to takie straszne – tak opisał potem swoje wrażenia.

Nazywał się Fritz Haber. Był okrytym sławą profesorem chemii. Nie wiedział, że od tego dnia będzie uznawany za zbrodniarza.

Na liście substancji, do których wynalezienia profesor Haber przyłożył rękę, były też białe tabletki produkowane w starej cukrowni w Dessau w środkowych Niemczech. 2 września 1941 r. esesmani rozsypali je na podłodze piwnicy w bloku 11 w KL Auschwitz. Na twarzach mieli maski gazowe. Piwnica była zaś zatłoczona. Zapędzono do niej 600 radzieckich jeńców wojennych i 250 chorych polskich więźniów. Drzwi i okna wcześniej uszczelniono kitem i ziemią. – Będziemy was odwyszawiać – mówili Niemcy, wysypując tabletki z kilogramowych puszek. Na ich etykietach widniał napis: „Gaz trujący cyklon B”

– Gaz, gaz! – krzyčeli więźniowie, gdy esesmani wyszli, a piwnice wypełniły się gryzącymi oparami. Tłum zaczął napierać na drzwi, by je sforsować – bezskutecznie. Otwarto je dopiero 4 września. Gdy okazało się, że niektórzy więźniowie jeszcze żyją, członkowie SS dosypali więcej tabletek. Dzień później rozpoczęto wynoszenie ciał do krematorium. Pierwsze, próbne użycie cyklonu B do masowego mordowania zakończyło się powodzeniem. Fritz Haber nie tak wyobrażał sobie zastosowanie tej substancji. Do dziś słycać jednak głosy, że jest współwinny Holocaustu.

– Był wielkim naukowcem, ale jego patriotyzm był przesadny – celnie podsumowywał go po latach wybitny amerykański historyk niemieckiego pochodzenia, był Profesorem na Institute for Advanced Study Princeton – Fritz Stern, chrześniak chemika.

Tragedia Fritza Habera polegała na tym, że tak bardzo kochał Niemcy.

Za cesarza i Vaterland

Rok 1886. – Patrzcie, tak zaczynają pijacy – mówi Siegfried Haber na widok skacowanego syna. 18-letni Fritz właśnie ze świetnym wynikiem skończył Johanneum, elitarne wrocławskie gimnazjum. Odebrał świadectwo i poszedł z kolegami świętować pierwszy w życiu sukces. Wypił za dużo. Dla ojca, który prowadził we Wrocławiu sklep z tkaninami i farbami, zawiany syn na ulicy oznaczał plotki wśród sąsiadów i wytykanie palcami. Siegfried Haber był typowym drobnomieszczaninem. Poza tym jego stosunki z Fritzem nie były najlepsze. Od samego początku.

Trzy miesiące po narodzinach chłopca jego piękna matka Paula zmarła w wyniku komplikacji. Ojciec był zrozpaczony. O śmierć ukochanej kobiety obwinał właśnie syna – i nigdy mu nie wybaczył.

Od małego było widać, że Fritz zajdzie daleko. W szkole szło mu doskonale, miał niezwykły dar do przemawiania. Błyskawicznie opanował grekę. Chemii w szkolnym programie nie było, więc pierwsze eksperymenty przeprowadzał w domu ciotki. Ta dziedzina wiedzy go fascynowała – tym bardziej że w drugiej połowie XIX w. chemiczne odkrycia następowały jedno za drugim, a chemików traktowano jak herosów.

Był przy tym niespokojnym duchem. W szkole ciągle chciał osiągnąć więcej, by zaimponować ojcu. Nadaremno.

– Muszę się stąd wyrwać – mówił koledze z gimnazjum. Ale ojciec nie zamierzał płacić za jego studia, ponieważ chciał, by syn stanął za ladą w rodzinnym sklepie. Dopiero brat niezującej matki uznał, że Fritz nie może się marnować jako sprzedawca, i zapłacił czesne najpierw za studia na renomowanym uniwersytecie w Heidelbergu, później w Berlinie.

W 1888 r. Fritz założył pruski mundur i rozpoczął jednoroczną służbę w 6. pułku artylerii polowej.

Poborowi w niemieckim wojsku nie mieli łatwo, ale Haber był zachwycony. Imponowały mu siła i pewność siebie, jakie były z pruskich wojskowych. Dowódcy szybko to odkryli i postanowili z Habera zrobić oficera. W kajzerowskich Niemczech oficerowie stanowili osobną kastę. Młody chemik był wniebowzięty. Doskonale zdał wojskowe egzaminy, ale oficerskich dystynkcji nie otrzymał. Był bowiem Żydem.

Habera bardzo to dotknęło. Przecież był, jak wielu niemieckich Żydów, patriotą. Służbę państwu traktował jako obowiązek. Do religii nigdy zaś nie przywiązywał większej wagi. A mimo to...

W naukowej hierarchii, pewnie z tego samego powodu, też piął się

powoli. Obroniwszy doktorat, pisał podania o przyjęcie do renomowanych laboratoriów chemicznych, szukał pracy w przemyśle, ale zajęcia, które by go satysfakcjonowało, nie znalazł. Wrócił więc do pracy u ojca. Niestety, wyleciał i stamtąd, bo zupełnie nie miał smykałki do biznesu. A do tego grał ojcu na nerwach, snując wizję, jak to mieszane w laboratoriach sztuczne barwniki wyprą te naturalne, którymi Haber senior handlował od lat.

W końcu dostał zajęcie na podrzędnym uniwersytecie w Jenie. Choć był doktorem chemii, pracował jako „przynieś, podaj, pozamiataj”. Przygnieciony tyłoma porażkami załamał się nerwowo. Kilka miesięcy dochodził do siebie w sanatorium.

– Żydzi muszą pracować ciężiej. To nas mobilizuje – mówił później. W 1893 r. ochrzcił się i został protestantem. Był to wybieg, dzięki któremu przeszkoda na drodze do wielkiej kariery w jakiś sposób została usunięta. Jego ojciec, ortodoksyjny Żyd wywodzący się z chasydzkiej rodziny o wielowiekowych tradycjach, uznał syna za zdrajcę.

Jak wykarmić planetę

– Krople! Lecą krople! – krzyczy rozentuzjasmowany Haber do swoich asystentów. Jest koniec lipca 1909 r. Z dwóch połączonych rurkami stalowych cylindrów stojących w laboratorium ufundowanym przez koncern BASF (Badische Anilin und Soda Fabrik, czyli Badeńską Fabrykę Aniliny i Sody) bije żar. W ich wnętrzach znajduje się mieszanka gazów, rozgrzana do 600 stopni i pod ciśnieniem ponad stu atmosfer. A z rurki, która znajduje się na końcu tej instalacji, zaczyna spadać do pojemnika ciecz o charakterystycznym ostrym zapachu. Kropli nie jest wiele, ledwie centymetr sześcienny, ale to wystarcza, by Haber triumfował. Ciecz to syntetycznie uzyskany amoniak, związek cząsteczki azotu i trzech cząsteczek wodoru. Substancja, która uratuje świat.

Już w 1798 r. brytyjski ekonomista Thomas Robert Malthus przestrzegwał, że ludzie mnożą się zbyt szybko, a globalna katastrofa jest nieunikniona. Kolejne pokolenia nie będą się w stanie wyżywić. Rolnictwa nie można przecież rozwijać bez końca. Kiedyś zabraknie terenu pod nowe uprawy, a stare pola się wyjałowią. Wówczas – prognozował Malthus – zacznie się horror. Miliony ludzi po prostu umrą z głodu.

40 lat później niemiecki chemik Justus von Liebig odkrył, że rośliny

można pobudzić, by dawały większe plony, jeśli glebę zasili się odpowiednimi substancjami chemicznymi. Tak narodziły się nawozy. Dotąd rolnicy posypywali pola wydobywanymi w kopalniach solami potasowymi albo mielonymi ludzkimi kośćmi, które gangi wykradały z cementarzy. W USA na nawóz mielono kości bizonów. Innym stosowanym nawozem była gnojowica. Ale najlepsze efekty uzyskiwano wtedy, gdy podawano jeszcze bogatsze w azot. Wybór jednak nie był wielki. Nawożono albo ściągającym z atoli Pacyfiku guanem, albo saletrą zawierającą azotan sodu wydobywaną na pustyni Atakama w Ameryce Południowej. Chile, które siłą zagarnęło Peru i Boliwii bogatą w saletrę pustynię, na jej eksporcie zarabiało krocie. Na przełomie XIX i XX w. statkami do Europy wysyłano setki tysięcy ton saletry rocznie.

Tyle że zasoby guana i saletry wyczerpywały się, a zapotrzebowanie na zawierające azot nawozy rosło. Na kontynencie od dziesięcioleci trwała rewolucja przemysłowa, miasta zamieniały się w metropolie, wsie w kilkanaście lat stawały się miastami. W ciągu dwóch stuleci liczba mieszkańców Europy zwiększyła się czterokrotnie, ze 100 mln w 1700 r. do 400 mln w 1900. A rolnictwo nie nadążało za zmianami. Współcześni Haberowi naukowcy przewidywali, że zapowiedziana przez Malthusa katastrofa wydarzy się około 1930 r.

Rozwiązanie problemu wydawało się proste. Przecież azot nie jest rzadkim pierwiastkiem. Stanowi 78 proc. powietrza. Wystarczy go odseparować... Ówczesni naukowcy próbowali więc w laboratorium uzyskać te same efekty, jakie daje uderzenie pioruna, który dzięki wysokiej temperaturze wytrąca z powietrza azot. Tyle że taka metoda wymagała olbrzymiej ilości energii. Inny sposób zakładał uzyskanie azotu w toku skomplikowanych reakcji chemicznych. Ale to było za drogie. Aby rozpocząć produkcję związków azotu na skalę przemysłową, potrzebne były proste i tanie rozwiązania.

Haber, jak kilku naukowców przed nim, postawił na amoniak. Na papierze reakcja syntezy między tworzącymi związek atomami azotu i wodoru wyglądała prosto. Ale zmieszane ze sobą gazy łączyły się tylko w wysokiej temperaturze. Rozdzielały się, gdy je schładzano.

Haber badał ten problem na politechnice w Karlsruhe, gdzie przybył w 1894 r., by pracować w instytucie chemii fizycznej. Cztery lata później zdobył tam profesurę. Pieniądze na badania, sprzęt, asystentów: naukowców i mechaników, dostawał od koncernu BASF, który na produkcji amoniaku zamierzał zarobić miliardy. Haber pracował dzień i noc, na granicy załamania nerwowego. W sprawę angażował się tak bardzo, że dostał wysypki, cierpiał

na bezsenność i rozstrój żołądka.

Gdy inżynierowie BASF dowiedzieli się, w jak wysokich temperaturze i ciśnieniu Haber zamierza przeprowadzić reakcję syntezy, pukali się w czoło. W małych chemicznych reaktorach można było osiągać ekstremalne warunki, ale w przypadku olbrzymich instalacji przemysłowych było to trudne i niebezpieczne. Inżynierowie przypominali mu, że zbiorniki, w których ciśnienie podnoszono do kilku atmosfer, wybuchają, powodując olbrzymie zniszczenia. Ale Haber i wspierający go młody inżynier Carl Bosch, który miał przenieść jego odkrycie z laboratorium do chemicznych fabryk, wzruszali ramionami.

- Damy radę - zapewniali.

Kluczem do sukcesu był katalizator, czyli substancja, która umożliwia reakcję chemiczną, ale bezpośrednio nie bierze w niej udziału. Haber szukał jej długo. W końcu w reaktorze, w którym pod ciśnieniem znajdowały się wodór i azot, umieścił osm. W amoniak zamieniło się 8 proc. mieszaniny gazów. BASF był jednak niezadowolony z efektów. Osm był bowiem niezwykle rzadkim i przez to bardzo drogim metalem. Chemik sięgnął więc po bardziej dostępny uran, osiągając jeszcze lepsze rezultaty. Później katalizator wielokrotnie zmieniano. Dziś amoniak uzyskuje się dzięki magnetytowi, czyli rudzie żelaza, którą poddaje się odpowiedniej obróbce.

„Stworzył z powietrza chleb” – pisała o odkryciu Habera niemiecka prasa. BASF już w 1913 r. zbudował w Ludwigshafen pierwszą fabrykę amoniaku, z którego wytwarzano nawozy. Szacuje się, że dzięki nim wydajność rolnictwa wzrosła czterokrotnie. Do globalnej katastrofy nie doszło, choć od 1909 r. Ziemi przybyło kolejne 5 mld mieszkańców.

Haber, dzięki swojemu odkryciu, zdobywa to, o czym marzył. Staje się sławny i wchodzi do naukowej elity Niemiec. Zostaje szefem berlińskiego Instytutu Chemii Fizycznej im. Cesarza Wilhelma, najbardziej prestiżowej placówki naukowej w kraju. Koledzy traktują go jednak dość chłodno. Haber, jeszcze zanim wynalazł proces syntezy amoniaku, uchodził za niezważającego na konwenanse besserwissera. Wielu naukowców zazdrościło mu samozaparcia, bo zgłębiając nowe odkrycia, siedział nad książkami do późnej nocy. Zajmował się wieloma dziedzinami chemii naraz. Nie pasował do statecznych profesorów badających przez całe życie jedno zagadnienie. Dlatego był outsiderem. Wśród najważniejszych uczonych epoki miał jednak przyjaciół. Jednym z nich był młodszy o 11 lat fizyk Albert Einstein. Haber był przekonany, że kolega ma przed sobą wielką przyszłość. Einstein był nim zafascynowany, choć po cichu zazdrościł mu sławy.

Chemik spał na milionach. Za każdy kilogram wyprodukowanego według

jego metody amoniaku dostawał 15 fenigów, czyli tyle, ile wówczas kosztował litr mleka. Produkcja substancji dochodziła zaś do tysiący ton. Haberowie mieszkali w pięknej willi w Karlsruhe, mieli służbę. Obiady jadali na złotej zastawie. Profesor miał też gest. Nie żałował pieniędzy pracownikom swojego laboratorium – ubierał ich od stóp do głów, a ich dzieciom kupował prezenty. Wspierał młodych naukowców.

Jego żona Clara Immerwahr nie była jednak szczęśliwa. Wyobrażała sobie, że jej związek ze starszym o dwa lata naukowcem (pobrali się w 1901 r.) będzie czymś takim jak polsko-francuskie małżeństwo noblistów Marii i Piotra Curie, kochających się badaczy, którzy wspólnie odkryli nieznanne pierwiastki: rad i polon. Clara też była zafascynowana chemią. Nie tylko skończyła studia, ale również jako pierwsza Niemka zrobiła z chemii doktorat. Haber obiecał jej wspólną pracę nad syntezą amoniaku na uniwersytecie w Karlsruhe. Ale jego przełożonym i kolegom widok kobiety w laboratorium zupełnie nie odpowiadał. Dochodziło do awantur, a Haber coraz rzadziej stawał w obronie żony. Gdy wyjechał w podróż, rektor politechniki zabronił Clarze wstępu na uczelnię. Kobieta wpadła w furię, odwieziono ją więc do szpitala psychiatrycznego. Haber w ogóle na to nie zareagował. – Fritz w nieznośny sposób stawiał się na pierwszym miejscu w domu, w pracy i w małżeństwie. Nawet geniusz nie powinien się tak zachowywać – żaliła się kobieta. A prawdziwy dramat miał dopiero nadejść.

Profesor przerywa front

Po policzkach Fritza Habera płyną łzy. Chemik stoi przed cesarzem Wilhelmem II i nie potrafi opanować wzruszenia. Kajzer awansował go do stopnia kapitana. Odtąd profesor na pagonach nosi po dwa złote ćwieki. Jest kwiecień 1915 r. Awans jest nagrodą za udział w bitwie pod flandryjskim miastem Ypres. Haber osobiście nadzorował przeprowadzony tam atak gazowy.

Na to, by na pomoc ściągnąć chemików, płk Bauer wpadł już w pierwszym roku wielkiej wojny. Wówczas było jasne, że Niemcom nie uda się, tak jak przewidywał ich wojenny plan, w ciągu 90 dni zająć Paryża. Latem 1914 r. ofensywa utknęła na przedpolach francuskiej stolicy. A potem rozpoczęła się wojna pozycyjna, zachodnią Europę na cztery lata przeciął pas okopów ciągnący się od kanału La Manche po Szwajcarię. Podejmowane

zarówno przez Niemców, jak i żołnierzy Francji oraz Wielkiej Brytanii próby przebicia frontu skończyły się hekatombami.

Bauer powierzył kilku znanym chemikom zadanie odkrycia substancji, którą można by wytruć siedzących w okopach żołnierzy wroga. Ale mieszaniny, które proponowali, nie nadawały się do użycia w boju. Zbyt szybko się rozwiewały, by zadziałać, albo były za mało toksyczne. Dopiero Haber wpadł na pomysł, by stworzyć mgłę chloru, którą wiatr zwiewałby na okopy wroga. Wprowadzał go w życie jako szef Centralnego Biura ds. Chemicznych przy Ministerstwie Wojny. Do dyspozycji miał oddział 1,4 tys. żołnierzy i oficerów. To w większości zdolni chemicy, których pościagał z frontów. Testy gazu prowadzili na poligonie pod Kolonią.

Haber do postawionego przez Bauera zadania podchodził z wielkim entuzjazmem. Choć szło o wynalezienie trucizny, uznawał to za swój patriotyczny obowiązek. – Podczas wojny naukowcy pracują dla ojczyzny – mówił. Jego koledzy żartowali, że z wielkiego chemika przeobraził się w wielkiego Niemca.

Działanie chloru testował na myszach, psach, małpach. U wszystkich zwierząt stwierdzał potem odmy płuc czy wewnętrzne krwawienia. Nie było wątpliwości, że ofiary gazu umierały w męczarniach. Mimo to Haber uważał, że broń chemiczna jest humanitarna. Bo mimo wszystko zabija szybko. – Dzięki gazowi skrócimy wojnę i uratujemy życie setkom tysięcy żołnierzy – mówił, gdy członek jego zespołu, późniejszy noblista Otto Hahn zaczynał mieć wątpliwości. Gdy wskazywał, że stosowania gazów bojowych zabrania konwencja haska o prowadzeniu wojny lądowej, Haber odpowiadał, że po chemię pierwsi sięgnęli Francuzi. Powtarzał krążącą od początku wojny plotkę. W rzeczywistości Francuzi sięgali, bez większych efektów, jedynie po gaz łzawiący. Aby zastosować chlor na taką skalę jak Niemcy, francuski przemysł chemiczny był za słaby.

22 kwietnia 1915 r. pod Ypres niektórzy żołnierze ententy z zaciekawieniem wyglądali z okopów nadciągającego żółto-zielonkawego obłoku. Chmura dymu miała 16 m wysokości, była szeroka na prawie 7 km. Dla 10 tys. ludzi miał być to ostatni widok w ich życiu.

To Haber osobiście dał rozkaz otwarcia 6 tys. pojemników z chlorem, upewniwszy się, że wiatr wieje z północnego wschodu, czyli tak, by zepchnąć zabójczy obłok na okopy, w których siedzieli noszący francuskie mundury Algierczycy oraz walczący po stronie Wielkiej Brytanii Kanadyjczycy. Działanie swojego wynalazku oglądał z bliska. Naukowiec w odróżnieniu od żołnierzy wojny się nie bał. Gdy nadlatywały artyleryjskie pociski, nie rzucał się na ziemię.

Francuscy dowódcy byli przekonani, że Niemcy opracowali jakąś nową formę zastony dymnej, która ma maskować ich natarcie. Wcześniej ich pozycje zbombardowały przecież niemieckie haubice. Kazali żołnierzom utrzymywać pozycje i szykować się do walki. Z okopów, które pokryła chmura, najpierw dobiegały odgłosy kaszlu, później charkotu i duszenia się. Żołnierze, tracąc dech w piersiach, próbowali osłaniać usta i nos ubraniami. Inni uciekali na oślep. Ci, którym się to nie udało, konali w okopach. Kaszleli krwią i błagali o wodę.

Chlor mieszał się z zawartą w powietrzu parą wodną, tworząc kwas solny, który parzył skórę i oczy. Wdychany wypalał od środka płuca. Gdy duszący się żołnierze sięgali po manierki, kwas dostawał się do ich żołądków, potęgując obrażenia. Haber dokładnie przyglądał się ofiarom. Triumfował – atak chlorem przeszedł najśmielsze oczekiwania. We francuskich liniach ziała sześciokilometrowa wyrwa, Niemcy nie potrafili jej jednak wykorzystać. Atak pod Ypres miał być testem nowej broni, a nie początkiem nowej ofensywy. Haber był wściekły. Gdyby niemieccy generałowie nie naciskali tak na niego, by testować gazy, gdyby zebrali odpowiednie siły i rzucili je w wyłom, to po kilku tygodniach mogliby być w Paryżu. A tak Francuzi i Brytyjczycy szybko wyrwę załatali.

W maju 1915 r. Haber wraca do Berlina. Świat już wie o ataku gazowym. Wie też, kto za nim stoi. Clara jest załamana. Odkąd wybuchła wojna, nie poznaje już swojego męża. Jest pacyfistką, a Haber patriotyczną żarliwością dorównuje pruskim generałom. Clara wyrzuca mu, że jest mordercą. Haber wzrusza ramionami. W końcu, jak to ma w zwyczaju, bierze dwie tabletki nasenne i idzie spać. Clara wyjmuje z kabury jego służbowy rewolwer. Strzela w powietrze, by sprawdzić, czy pistolet działa, potem przytyka lufę do piersi i pociąga za spust. Jej ciało znajduje syn Habera, 13-letni Hermann. Chemik wiadomość o śmierci żony przyjmuje bez emocji. Następnego dnia rusza na front wschodni. 30 maja 1915 r. Niemcy pod jego nadzorem stawiają chmurę chloru pod Bolimowem koło Sochaczewa. Jest dwa razy większa niż ta pod Ypres. Ginie 10 tys. rosyjskich żołnierzy.

– To cyniczne i barbarzyńskie pogwałcenie zwyczajów wojennych oraz konwencji haskiej – grzmi marszałek polny John French, dowódca brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego, którego żołnierze również walczyli pod Ypres. Jednak pół roku później Brytyjczycy także sięgają po gazy – podczas nieudanej ofensywy pod Loos. Rok później to samo robią w trakcie równie nieudanej ofensywy nad Sommą.

Gazy bojowe nie były w stanie doprowadzić do przełomu na froncie zachodnim. I to mimo, że do użycia wchodziły nowe substancje: duszący

fosgen, którego ofiary konały godzinami w męczarniach, oraz parzący iperyt. Doszło do tego, że nad okopami unosił się koktajl toksycznych gazów. Niemcy i ich przeciwnicy nauczyli się jednak przed tym bronić. Haber i jego zespół oprócz testowania gazu opracowali nowe modele masek przeciwgazowych. Podobnie było po drugiej stronie.

Chlor, fosgen i iperyt podczas całej wojny zabiły 90 tys. ludzi. Jeśli wziąć pod uwagę, że tylko podczas pierwszych kilku godzin ofensywy nad Sommą zginęło 60 tys. ludzi, nie jest to przerażająca liczba. Ale gaz budził powszechny strach. Żołnierze bardziej bali się pełzających po ziemi obłoków niż ostrzału z wielkich niemieckich haubic. W ich krajach gazy bojowe stały się symbolem okrucieństwa wojny i niemieckiego barbarzyństwa. Haber nie potrafił tego zrozumieć. – Ludzie oburzali się, gdy rycerzy zaczęto zabijać pociskami z karabinów, a teraz, gdy stosujemy na froncie broń chemiczną, reagują podobnie – mówił podczas odprawy z niemieckimi oficerami.

Gdy w listopadzie 1918 r. król Wilhelm II abdykował, a wojskowi podpisali rozejm, Haber był załamany. „Czuję się, jakbym się staczał z góry. Nie wiem, czy to przetrwam” – pisał do przyjaciela. Latem 1919 r. uciekł do St. Moritz w neutralnej Szwajcarii. Palił mu się grunt pod nogami. W Niemczech rozchodziło się wówczas coraz więcej plotek, że Anglicy i Francuzi będą sądzić kilkuset zbrodniarzy wojennych. Na liście miał być również Haber, ojciec gazów bojowych. Niemcy zaś w podpisanym w czerwcu 1919 r. kończącym wojnę traktacie wersalskim zobowiązały się przekazywać poszukiwanych. Na wygnaniu, by uniknąć rozpoznania, Haber zapuścił brodę. Posługiwał się sfałszowanym paszportem.

Mimo to odszukał go tam posłaniec Komitetu Noblowskiego, Haberowi przyznano bowiem Nobla za syntezę amoniaku. W Europie wybuchła awantura. Dwóch francuskich naukowców, którym również przyznano nagrody, odmówiło ich przyjęcia, skoro Nobla miał dostać zbrodniarz. Ceremonię wręczenia zbojkotowało wielu dyplomatów i laureatów z poprzednich lat. W swoim przemówieniu podczas uroczystości Haber o broni chemicznej nie zająknął się słowem.

Ostateczne zastosowanie

- Pamiętajcie numerki, na których wieszacie swoje ubrania. Im szybciej się

umyjecie, tym szybciej dostaniecie jedzenie. Na każdego czeka miska ciepłej zupy – członkowie Sonderkommando, specjalnego oddziału złożonego z więźniów Auschwitz, przekonują nowo przybyłych, by szybko rozbierali się i szli do łaźni. Nowi to ludzie, których lekarze z SS uznali na rampie za niezdolnych do pracy. Gdy wszyscy znikają za hermetycznymi drzwiami komory gazowej, której wewnątrz wygląda jak łaźnia, esesmani przez otwory w suficie wrzucają tabletki cyklonu. Cztery puszki wystarczały, by zabić tysiąc osób. Po 20 minutach jest po wszystkim. We wnętrzu komory cichną przeraźliwe krzyki duszących się więźniów. Członkowie Sonderkommando wyciągają wówczas pokryte ekskrementami ciała, w ruch idą kleszcze, którymi wyrywane są złote zęby. W końcu ofiary cyklonu znikają w czeluściach pieców krematoryjnych.

W komorach gazowych Auschwitz zginęło wielu krewnych Fritza Habera. Gdy w 1942 r. rozpoczęło się mordowanie ludzi cyklonem, chemik nie żył już od ośmiu lat. Ale bez jego udziału cyklon nie zostałby wynaleziony.

Jeszcze podczas pierwszej wojny zespół Habera zajmował się zwalczaniem szkodników: gryzoni i owadów, które pustoszyły magazyny z żywnością. Naukowiec znalazł antidotum – cyjanowodór, prostą, ale niezwykle toksyczną substancję blokującą oddychanie komórkowe. W czasie pierwszych próbnych gazowań okazało się jednak, że owady znoszą większe stężenia gazu niż szczury czy myszy. Po wojnie eksperymentami zajmowało się założone przez Habera Niemieckie Towarzystwo do Walki ze Szkodnikami (w skrócie Degesch, od Deutsche Gesellschaft für Schädlingbekämpfung). Już rok po założeniu opatentowało ono cyklon A, mieszaninę cieczy, które w kontakcie z zawartą w powietrzu parą wodną uwalniają cyjanowodór. Stosowana będzie w sadownictwie.

W 1922 r. Walter Heerdt, jeden ze współpracowników Habera, doskonalili cyklon. Zamiast w mieszaninie cieczy cyjanowodór zostaje ukryty w tabletkach z ziemi okrzemkowej. Nowa substancja dostaje nazwę „cyklon B”.

Haber wówczas nie zajmuje się już zwalczaniem szkodników. Całkowicie pochłaniają go eksperymenty nad uzyskiwaniem złota z morskiej wody. Chemik zamierzał w ten sposób pomóc w spłacie gigantycznych kontrybucji nałożonych po wojnie na Niemcy – Republika Weimarska musiała zapłacić 132 mld marek w złocie.

Haber znowu pracuje jak szaleniec. Wydaje się, że oceany to niewyobrażalne źródło kruszcu, kryją dziesiątki milionów ton złota, gdy z kopalni rocznie wydobywa się ich setki. Z eksperymentów, jakie Haber przeprowadził w laboratorium, wychodzi, że z tony wody można otrzymać 9 mg złota. Okazuje się jednak, że korzystał z zanieczyszczonych próbek.

Wystarczyło, by laborant włożył do naczynia z wodą dłoń, którą wcześniej dotknął pozłocanego zegarka, by przekłamać wyniki. W rzeczywistości kruszc w morzu jest kilkadziesiąt razy mniej, niż zakładał Haber. W 1926 r. sfrustrowany naukowiec porzuca badania.

Tymczasem cyklon B staje się w Europie głównym środkiem do zwalczania owadów. Stosuje się go do pozbywania się karaluchów z magazynów, zabijania pluskiew w wagonach kolejowych, usuwania insektów, które zagnieździły się pod pokładami transatlantyków. Jego nowatorskość polega na tym, że jest prosty w użyciu. Wystarczy w odpowiednim miejscu wysypać tabletki. A oprócz toksycznego gazu zawierają one bowiem drażniącą substancję, która ma zapachem ostrzegać przed wchodzeniem do pomieszczenia, gdzie trwa gazowanie. Dzięki temu pracującym z cyklonem ludziom nie grozi zatrucie. Dystrybucją mieszaniny zajmuje się m.in. należąca do Degesch firma Testa, którą z powodzeniem kieruje chemik Bruno Tesch, dawny asystent Habera. A Degesch staje się częścią IG Farben, największego wówczas koncernu chemicznego świata.

Pod koniec lat 20. puszki z cyklonem B płyną do USA i podbijają tamtejszy rynek. Produkcja substancji w rafinerii w Dessau, a później także w fabryce chemicznej w Kolinie w Czechach wynosi setki ton.

Haber w każdym z nas

Zanim w 1933 r. do władzy doszedł Adolf Hitler, Haber działał na wielu frontach: kierował Instytutem Chemii Fizycznej Cesarza Wilhelma, pracował w Pruskiej Akademii Nauk, zbierał fundusze na niemiecką naukę, prowadził w Europie kampanię, by niemieckich naukowców przyjąć do międzynarodowych organizacji, z których wyrzucono ich po wojnie. Wobec nowego rządu chciał być lojalny. Jeszcze w marcu 1933 r. głosował, tak jak większość kolegów, za usunięciem z akademii Einsteina, który wyjechał z Niemiec i przestrzegał świat przed nazistami. Ale gdy w kwietniu polecono mu usunąć z jego instytutu żydowskich naukowców, Haber postanowił nie czekać, aż naziści wyrzucą także jego. Sam zrezygnował.

Zagranicznej instytucji, w której mógłby się zakotwiczyć, szukał miesiącami. Nikt nie był jednak zainteresowany chemikiem o tak kontrowersyjnej przeszłości. W końcu wylądował w Cambridge, ale tamtejsi

naukowcy traktowali go z pogardą. Mieszkał w hotelach, jego fortunę w dużej mierze zjadła powojenna inflacja, a potem Wielki Kryzys. Zastanawiał się, czy na stałe nie wyemigrować do Wielkiej Brytanii. W takiej sytuacji jak każdy żydowski emigrant musiałby oddać III Rzeszy jedną czwartą majątku. Haber wprawdzie pieniądze trzymał w szwajcarskich bankach, więc mógłby po prostu zignorować przepisy. Ale nie chciał opuszczać ojczyzny z piętnem oszusta.

W 1933 r. chemik Chaim Weizmann, syjonista, późniejszy pierwszy prezydent Izraela, proponuje mu profesurę na tworzoną właśnie Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Haber rusza na Bliski Wschód, ale jego serce nie wytrzymuje zerwania z Niemcami. Noblista umiera w 1934 r., podczas postoju w Bazylei.

„Był ofiarą nieodwzajemnionej miłości” – pisał po śmierci przyjaciela Albert Einstein.

Tymczasem jednym z najważniejszych odbiorców cyklonu B zostaje stworzony w 1935 r. Wehrmacht. Pastyłki z cyjanowodorem służą do odswadzania odzieży. W podobnym celu środek zamawiają pierwsze powstające w Niemczech obozy koncentracyjne: w Dachau i Sachsenhausen.

Bruno Tesch, szef handlującej cyklonem Testy, osobiście uczy esesmanów, jak stosować preparat. W tym celu tysiące puszek preparatu wysyła także założonego w 1940 r. KL Auschwitz.

W 1941 r. SS-Hauptstürmführer Karl Fritsch, zastępca komendanta obozu Rudolfa Hössa, wpada na pomysł, by używać cyklonu do mordowania więźniów. Pierwsze gazowanie we wrześniu 1941 r. przeprowadza na własną rękę, gdy jego szef wyjeżdża do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy na spotkanie z Adolfem Eichmannem, głównym logistyką Holocaustu.

Walter Heerdt, twórca cyklonu B, podobnie jak Haber z ludobójstwem nie miał nic wspólnego. Został aresztowany przez Gestapo, które uznało go za wroga Rzeszy, bo „unikał partii nazistowskiej i nie używał nazistowskiego pozdrowienia”. Ale Tesch doskonale zdawał sobie sprawę z tego, do czego stosowane są białe tabletki. Dowiedział się o tym podczas podróży służbowej do Auschwitz. Mimo to transporty puszek z cyklonem płynęły do obozu dalej. W Auschwitz tylko w 1943 r. zużyto go 13 ton. Po wojnie brytyjski sąd wojskowy wysłał Tescha na szubienicę.

A cyklon produkowano dalej, tyle że pod zmienionymi nazwami. NRD, w granicach której znalazła się rafineria w Dessau, sprzedawała preparat jako cyanol. Kupowała go m.in. kolej do dezynsekcji wagonów. W RFN handlowano cyanosilem. w Czechach – uraganem D2.

W 2000 r. prestiżowy miesięcznik naukowy „Nature” zaliczył Habera

do najważniejszych naukowców ubiegłego stulecia. 80 proc. azotu znajdującego się w tkankach każdego żyjącego na Ziemi człowieka pochodzi z roślin, które zasilano nawozami wytworzonymi dzięki procesowi odkrytemu przez Fritza Habera.



Wilhelm II

„Był niepoprawnym głupcem – charakteryzował go po latach Joseph Goebbels, szef nazistowskiej propagandy. Hitler ocenił kajzera nieco łagodniej

„Będąc pod głębokim wrażeniem kapitulacji Francji, pragnę pogratulować Panu i niemieckiemu Wehrmachtowi tego podarowanego przez Boga miążdżącego zwycięstwa” – 25 czerwca 1940 r. telegram o takiej treści nadszedł z holenderskiego miasteczka Doorn pod Utrechtem do Kancelarii Rzeszy. Nadawca depechy od prawie 22 lat mieszkał w wypełnionym bezcennymi dziełami sztuki piętrowym pałacyku. Uwielbiał otaczający budynek 60-hektarowy ogród i park. Spędzał tam długie godziny. Miał też nietypowy sposób na utrzymanie kondycji. Nie tylko spacerował po drózkach ze swoimi ukochanymi jamnikami, ale też regularnie chwycił za piłę lub topór i wycinał co dorodniejsze drzewa. Zwalone własnoręcznie pozbawiał gałęzi i ciął na mniejsze kawałki nadające się do palenia w piecu. Służącym polecił, by to, czego nie byli w stanie zimą zużyć w piecach, rozdawali mieszkańcom okolicy. Dlatego sąsiedzi dobrodusznie nazywali starszego mężczyznę „drwalem z Doorn”.

W miarę jak Europa leczyła rany spowodowane przez wielką wojnę, powoli zapomniano, że ćwierć wieku wcześniej o siwowłosym starszku pisano jak o krwiożerczym szaleńcu, który chciał pożreć świat.

80-letni Wilhelm II, żyjący na wygnaniu w Holandii obalony cesarz Niemiec, w Doorn się dusił. Cały czas czuł na plecach wzrok agentów holenderskiej policji. Bez zgody rządu w Hadze nie mógł wyjechać za płot rezydencji. A gdy już dostał zielone światło, w podróżach zawsze towarzyszył mu pułkownik holenderskiej żandarmerii. Wilhelm miał status internowanego,

tyle że, jednak sam za bardzo nie miał po co wyjeżdżać. Monarchę przyzwyczajonego do wielogodzinnych przemówień przed wielkimi audytoriami zapraszano co najwyżej do udziału w wiejskich akademiach, co było dla niego poniżające. Trwał w przekonaniu, że pobyt w małym pałacyku to sytuacja przejściowa. Że jeszcze wróci do wielkiej gry.

Wierzył, że umożliwi mu to Adolf Hitler.

Gdy 10 maja 1940 r. Niemcy napadły na Holandię, a trzy dni później do Doorn wkroczył Wehrmacht, kajzer serdecznie ugościł żołnierzy. Długo rozmawiał z ich dowódcą o sytuacji na froncie. Był rozentuzjasmowany. Niemieckie wojsko, błyskawicznie rozbijając Francuzów i ich sojuszników, osiągało sukcesy, których nie było w stanie osiągnąć pod jego dowództwem w czasie I wojny. Niemcy brali rewanż za klęskę w 1918 r. Już osiem miesięcy wcześniej, gdy Hitler napadł na Polskę, Wilhelm II kazał adiutantowi przynieść atlas Europy. Na mapie Polski czerwonymi i niebieskimi ołówkami – jak za dawnych czasów – zaznaczał ruchy wojsk. Czuł, że zaraz wybije jego godzina. To, co zrobi po powrocie do Poczdamu, zaplanował już dawno: zacznie od powołania nowych pułków; zlikwiduje też stajnie – cesarskie wojsko zamiast konno będzie się przemieszczać wyłącznie samochodami.

Kraj nauki i dostatku

- Był niepoprawnym głupcem – charakteryzował go po latach Joseph Goebbels, szef nazistowskiej propagandy. Hitler oceniał go nieco łagodniej. Mówił o nim, że był marionetką bez charakteru.

Jednak pod rządami Wilhelma II Niemcy kwitły – gospodarka rosła najszybciej w Europie, a przemysłowcy nie wykorzystywali robotników do cna, jak to miało miejsce w Wielkiej Brytanii czy we Francji. W Rzeszy nie było slumsów, w robotniczych osiedlach, które wyrastały w Zagłębiu Ruhry czy na Górnym Śląsku, żyło się zdrowo i wygodnie.

Niemieckie uniwersytety miały taką renomę, że wielu Brytyjczyków przedkładało je nad Oksford. W naukach ścisłych, inżynierii, architekturze Niemcy były na głowę renomowane brytyjskie uczelnie. A lekarze na Wyspach uczyli się niemieckiego. Musieli. W tym języku opisywano najnowsze medyczne odkrycia. Niemiecką nauką była archeologia – mityczną Troję odkrył przecież w 1873 r. Heinrich Schliemann. Graf Ferdinand von Zeppelin

w 1900 r. spełnił swoje marzenie i wzniósł się w powietrze na pokładzie statku powietrznego. Od 1910 r. sterowce wożą między niemieckimi miastami pasażerów i towary.

Epoka wilhelmińska była jak złoty wiek. Tylko cesarz był jakiś dziwny.

Niemieccy dyplomaci zastanawiali się, czy nie jest opętany przez złego ducha, a ich amerykańscy koledzy uważali, że jest crazy, czyli stuknięty. Brytyjcy karykaturzyści twierdzili zaś, że kajzer jest niebezpiecznym szaleńcem, który jest gotowy utopić Europę we krwi.

Wilhelm II demonstrował swoją potęgę. Uwielbiał wojsko, defilady, manewry, w których sam często brał udział, wchodząc w drogę wojskowym. Na co dzień nosił mundury, potrafił je zmieniać sześć razy dziennie. Gdy jadł pudding, zakładał uniform brytyjskiego admirała.

Lubił też wygłaszać długie, bombastyczne przemowy. Wściekał się, gdy doradcy zwracali mu uwagę, że osiągnie lepszy efekt, jeśli będzie mówić krócej. Zresztą krytyki w ogóle nie znosił. Uważał się za człowieka, który ma do wykonania mesjańską misję. Ilustrowały ją słowa szefa niemieckiej dyplomacji, późniejszego kanclerza Bernharda von Bülowa: „Niemcy domagają się swojego miejsca pod słońcem”.

Co gorsza, Wilhelm II uważał się też za doskonałego dyplomatę. Był zdania, że międzynarodowej polityki nie robi się za pomocą not i negocjacji – to monarchowie powinni brać sprawy w swoje ręce. Efekty jego działań prawdziwych dyplomatów jednak przerażały.

Kajzer nieustannie zapewniał, że chce żyć w pokoju i przyjaźni z Wielką Brytanią. Propozycjami antyfrancuskiego sojuszu zanudzał brytyjskich monarchów, z którymi był blisko spokrewniony – przez swoją babkę królową Wiktorię, wuja Edwarda VII i jego następcę Jerzego V. Ale jednocześnie gdy w 1896 r. Burowie odparli w południowej Afryce atak Brytyjczyków próbujących przejąć kontrolę nad ich bogatym w diamenty krajem, cesarz wysłał do ich przywódcy telegram gratulacyjny. W Londynie byli wściekli.

Wychowanek Bismarcka

W 1908 r. kajzer próbował pokazać się Brytyjczykom z lepszej strony, a dziennik „Daily Telegraph” opublikował z nim wywiad. Świat dowiedział się, że Wilhelm II jest przyjacielem Wielkiej Brytanii, tylko że Wielka

Brytania nie chce tej przyjaźni.

- Jesteście szaleni jak króliki w rui - mówił. A zaraz po tym proponował, by floty obu krajów współpracowały przy podporządkowywaniu sobie Dalekiego Wschodu. W Londynie otwierali szeroko oczy ze zdumienia. Nikt nie planował wspólnych podbojów z Niemcami.

Osiem lat wcześniej kajzer, żegnając żołnierzy mających tłumić w Chinach powstanie bokserów, czyli tajnego stowarzyszenia, które zorganizowało rebelię przeciw obecności cudzoziemców w Państwie Środka, zażądał, by byli bezlitośni jak Hunowie.

- Tępić bez pardonu, nie brać jeńców, kto wpadnie wam w ręce, niech ginie - pouczał wojsko. Te słowa zmroziły Europę. - Cesarz jest jak balon. Jeśli się go nie będzie trzymać mocno na sznurku, to polecą nie wiadomo gdzie - mawiał o Wilhelmie II Otto von Bismarck, żelazny kanclerz i faktyczny budowniczy Cesarstwa Niemieckiego.

To Bismarck politycznie wychowywał Wilhelma, zanim ten w 1888 r. wstąpił na tron. Miało to miejsce po zaledwie 99-dniowym panowaniu jego ojca cesarza Fryderyka III, który zmarł na raka krtani. Rok 1888 przeszedł do historii jako rok trzech cesarzy. Wilhelm miał wówczas 29 lat.

Zmarły cesarz Fryderyk uchodził za liberała. Bismarck starał się, by syn nie przejął tych poglądów. Zaszczepił mu niechęć do Reichstagu, katolików, innych narodowości i wielkomocarstwowe ambicje.

Młody arystokrata i rozkosze łoża

Niemcy cesarza kochali, a jednocześnie plotkowali na temat jego życia intymnego. Na pierwszy rzut oka wszystko było typowo pruskie. Życie na dworze upływało według ściśle określonych rytuałów, w określonych porach. Wiało nudą. Małżonka kajzera Augusta Wiktoria, która urodziła mu siedmioro dzieci, była dodatkiem do tronu. Jednak już w czasach, gdy Wilhelm był kawalerem, tajemnicą poliszynela stały się jego wizyty u luksusowych prostytutek. Za ich usługi nigdy nie płacił. Na wybryki wnuka cesarza patrzono przez palce.

„Młodzi arystokraci tak mają” - mówiono. Tymczasem dziesiątki kobiet w Rzeszy twierdziło, że są matkami cesarskiego potomka. A jedna z nich, niejaka Emilie Klopp, luksusowa prostytutka ze Strasburga, do której przyszedł

kajzer czuł tak duży sentyment, że dał jej w prezencie 100 marek i podobno pisał do niej niezwykle pikantne listy, postanowiła po objęciu przez niego władzy zrobić ze znajomości użytek. Za listy i milczenie zażądała wówczas 25 tys. marek (odpowiednik dzisiejszych ok. 300 tys. euro). Rząd zapłacił, ale gdy Bismarck przeczytał tę korespondencję (jej treści nie znamy), był wstrząśnięty. Nie był jednak w stanie temperować kajzera. W 1890 r. Wilhelm II niespodziewanie go zdymisjonował z funkcji szefa rządu. Zgorzkniały Bismarck do końca życia mieszkał w pałacyku w Friedrichsruh w północnych Niemczech. Pisał wspomnienia i wściekał się na kajzera, który często go publicznie upokarzał, np. zabraniając przedstawicielom rządu uczestniczenia w ślubie jego syna.



Wilhelm II podczas tradycyjnej defilady na 1 stycznia. Berlin.

Na początku XX w. plotkowano o pociągu cesarza do mężczyzn. W 1906 r. Maximilian Harden, jeden z wpływowych dziennikarzy, na łamach swojej gazety „Die Zukunft” oskarżył grupę współpracowników kajzera o to, że tworzą homoseksualny krąg, który decyduje o polityce zagranicznej państwa i przyjmuje w międzynarodowych sporach zbyt uległą pozycję. Chodziło o tzw. Liebenberger Kreis, faktycznie istniejącą grupę zaprzyjaźnionych z Wilhelmem II mężczyzn. Na jego czele miał stać książę Philipp zu Eulenburg, najbliższy przyjaciel kajzera. Członkowie kręgu na zamkniętych spotkaniach rozmawiali o polityce, balangowali i oddawali się

cielesnym uciechom. Eulenburg zwracał się do kajzera per „Liebchen”, czyli „kochaneczku”.

W wyniku intrygi, za którą stała grupa niechętnych polityków ze zgorzkniałym Bismarckiem na czele, Eulenburg i inni bliscy współpracownicy kajzera stanęli przed sądami – homoseksualizm był wówczas przestępstwem karanym więzieniem. Kilku oficerów w wyniku oskarżeń popełniło samobójstwa. Czy homoseksualne skłonności przejawiał sam Wilhelm II? Badacze epoki do tej pory nie są w tej sprawie zgodni.

Psychiatrzy, którzy analizowali jego zachowanie i czytali jego prywatną korespondencję, są przekonani, że poza giganta, jaką przyjmował Wilhelm II, i jego seksualne niewyżycie miały przysłonić wewnętrzną słabość. Kajzer nie znosił sytuacji, gdy przestawał być w centrum uwagi, cierpiał na kompleks niższości, nie potrafił podejmować decyzji. A gdy już coś postanowił, to często zmieniał zdanie. Zdarzało się, że minister wychodził z audiencji zadowolony, że przekonał cesarza do swojego zdania, a gdy dotarł do swojego gabinetu, czekał na niego goniec z podpisaną przez kajzera dymisją. Psychiatrzy od lat 50. na podstawie opisów właśnie takiego zachowania Wilhelma II diagnozowali u niego narcyzm i histrioniczne zaburzenie osobowości. Źródła tych problemów doszukiwali się w dzieciństwie.

Przykręcona śruba i głowa

„Wygląda jak końskie cugle” – tak o dziwnym urządzeniu pisała księżna Vicky, córka brytyjskiej królowej Wiktorii, późniejsza cesarzowa Niemiec i matka ostatniego kajzera. Po raz pierwszy małemu Wilhelmowi założono je na głowę, gdy miał cztery lata. Cugle blokujące czaszkę w prostej pozycji przymocowane były do stalowego pręta, który przywiązano pasami do pleców następcy tronu. W tzw. maszynie prostującej mały Wilhelm miał spędzać godzinę dziennie, by w ten sposób pozbyć się kręczu szyi. Chłopiec dał się w niebogłosy. Prostowanie szyi w maszynie było niezwykle bolesne. Ale matki Wilhelma to nie wzruszało.

Niewiele brakowało, a chłopak nie przeżyłby przyjścia na świat. Przed porodem ułożył się poprzecznie w łonie, a lekarze zauważyli to za późno. Cesarskie cięcie nie wchodziło w grę, oznaczałoby śmierć 18-letniej arystokratki. Wyjając z bólu Vicky znieczulono chloroformem, a lekarz zaczął

dostłownie wyrębać dziecko. Najpierw nogi, potem ręce, a na końcu głowę. Dziecko zaczęło kwilić dopiero wtedy, gdy położna kilka razy uderzyła je mokrą szmatą. Wówczas za oknami rozległo się 101 artyleryjskich wystrzałów – tak pruscy monarchowie świętowali narodziny synów. Był 27 stycznia 1859 r.

Nie wiadomo, czy niedotlenienie nie spowodowało uszkodzeń mózgu dziecka. Ale to nie był jedyny problem. Kilka dni po porodzie okazało się, że położnik, wyciągając noworodka, poważnie uszkodził mu lewe ramię. Było niesprawne i rosło wolniej niż drugie. Gdy Wilhelm był dojrzałym mężczyzną, różnica w długości jego ramion wynosiła 15 cm. Na zdjęciach cesarz ukrywał to, odpowiednio obracając się przed fotografem i trzymając porażoną dłoń np. na rękojeści szabli. Jednak dla matki niepełnosprawność dziecka była tragedią. Uważała, że przyszły monarcha nie może być ułomny. Do Wilhelma czuła niechęć.

Lekarze, by przywrócić władzę w ramieniu, wykręcali je, razili prądem, a dziecko zmuszali do zanurzania ręki we krwi świeżo zaszlachtowanych zwierząt. Metody, które dziś uznano by za tortury, były beзуżyteczne. Nie pomogła również maszyna do prostowania głowy. Kręczowi szyi zaradził dopiero chirurg, który przeciął mięśnie. Dziś taki zabieg uznano by za barbarzyństwo.

„Jest bardzo mądry. Gdyby nie to ramię, byłabym z niego dumna” – mawiała matka.

W małego Wilhelma wierzyła jego babcia, królowa Wiktorja.

„To okazja dla obydwu narodów, która je tak bardzo zbliża” – pisała tuż po jego narodzinach. W planach monarchini wnuk miał przypieczętować sojusz Imperium Brytyjskiego i zjednoczonych Niemiec. Wówczas, na początku drugiej połowy XIX w., wydawało się, że między monarchiami nie ma punktów spornych. Brytyjczycy panowali na morzach, Niemcy zdominowane przez Prusy poza Europą nie miały żadnych interesów. Wcześniej jedni i drudzy byli nawet sojusznikami, wspólnie pokonali Napoleona.

„Nie przykręcaj małemu tak mocno śruby” – królowa Wiktorja strofowała córkę. Matka Wilhelma II robiła jednak swoje. Widziała, jak ojciec, książę Albert, twardą ręką wychowuje jej braci, w tym przyszłego króla Edwarda VII. Swojego syna postanowiła wychowywać równie surowo. Chciała też zapobiec temu, by wyrósł na Prusaka. Według jej planów miał być liberałem na brytyjską modłę. Na guwernanta wybrała kalwińskiego ascetę Georga Hinzpetera – jego metody wychowawcze dziś uznano by za znęcanie się nad dzieckiem.

Naukę mały Wilhelm zaczynał o szóstej, siódmej rano. Zajęcia trwały po 12 godzin, z dwiema krótkimi przerwami. Nauczyciel, o którym chłopiec

mówił per „Doktor”, był niezwykle surowy. Nieustannie go ganił, nigdy nie chwalił. Uważał, że w ten sposób – pomaga Wilhelmowi przewyciężyć ułomność. Zgodnie z wolą matki, która chciała, by Wilhelm był najlepszym jeźdźcem w kraju, uczył niepełnosprawne dziecko jazdy konnej. Samo wdrapanie się na wierzchowca było dla chłopca męką. Często spadał. Ale Hinzpeter mu nie odpuszczał. Gdy uczeń był już w siodle, musiał recytować greckie eposy.

Wilhelm był inteligentny, robił postępy, zdawał egzaminy. Ale nauczyciel pozostawał niezadowolony.

„Nadaje się na ślusarza, a nie na monarchę” – uważał. Rodzicom w listach pisał wprost, że z ich dziecka nic nie będzie. Matka Wilhelma odpisywała nauczycielowi, że jest ich jedyną nadzieją. „Doktorem” była od początku zachwycona. Narzekała nawet, że gdy go nie ma w pobliżu, jej syn staje się leniwy i nieznośny.

Wilhelm napisał do niej wiele listów. Jako dziecko chwalił się, że robi to już samodzielnie, bez pomocy Hinzpetera. „Śniłem o twoich drogich, miękkich, ciepłych rękach. Czekam z niecierpliwością na czas, gdy będę mógł usiąść obok ciebie i całować je” – pisał jako dorosły człowiek. Uwielbienie, które biło z tekstu, niektórzy biografowie interpretowali jako erotyczną fascynację. Matka zawsze odpowiadała synowi oschle i chłodno. Krytykowała ubogie jej zdaniem słownictwo, poprawiała błędy gramatyczne. Nic dziwnego, że gdy niepełnosprawy, odrzucony chłopiec dorósł, miał zwichrowaną osobowość.

Są jednak biografowie kajzera, którzy ujrzeli w nim niespełnionego artystę. Vicky była uzdolnioną malarką, tworzyła portrety. Jej syn lubił malować potężne okręty wojenne. Gdy zasiadł na tronie, flota wojenna stała się jego oczkiem w głowie. W zainicjowanym przez niego wielkim programie budowy nowych okrętów historycy dopatrują się jednej z przyczyn wybuchu wielkiej wojny.

Nowi Romeo i Julia

24 maja 1913 r. cesarz Wilhelm II wyjątkowo nie przywdział miny wielkiego dowódcy i wydawało się, że na chwilę zapomniał o koloniach, swoim wojsku i wielkiej polityce. Tego dnia w berlińskim pałacu cesarskim ślub brała

Wiktorija Luiza, jego jedyna córka. Kajzer promieniał ze szczęścia. Poddani Wilhelma nigdy wcześniej nie widzieli, by ich monarcha pokazał tak ludzki wyraz twarzy.

W szkołach ogłoszono dzień wolny od pracy, kupcy zamykali sklepy.

Wojny w Europie nie będzie – tłum, który wyległ na świątecznie przystrojone ulice stolicy Rzeszy, był tego pewien.

Emocje podsycano nazwisko wybranka cesarskiej córki. Był nim książę Ernst August III von Hannover.

Wiktorija Luiza nie wychodziła za człowieka, którego wybrali jej rodzice. Wychodziła za mężczyznę, którego kochała. Stojący wzdłuż Unter den Linden tłum, który wiwatował na widok zaprzężonego w cztery konie powozu wiozącego parę młodą, miał wrażenie, że oto rozgrywa się współczesna wersja „Romeo i Julii”. Tyle że z happy endem.

Rodzina księcia Ernsta Augusta nienawidziła rządzących Niemcami Hohenzollernów. W 1866 r. Wilhelm I, król Prus, który pięć lat później został cesarzem, zaanektował ich królestwo, pozbawiając tronu jego dziadka i zmuszając go do emigracji. Wszelkie kontakty między rodami zostały zerwane. Aż w maju 1912 r. jeden z wnuków wygnanego króla zginął pod Berlinem w wypadku samochodowym. Wilhelm II, wnuk pierwszego cesarza zjednoczonych Niemiec, dosłownie stawał na głowie, by godnie pożegnać zmarłego arystokratę. Gdy 25-letni Ernst August III przyjechał w imieniu rodziny podziękować mu za pomoc, poznał jego 19-letnią córkę. Cesarzowa Augusta od razu wiedziała, że między młodymi ludźmi zaiskrzyło. Tyle że ślub z racji konfliktu między rodami wydawał się nieprawdopodobny.

Wiktorija Luiza była najukochańszym spośród siedmiorga dzieci Wilhelma II. Gdy poszła do szkoły, na jej cześć cesarz nazwał jeden z berlińskich placów. A gdy postanowiła, że wyjdzie za wnuka wygnanego króla Hanoweru, kajzer nie mógł odmówić. Młodej parze przekazał we władanie księstwo Brunszwiku. Takie historie w świecie arystokracji działy się rzadko.

Ale nie chodziło tylko o love story. Ślub córki Wilhelma II był wydarzeniem o międzynarodowym znaczeniu. Do Berlina zjechały koronowane głowy z całej Europy. I w pewnym sensie była to rodzinna impreza: król Wielkiej Brytanii Jerzy V był kuzynem kajzera oraz kuzynem obecnego na uroczystościach cara Rosji Mikołaja II. Program rozpisanej na cztery dni ceremonii przygotowano z prawdziwie pruską dokładnością. Cesarskie wesele miało swoim rozmachem pokazać światu, że Niemcy są potęgą. Jakikolwiek zgrzyt mógł doprowadzić do dyplomatycznego skandalu. Dlatego gdy para młoda jechała przez Berlin, urzędnicy cesarskiego dworu nerwowo obgryzali paznokcie.

Denerwował się też Traugott von Jagow, szef berlińskiej policji. Jego funkcjonariusze nie byli w stanie zapanować nad wiwatującym tłumem, tym bardziej nie zdołaliby powstrzymać ewentualnych zamachowców. Do Berlina zjechało 500 anarchistów, by protestować przeciwko brutalnym represjom, jakie w Rosji z ręki ochrany spadały na przeciwników caratu. Tymczasem car, nie pytając nikogo o zdanie, wyrwał się na przejażdżkę automobilem po mieście...

Na szczęście Mikołajowi II włos nie spadł z głowy. A dla mieszkańców Europy huczne wesele w Berlinie było kolejnym sygnałem, że najbliższe lata będą okresem pokoju i dobrobytu. Przecież na ślubie córki Wilhelma II monarchowie uśmiechali się do trzech filmujących uroczystości kamer i okazywali sobie serdeczność. Brytyjska para królewska była bardzo zadowolona. Królowa Maria spełniła swoje marzenie i zobaczyła poczdamski pałac Sanssouci.

Wiadomość w papierośnicy

Mocarstwa w ostatnich latach często skakały sobie do gardeł, chwilami wydawało się, że wojna wisi na włosku. Po ślubie było jasne, że kuzyni nie wystąpią przeciwko sobie, że muszą się dogadywać. A gdyby jednak nie potrafili, to – jak pisał w niezwykle wówczas popularnej książce „Wielka iluzja” brytyjski dziennikarz Norman Angell – wojnę powstrzyma europejska finansjera. Kraje kontynentu są zbyt zrośnięte gospodarczo, by się ze sobą bić.

Dwa tygodnie po ślubie córki kajzer otwierał uroczyste berliński stadion olimpijski, na którym w 1916 r. miały się odbyć letnie igrzyska. Ogłosił się wówczas „cesarzem pokoju”.

Gdy rok później na pokładzie swojego jachtu „Meteor” ścigał się w regatach w Kilonii, nagle do statku z pełną prędkością zaczął się zbliżać parowy kuter. Kajzer wypatrzył na jego pokładzie admirała Georga von Müllera, szefa gabinetu marynarki wojskowej, czyli biura kadr niemieckiej floty. Wilhelm II nie lubił go, bo zawsze przynosił mu złe wiadomości. Tak było również tym razem. W przeruconej na pokład jachtu papierośnicy cesarz znalazł karteczkę z informacją. Zbladł, gdy przeczytał, że arcyksiążę Ferdynand nie żyje. Był 28 czerwca 1914 r.

Z austro-węgierskim następcą tronu, bratankiem sędziwego cesarza

Franciszka Józefa, Wilhelma łączyła szczerą przyjaźń i prawie identyczna wizja świata. Ferdynand był też wdzięczny Wilhelmowi, bo choć ożenił się z kobietą niższego rodu, za co w Wiedniu go dyskryminowano, w Berlinie jego i jego żonę podejmowano z pełnymi honorami. Zresztą niemiecki cesarz miał słabość do jego żony, a w agresywnym Ferdynandzie widział szansę na zmiany w sojuszniczej monarchii. Austro-Węgry były bowiem kolosem na glinianych nogach.

Wystrzelone w Sarajewie przez Gavrilo Principa kule pogrzebały te plany.

- Z Serbami trzeba wyrównać rachunki. Niech pan nie wypisuje tych bzdur! - grzmiał w lipcu 1914 r. kajzer, zabraniając Heinrichowi von Tschirschky'emu, ambasadorowi Rzeszy w Wiedniu, przysyłać mu memoranda, w których zalecał ratowanie za wszelką cenę pokoju w Europie.

Tschirschky, tak jak jego koledzy z innych krajów, był przekonany, że konflikt po śmierci Ferdynanda uda się załagodzić. Cesarz chciał jednak wojny. Kazał przekazać Austriakom, że w sprawie Serbów daje im *carte blanche*. 28 lipca Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. Na pomoc Belgradowi od razu ruszyła Rosja.

Wilhelm II wielokrotnie mówił, że wojna nadchodzi wielkimi krokami, ale konfliktu bał się jak ognia. Prowokował, robił groźne miny, atakował sąsiadów w niezliczonych tyradach. Ale zaraz potem robił kilka kroków w tył. Tak było w 1911 r., gdy próbował interweniować we francuskim Maroku, ale wysłał tam tylko przestarzałą kanonierkę. Albo gdy odmówił pomocy Austriakom, którzy już w 1906 r. zamierzali się rozprawić z Serbami. Mówiono nawet, że Wilhelm II był jak stary pies, który głośno szczeka, ale nie gryzie. Kajzer uwielbiał przyjmować defilady, lecz wizja, że miałyby wystać swoje wojska na front, go przerażała. Jeden ze współczesnych mu polityków mówił, że buduje flotę nie po to, by zdobywać wbrew Wielkiej Brytanii nowe kolonie, tylko po to, by popłynąć na czele swoich okrętów do Anglii i spotkać się z Jerzym V. Uściskać się, pogawędzić i napić się herbaty. Wnuk królowej Wiktorii, który ukochaną babkę trzymał na rękach, gdy umierała, nie wyobrażał sobie wojny przeciwko krewnym.

Jedynym wyjątkiem od powyższej reguły był konflikt w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (dzisiejszej Namibii), kolonii zajętej przez Niemcy w 1894 r. Ale żołnierze kajzera walczyli tam z czarnoskórymi. W 1905 r. tubylcy z plemion Herero i Namaqua wszczęli powstanie przeciwko niemieckim kolonistom zabierającym im ziemię. Lothar von Trotha, dowódca przysłanego z Niemiec korpusu ekspedycyjnego, rozpoczął systematyczne ludobójstwo plemion, które śmiały podnieść rękę na białych ludzi.

Czarnoskórzy ginęli w bitwach, a ci, którzy przeżyli, konali z głodu

i pragnienia. Niedobitki von Trotha kazał pędzić na pustynię. Jeńcy pracowali jako niewolnicy w drelichach z literami „GH”, które oznaczały „Gefangene Herero”, czyli więzień z plemienia Herero. Ci, którzy nie byli w stanie pracować, byli zakłuwani bagnietami. Niemcy nie chcieli marnować amunicji. Na Shark Island niedaleko atlantyckiego portu Lüderitz powstał obóz koncentracyjny. Pracowali w nim wówczas antropolodzy, którzy preparowali głowy zabitych tubylców i wykorzystywali je jako materiał do badań. Było to pierwsze ludobójstwo w XX w. Szacuje się, że z rąk Niemców zginęło wówczas ponad 100 tys. osób.

Adolf Hitler idzie na front

W 1905 r. kajzer na pokładzie zakotwiczonego w fińskim porcie Björko jachtu cara Mikołaja II „Polarna Gwiazda” osobiście wynegocjował z władcą Rosji traktat obronny.

– Podaliśmy sobie ręce i podpisaliśmy dokument przed Bogiem, który usłyszał nasze zobowiązania – pompatycznie komentował Wilhelm II, dumny, że udało mu się wynegocjować układ takiej rangi. Rosja i Niemcy zobowiązywały się przyjść sobie z pomocą, gdyby zostały zaatakowane przez inne mocarstwo.

Jednak Bernhard von Bülow, wówczas już kanclerz, gdy dowiedział się o dokonaniu monarchy, złożył dymisję. Jego zdaniem tak sformułowany traktat był szkodliwy dla niemieckich interesów. Wilhelm II słał mu błagalne listy, by zmienił zdanie. Z niemiecko-rosyjskiego układu nic zresztą nie wyszło. W 1914 r. w otoczeniu kajzera nie było człowieka, który nacisnąłby na hamulec. Wojny chciał sztab generalny, dwór, Reichstag, nawet postowie socjaldemokracji i komuniści. Niemcy nie były pod tym względem wyjątkiem. Do konfliktu, który miał oczyścić w Europie atmosferę, dążyły wszystkie europejskie mocarstwa.

Wydawało się, że potrwa on góra kilka miesięcy. Pod koniec lipca 1914 r., gdy europejskie armie zaczynały się mobilizować, rekruci szli do koszar ze śpiewem na ustach. Żegnały ich rozentuzjasmowane tłumy.

Ludziom ciągle wydawało się, że wojna to przygoda. Wśród rekrutów był 25-letni Adolf Hitler, który rok wcześniej przybył z Wiednia do Monachium. Niespełniony artysta w ten sposób uciekał przed poborem do cesarsko-

królewskiego wojska, którym gardził ze względu na to, że w jego szeregach służyli żołnierze kilkunastu narodowości. Armia kajzera była zaś jednorodna. Gdy wybuchła wojna, Hitler wstąpił do bawarskiego 16. pułku piechoty. Zanim założył mundur, wybrał się pod monachijskie mauzoleum Feldherrnhalle. 2 sierpnia, dzień po wypowiedzeniu przez Rzeszę wojny Rosji, radość demonstrowały tam dziesiątki tysięcy Niemców. Nazajutrz Rzesza wypowiedziała wojnę Francji, a wojska kajzera przekroczyły granice neutralnej Belgii. Do wojny w jej obronie włączyła się Wielka Brytania.

Plan Schlieffena nie wypała

- Obiad zjem w Paryżu, podwieczorek w Petersburgu – mawiał Wilhelm II, mając na myśli plan wojny opracowany w 1905 r. przez szefa sztabu generalnego Alfreda von Schlieffena. Sędziwy generał zakładał, że w wypadku wojny z połączonymi sojuszem Rosją i Francją Niemcy nie powinny czekać na wroga, tylko muszą wyprzedzić jego atak. I najpierw uderzyć na Francuzów, bo Rosjanie wolniej się mobilizują. Schlieffen proponował też, by nie szturmować francuskich twierdz na pograniczu, lecz ominąć je, przechodząc przez Belgię. Kalkulował, że po 90 dniach walk stanie pod Paryżem. A po rozbiciu wojsk francuskich nadejdzie czas na Rosję. W sumie wojna skończyłaby się po pół roku.

Plan Schlieffena w cesarskiej armii oznaczał rewolucję. Wojsko musiało stać się mobilne. Trzeba było opracować system transportu i załadunku dla piechoty oraz – co było trudniejsze – dla ciężkiej artylerii. Do tego potrzebne były nowe linie kolejowe, dworce, rampy załadunkowe i pociągi do przewożenia wojska. A także wojskowe załogi pociągów. Zmienić musiało się też podejście do wojny dowódców jednostek. Wojsko miało przeć do przodu, a nie okopywać się i czekać na ruch przeciwnika. Dlatego podczas ćwiczeń rekrutów katowano forsownymi marszami.

W praktyce koncepcję realizował następca Schlieffena – Helmuth von Moltke młodszy. Do ataku przez Belgię wyznaczył jednak mniejsze siły. Belgowie stawili opór, ale ich twierdze ostrzeliwane z grubych bert, wielkich moździerzy kaliber 420 mm, padały po kilku dniach oporu. W pierwszych dniach września od stolicy Francji żołnierzy Wilhelma II dzieliło ledwie 70 km. Jednak Francuzom i przybyłym na odsiecz Brytyjczykom udało się ich

powstrzymać w bitwie pod Marną. Na froncie nastał wówczas pat. Niemcy, Francuzi i Brytyjczycy okopali się na swoich pozycjach. Rozpoczął się koszmar wojny pozycyjnej. Od kanału La Manche po granicę szwajcarską rozciągał się labirynt zasieków i okopów rozdzielony ziemią niczyją. Żadna ze stron nie była w stanie się przezeń przedrzeć. Próby kosztowały życie setek tysięcy żołnierzy. Wielka niemiecka ofensywa pod Verdun w 1916 r., która miała wykrwawić Francję, kosztowała życie ponad 330 tys. niemieckich żołnierzy. Nie przyniosła spodziewanego rezultatu.

Losów wojny nie zmieniły ani ciężka artyleria, ani gazy bojowe, po które Niemcy sięgnęli pierwsi w 1915 r. pod Ypres. Nie pomogły U-Booty, które torpedowały zmierzające do brytyjskich portów statki, ani sterowce bombardujące tamtejsze miasta. Tymczasem Niemcy coraz mocniej odczuwali skutki blokady kraju. W cesarstwie zapanował głód, z niedożywienia zmarły tysiące osób.

Adolf Hitler w 1914 r. walczył we Flandrii. Szybko dorobił się stopnia gefrajtera. Jesienią 1914 r. został gońcem – przenosił meldunki między sztabem pułku a sztabami batalionów. To była w miarę bezpieczna praca. Hitler nie zbliżał się do linii frontu na więcej niż 1,5 km. Jednak w 1918 r., gdy połączenia telefoniczne między pierwszą linią a sztabem zostały zerwane, ruszył na ostrzeliwany front. Dostał za to żelazny krzyż pierwszej klasy.

Koledzy go nie lubili, bo narzucał się oficerom, nigdy nie narzekał na marny żołnierski los, ślepo wykonywał rozkazy. A na dodatek nie pił, nie palił, stronił od burdeli. Gdy miał wolne, czytał albo malował. Kiedy w 1933 r. przejął w Niemczech władzę, propaganda robiła z niego wojennego bohatera. Koledzy ochoczo tę wersję potwierdzali.

Ucieczka do Holandii

Wiosną 1918 r. osłabione Niemcy, które właśnie podpisały traktat pokojowy z rozbitą Rosją, były jeszcze w stanie rozpocząć kolejne ofensywy na froncie zachodnim. Ale i te ataki, choć spowodowały potworne straty, zostały odparte.

29 września 1918 r. feldmarszałek Paul von Hindenburg, który wraz z generałem Erichem Ludendorffem faktycznie dowodził armią i rządził państwem, oświadczył cesarzowi, że Niemcy nie są w stanie kontynuować wojny. A ententa nie podpisze zawieszenia broni, dopóki na niemieckim

tronie będzie zasiadał Wilhelm II.

- Potomkowie Fryderyka Wielkiego nie abdykują - oświadczył kajzer. Przez kilka tygodni wraz z doradcami zastanawiał się, co robić, by wyciągnąć Niemcy z bagna i jednocześnie uratować tron. Padały najróżniejsze pomysły: kajzer powinien jechać na front i dać się zabić, kajzer powinien ruszyć na wojnę z bolszewikami, którzy przejęli w Rosji władzę.

Wilhelm II był tak oderwany od rzeczywistości, że proponował nawet monarchom Europy wspólną walkę z amerykańskim imperializmem. W końcu wyjechał do Spa w okupowanej Belgii. Ta decyzja uratowała mu życie.

W listopadzie 1918 r. w Niemczech wybuchła rewolucja zmiatająca z tronów kolejnych królów i kolejne księżęta, którzy rządili landami. Gdyby kajzer został w Berlinie, mógłby go spotkać los zamordowanych przez bolszewików Mikołaja II i jego rodziny. Sojusznicy Niemiec: Austro-Węgry, Bułgaria, Turcja, albo skapitulowali, albo podpisali zawieszenie broni. Ale kajzer dalej zwlekał.

9 listopada, nie mogąc się doczekać decyzji cesarza, kanclerz książę Maksymilian Badeński ogłosił abdykację Hohenzollernów. - To zdrada - syczał cesarz. Ale gdy się dowiedział, że na Spa maszerują zbuntowani żołnierze, uciekł do neutralnej Holandii.

Załatwienie azylu było przysługą brytyjskiego kuzyna króla Jerzego V. Cesarz zamieszkał na zamku w Amerongen, z którego później przeniósł się do Doorn.

- Czas na filiżankę dobrej angielskiej herbaty - oświadczył, gdy przekroczył próg. Był 11 listopada, tego dnia Niemcy podpisały zawieszenie broni na froncie zachodnim.

- Wilhelm II jako pierwszy niemiecki cesarz podał rękę na zgodę przywódcom marksizmu, nie bacząc na to, że te łotry nie mają honoru - tak cesarską abdykację komentował Hitler w swoim manifestie „Mein Kampf”. Gdy cesarstwo się rozpadło, dochodził do siebie po ataku gazowym w lazarecie w Meklemburgii. Był zdruzgotany. W „Mein Kampf” napisał, że to wówczas postanowił się zająć polityką, by zmyć tę hańbę.

- Jestem do dyspozycji - miał powiedzieć przebywający na wygnaniu Wilhelm II, gdy doszły do niego wiadomości o puczu w Monachium, który Hitler zorganizował 8 listopada 1923 r. Zwolennicy Adolfa zamierzali przejąć kontrolę nad miastem, potem nad Bawarią, a w końcu obalić republikę. Wygnany cesarz był zdania, że tylko jego powrót przywróci w Niemczech spokój. Kajzer był zdesperowany. W pierwszych miesiącach na obczyźnie był przekonany, że powrót umożliwią mu niemiecka arystokracja i korpus oficerski. Później liczył na lud, który tak bardzo go kochał. - Wystarczy,

że gwizdnę, a będę miał u boku tysiące ludzi – mówił. Gdy te nadzieje okazały się płonne, jego uwaga zwróciła się ku agresywnemu działaczowi z Bawarii. Jednak plan Hitlera się nie powiódł, zamach stanu udaremniła policja, w strzelaninie na ulicach Monachium zginęło 20 osób. Za pucz Hitler został skazany na pięć lat więzienia, z czego w celi odsiedział rok.

Hitlerowcy i arystokraci

Władze Republiki oddały wygnanemu kaiserowi dzieła sztuki, pozwoliły też na sprzedaż części majątków pozostawionych w Niemczech. Wilhelm II żył więc w luksusie, otoczony wianuszkami doradców. Powrót do Niemiec wciąż był jednak jego obsesją, ale nawet niemieccy monarchiści nie wyobrażali sobie, by cesarz, który uciekł przed wrogiem, mógł wrócić na tron. Wilhelm II nie zwracał na to uwagi. Jego drugą obsesją było zdrowe życie. Nie chciał tak jak jego rodzice umrzeć na raka. Dlatego nie jadł warzyw nawożonych gnojem i zbyt długo przechowywanego mięsa. Dużo czasu poświęcał na ćwiczenia fizyczne.

W 1921 r. załamał się, gdy zmarła jego Wiktoria Augusta. Jak na żonę pruskiego monarchy przystało, pochowano ją w Poczdamie. Republika nie pozwoliła jednak Wilhelmowi II przyjechać na pogrzeb. Rok później ożenił się po raz drugi z owdowiałą księżniczką Herminą von Schoenaich-Carolath. Nowa żona dodawała mu otuchy, zapewniając go, że powrót na tron to kwestia czasu. Nadzieje również wiązała z nazistami. Wszak we Włoszech rządzą faszysty, ale na czele kraju stoi król Wiktor Emanuel. Dlaczego w Niemczech miałyby być inaczej?

W 1931 r. ściągnęła do Doorn Hermana Göringa, bliskiego współpracownika Hitlera, który podczas wojny zdobył sławę jako as cesarskiego lotnictwa. Göring w rozmowie z cesarzem zobowiązał się, że będzie pracował nad tym, by Wilhelm II znów objął niemiecki tron. Kaiser promieniał, choć przyszłemu marszałkowi Rzeszy i dowódcy Luftwaffe bardziej zależało na cesarskich odznaczeniach, z którymi mógłby się obnosić, niż na restauracji monarchii. Niecały rok później Göring zawitał do Doorn znowu, ale tym razem nie zostawił po sobie dobrych wspomnień. Po pałacyku paradował w szarawarach, co było złamaniem panującej tam dworskiej etykiety, która wykluczała tego typu ekstrawagancje w obecności monarchy.

Wyjechał zresztą bez pożegnania. Kajzer nie przejął się tym zbyt. Postanowił ściągnąć do siebie samego Hitlera. Czuł, że rośnie w siłę. Został bowiem patronem niemieckiego automobilklubu, a to znaczyło, że ma pod sobą 60 tys. ludzi. Do Hitlera miał zaś pretensje, że się z republiką certoli i staje do wyborów.

– Powinien zebrać 60 tys. ludzi i ruszyć na Berlin – mówił.

W tym samym czasie do nazistów przymilali się także synowie cesarza. Mieszkający w poczdamskim pałacu Cecilienhof niedoszły następca tronu książę Wilhelm kilkakrotnie gościł Hitlera. Jego brat, czwarty syn cesarza książę August Wilhelm, towarzyszył mu w kampanii wyborczej w 1932 r. W kieszeni miał legitymację partyjną NSDAPz numerem 24.

– Hitler jest dobrodziejem dla Niemiec – przekonywał wówczas tłumy. Razem z Hitlerem latał wówczas od miasta do miasta specjalnym samolotem. Liczył na to, że któregoś dnia Führer powoła jego bądź jego syna na tron. Hitler go zbywał, mówił, że potrzebuje czasu, by skupić władzę, zreorganizować kraj. Dopiero wówczas będzie można myśleć o odbudowie cesarstwa.

Hitlerowi arystokraci byli potrzebni tylko do tego, by przekonać do NSDAP konserwatystów. Gdy w 1933 r. zdobył dyktatorską władzę, odsunął ich od siebie. Książę Wilhelm po nocy długich noży wycofał się z polityki. Jego brat August Wilhelm, zwany z racji politycznych sympatii Brązową Koszulką, ciągle we Führera wierzył. Tak jak jego ojciec, choć jego złość na Hitlera ciągle rosła. Mówił o nim, że jest prostakiem, żołdaczyną, pokojowym malarzem.

– I ktoś taki pcha się na mój tron... – wzdychał.

Hermina przekonywała jednak znajomych nazistów, że jej mąż uwielbia Hitlera. – Gdybyście tylko słyszeli, jak on mówi o dziełach Führera, jak on je docenia, jak się z nich cieszy – opowiadała w 1939 r. jednemu z wpływowych wówczas dziennikarzy.

Ostatnie dobre wieści

– *Das ist fabelhaft!* [To wspaniałe] – tak Wilhelm II zareagował, gdy niemieccy spadochroniarze zdobyli Kretę. Był 3 czerwca 1941 r. Ciężko chory kajzer umierał, ale los Niemiec nie był mu obojętny.

- Przynieście mi jeszcze jakieś dobre wieści - mówił, żegnając się z rodziną i adiutantem. Zaraz potem dostał ataku serca. Zmarł kilkanaście godzin później.

Goebbels postanowił zepchnąć informacje o śmierci kajzera na ostatnie strony gazet. Ale Hitler miał wobec nieżyjącego monarchy inne plany. Zamierzał zorganizować mu w Berlinie wielki pogrzeb i stanąć obok cesarskiej trumny. W ten sposób symbolicznie pokazałby światu, że jest prawowitym następcą Hohenzollernów i ich cesarstwa. Od rodziny usłyszał jednak twarde „nie”. Wilhelm II w testamencie zastrzegł, że jego ciało nie może zostać pochowane w Niemczech, jeśli kraj będzie republiką. Hitler postanowił więc zorganizować pogrzeb cesarza w Doorn.

9 czerwca na uroczystości zjechała cała cesarska rodzina, której Hitler kazał podstawić specjalny pociąg. Sam się na nich nie pojawił. Władze III Rzeszy reprezentował Arthur Seyss-Inquart, komisarz Rzeszy w okupowanej Holandii. W pogrzebie asystowały oddziały Wehrmachtu. Nie było przemówień - zastrzegł to sobie zmarły. Jego trumnę, którą złożono w mauzoleum w przypałacowym parku, posypano trzema łopatami ziemi z Poczdamu.



Johann Reichhart

Przemierzał Europę wzdłuż i wszerz szarą ciężarówką. Gilotynę wiózł na pace. Roboty miał tyle, że prosił ministerstwo komunikacji, by zwolniło go z przestrzegania ograniczenia prędkości obowiązyującego na autostradach

- Jeszcze nie widziałem, by ktoś tak umarł - mówi mężczyzna, patrząc na leżące na ławie gilotyny ciało młodej kobiety. Kilka minut wcześniej ubrany w elegancki frak wyprowadził skutą dziewczynę z celi. Dwóch pomocników rozciągnęło ją na ławie, na szyję założyli jej drewniany kołnierz. Trwało to kilka sekund. Gdy krzyknęli „fertig”, mężczyzna we fraku pociągnął za dźwignię i na kark dziewczyny spadło ważące kilkadziesiąt kilogramów ostrze.

Gdy było już po wszystkim, kat wciąż nie mógł przestać się dziwić, że kobieta poszła na śmierć bez mrugnięcia okiem, a na oprawcę patrzyła z pogardą.

Zgładzona to Sophie Scholl. Miała 22 lata i była bawarską studentką, współzałożycielką antynazistowskiej organizacji Biała Róża. W lutym 1943 r. została złapana na rozrzucaniu antywojennych ulotek. Razem z bratem Hansem, który przed ścięciem krzyknął: „Niech żyje wolność!”, i kolegą Christophem Probstem w błyskawicznym procesie za zdradę została skazana na karę śmierci. W dzisiejszych Niemczech jest bohaterką i symbolem oporu przeciwko nazizmowi. O Sophie Scholl dzieci uczą się w szkołach.

Mężczyzna w cylindrze też przeszedł do historii - żaden niemiecki kat nie wykonał więcej wyroków śmierci niż Johann Reichhart.

Kat z rodziny katów

Zanim w latach 90. ubiegłego wieku świat dowiedział się o Wasiliju Błochinie, kacie NKWD, który rozstrzelał tysiące więźniów, w tym wielu polskich oficerów z obozu w Ostaszkowie, Reichhart uważany był za ponurego rekordzistę świata w liczbie egzekucji. Przez 22 lata kariery wykonał 3165 wyroków. Ścinał i wieszał na zlecenie sądów Republiki Weimarskiej, trybunałów ludowych III Rzeszy, a także amerykańskich władz okupacyjnych.

Swój zawód wykonywał z godnością, a skazanych traktował z szacunkiem. Nic dziwnego, w jego rodzinie tym rzemiosłem mężczyźni parali się od pokoleń.

Na przełomie XIX i XX w. w Bawarii ścinał głowy jego wuj Franz Xaver Reichhart. Ten z kolei był krewnym Lorenza Schellerera, ostatniego bawarskiego kata, który wyroki wykonywał na sposób średniowieczny – za pomocą miecza. W 1924 r. Franz Xaver został wysłany na emeryturę – władze bawarskie uznały, że praca przy gilotynie to za duże obciążenie dla 73-latka, nawet doświadczonego, mającego na koncie 58 egzekucji.

Gdy syn Franza Xavera odmówił przejęcia katowskiej funkcji, władze Bawarii zaczęły szukać kandydatów nawet wśród strażników więziennych. Ale chętnych nie było. Wówczas do pracy zgłosił się bratanek Franza – Johann. Stryj długo go do tego namawiał. Był zachwycony, że profesja została w rodzinie.

Johann Reichhart, niespełna 30-letni weteran spod Verdun, miał odpowiednie kwalifikacje: był sprawny fizycznie, miał twardy charakter dodatkowo zahartowany podczas wojny, w policyjnych kartotekach nie widniały na niego żadne skargi. Mieszkał we wsi Neubiberg pod Monachium, był więc w stanie stawić się prawie natychmiast po wezwaniu. Miał porządną pracę – był rzeźnikiem – ale w Niemczech targanych kryzysem po I wojnie światowej nie potrafił sobie znaleźć dobrej pracy. Gospoda na dworcu, którą prowadził w Neubibergu, prosperowała średnio, dorabiał więc w przedsiębiorstwie przewozowym. Tymczasem państwo bawarskie za każdą egzekucję płaciło 150 marek w złocie, czyli równowartość porządnej miesięcznej pensji. Za egzekucję poza stolicą dochodziło 10 marek diety. Na dodatek kat korzystał ze wszystkich przywilejów urzędnika państwowego. Był praktycznie nieusuwalny z urzędu – chyba że przyszedłby do pracy pijany. Czekala go też państwowa emerytura.

– Nie mogłem w nocy spać, tak samo jak skazani. Uspokoiła mnie myśl, że działam w interesie autorytetu państwa – wspominał swoją pierwszą

egzekucję.

Po nominacji na kata pod okiem wuja przećwiczył działanie gilotyny na kukłach i zwłokach przekazanych przez monachijski zakład medycyny sądowej. Kilka miesięcy później, na początku lipca 1924 r., dostał telegram z ministerstwa sprawiedliwości. Ma się stawić z gilotyną w więzieniu w Landshut. Nazwisk skazanych nigdy w wezwaniu nie podawano. Reichhart załadował gilotynę na pociąg i ruszył tam, gdzie mu kazano. Na miejscu dowiedział się, że w celach śmierci czekają pochodzący z okolicy rolnik, który zlecił morderstwo żony, i bezrobotny, który tego zlecenia się podjął. Reichhart noc spędził w celi obok. Wcześniej obejrzał przez judasza obu błędnych ze strachu skazanych. W sąsiednim pomieszczeniu stało jego narzędzie pracy. Zamontował je wraz z pomocnikami i pracownikami więzienia, a potem przetestował urządzenie i podpisał odpowiedni protokół.

Wysoka na prawie 2 m monachijska gilotyna była uznawana za najlepsze tego typu urządzenie w całej Rzeszy. Miała bardzo prostą konstrukcję. Do drewnianej ławy przytwierdzało się prowadnice, po których spadało ostrze. Do tego opuszczane łożo. Skazańca przywiązywano na stojąco, a potem kładziono pod ważącym ponad 60 kg ostrzem.

W Landshut Reichhart robotę wykonał podręcznikowo. Głowy skazanych spadły do wypełnionego trocinami kosza gilotyny.

- Świetnie przeszedł pan chrzest bojowy. Życzę sukcesów - gratulował mu obecny przy egzekucji prokurator.

Nikt już nie wielbi kata

Reichhartowi i jego rodzinie żyłoby się całkiem dobrze, gdyby nie to, że po wypiciu lubił się przechwalać tym, co robił. W Neubibergu każdemu, kto chciał go słuchać, z dumą wymieniał nazwiska morderców, których skrócił o głowę. - Żaden z moich przodków nie był w stanie przeprowadzić egzekucji krócej niż w cztery minuty. A ja tak - chwalił się. Kata rozpoznał też jeden z duchownych, który udzielał ostatniego namaszczenia skazanym.

Gdy wieść o tym, jak dorabia Reichhart, rozniosła się po miasteczku, jego gospoda na dworcu całkowicie opustoszała. - Te kufle są lepkie od krwi - mówią klienci. Syn Reichharta, jeden z jego trójki dzieci, wraca ze szkoły z piętrem „dziecka mordercy”. - Twój tata obcina głowy! - krzyczą za nim

koledzy. Ktoś Reichhartowi przysłał anonim. „Jest jeszcze kilku porządnych ludzi, którzy pogonią ci kota” – grozi.

Kata chce opuścić żona. Nie może znieść tego, że w szafie wisi frak i cylinder, które jej mąż zakłada na egzekucje. Dla niego to niezrozumiałe. I żonę, i dzieci traktował przecież dobrze. Chciał wychować potomstwo na porządnych ludzi. Chciał też, by ludzie szanowali go jako państwowego urzędnika. A stał się obiektem pogardy. Nie pojmuje, że czasy się zmieniają. Jeszcze niedawno w sąsiedniej Austrii kat był celebrytą, który po każdej robocie uroczyście fotografował się wraz z pomocnikami przy szafocie. Także w niemieckich państwach – do 1877 r., gdy egzekucje wykonywano publicznie – przed szafotami zbierały się pełne podziwu tłumy. Ludzie bili się o kawałek ubrania skazańca i o przynoszący szczęście fragment sznura wisielczego. Lud wierzył w magiczne właściwości tych przedmiotów: miały zapewniać zdrowie, bogactwo, dużo dzieci.

Teraz porobiło się inaczej: Republika Weimarska jest dla przestępców łaskawa. Wyroki śmierci zapadają rzadko, większość skazanych przed gilotyną ratuje prezydent zamieniający kary śmierci na dożywocie. Z sądowych statystyk wynika, że w latach 1919-32 w 62-milionowym kraju zapadło 1141 najwyższych wyroków, z katem spotkał się jednak co dziesiąty skazany. Większość egzekucji wykonano zresztą w pierwszych, burzliwych latach istnienia republiki. Reichhart nie ma więc z czego żyć. Dostaje coraz mniej pieniędzy za egzekucje, a jego interesy w Neubibergu plajtują. W 1926 r. wydzierżawia knajpę na Mariaplatz w centrum Monachium, ale jego reputacja podąży za nim. Na piwo u kata nie ma chętnych. Po kilku miesiącach Reichhart ucieka do Deisenhofen pod Monachium. Sprzedaje czasopisma katolickiego wydawnictwa o wychowaniu dzieci i uczy chętnych tańca. Lecz znowu chwali się tym, co robił w bawarskich więzieniach. Efekt: pisze o nim lokalna prasa. „Czy człowiek, który sprzedaje pisemka o dobrych obyczajach i uczy tańca, może dorabiać jako kat?” – pytają dziennikarze. Reichhart traci i te źródła zarobku. Jest na dnie.

Najtrudniejsza egzekucja

W 1929 r. zdesperowany prosi ministerstwo sprawiedliwości o zwolnienie z posady. Resort odmawia, zgadza się jedynie wypłacić mu zapomogę.

Wcześniej prosił ministerstwo, by zatrudniono go w jakimś więzieniu, więc teraz zapada decyzja, by z Reichharta zrobić kławisza. Ale pomysł szybko upada, gdy dowiadują się o tym związki zawodowe strażników więziennych.

– Nie będziemy pracować z katem – protestują związkowcy.

Reichhart przenosi się więc do holenderskiej Hagi i pod nazwiskiem Mijnheer Reichhart prowadzi na targu stragan z warzywami. Idzie mu całkiem dobrze. Wtapia się w lokalną społeczność, szybko uczy się flamandzkiego.

Do Bawarii wraca ścinać głowy na zakodowane wezwanie, które władze przysyłają telegraficznie. Teraz trzyma język za zębami – holendrzy sąsiedzi i klienci nie mają pojęcia o jego dodatkowej pracy. Do czasu.

W 1932 r. jedzie do więzienia w Stadelheim, dzielnicy Monachium. Ma ściąć pierwszą w karierze kobietę – Ernę Hasselbeck skazaną za zabójstwo męża. Tym razem nic nie idzie zgodnie z planem. Kobieta ciągnięta przez katowskich pomocników wydziera się wniebogłosy, tak że słychać ją w całym więzieniu. Szarpie się, jej szczupłe dłonie wysuwają się z kajdanek.

Reichhart pierwszy i jedyne raz w swojej karierze pomaga przypiąć skazaną pasami do ławy gilotyny. Kobieta milknie dopiero wtedy, gdy jej szyja zostaje unieruchomiona w drewnianym kołnierzu.

– Mordercy! – krzyczy chwilę przed śmiercią. Reichhart nie potrafi się opanować, drżą mu ręce. Powie potem, że to była jego najtrudniejsza egzekucja.

O tym, co działo się w Stadelheim, dowiaduje się prasa, a dziennikarzom szybko udaje się rozszyfrować tożsamość kata. Gdy Reichhart wraca do Hagi, Holendrzy, którzy do tej pory chętnie kupowali u niego marchewkę, plują mu pod nogi. Ktoś na jego drzwiach przywiesza wycinek z bawarskiej bulwarówki, gdzie opisano egzekucję.

W 1933 r. pakuje manatki, ale bez żalu, bo w Niemczech nadeszły dla niego lepsze czasy.

Złote czasy dla katów

Los Holendra Marinusa van der Lubbeego był najlepszym dowodem, że pod rządami NSDAP niemieckie gilotyny nie będą rdzewieć. Wieczorem 27 lutego 1933 r. policja zatrzymała go we wnętrzach Reichstagu. Gmach parlamentu Rzeszy stał w ogniu, rozświetlając na czerwono berlińskie śródmieście. Załogi

15 wozów straży pożarnej, które próbowały opanować żywioł, były pewne, że budynek podpalono. Ogień bił z kilkunastu różnych miejsc. Pożar opanowano dopiero w nocy. – To początek komunistycznego powstania – grzmiał Hermann Göring, marszałek Rzeszy, dowódca Luftwaffe i zarazem premier Prus. – Żadnej litości. Trzeba to zdusić – dodawał Adolf Hitler, wówczas jeszcze tylko kanclerz. Policja szybko wskazała podejrzanego.

Pożar Reichstagu był nazistom na rękę i najpewniej został przez nich zaaranżowany, by Hitler miał pretekst do wprowadzenia stanu wyjątkowego i objęcia dyktatorskiej władzy. Jednocześnie mógł rozszerzyć katalog przestępstw karanych śmiercią – odtąd będzie on się regularnie powiększać i pod koniec II wojny światowej praktycznie każde przewinienie może kosztować głowę. Jedną z pierwszych ofiar nowego reżimu był właśnie van der Lubbe. Holender doskonale pasował na sprawcę. Był komunistą, a na dodatek był psychicznie chory. Przyznał się do podpalenia Reichstagu, podczas procesu nie próbował się bronić. Sąd pod naciskiem nazistowskich bonzów skazał go na śmierć. Van der Lubbe zginął na gilotynie w więzieniu w Lipsku 10 stycznia 1934 r., kilka dni przed 24. urodzinami. Sama egzekucja trwała siedem sekund.

Od 1936 r. wykonywanie kary śmierci zostaje scentralizowane. Ministerstwo sprawiedliwości wytycza tzw. okręgi egzekucyjne. W każdym znajdują się dwa-trzy więzienia, w których powstają Zentrale Hinrichtungsstätten, czyli centralne placówki wykonywania egzekucji. Mieszczą się zwykle w parterowych budynkach wznoszonych na uboczu więziennych kompleksów. W głównym pomieszczeniu stoi gilotyna, wzdłuż prowadzącego do niej korytarza są pojedyncze cele, w których skazańcy spędzają ostatnie godziny życia. Za gilotyną przewidziano pomieszczenia socjalne dla kata i jego pomocników – pokoje z łózkami i umywalnie. Wyroki śmierci wykonuje się też w mniejszych więzieniach. Do nich gilotyny tuż przed terminem egzekucji przywozi się ciężarówkami.

Po anszlusie Austrii, rozbiorze Czechosłowacji i napaści na Polskę liczba okręgów dochodzi do 11. Centralne placówki powstają m.in. w przyłączonych do Rzeszy Katowicach i Poznaniu. Podczas wojny głowy spadają jedna za drugą – jak się szacuje, w latach 1933-45 w ten sposób życie straciło 12 tys. ludzi.

Nad sprawnym wykonywaniem wyroków czuwa dziesięciu państwowych katów i 38 pomocników. Główną postacią jest Johann Reichhart, który wpadł w oko Rolandowi Freislerowi, wówczas sekretarzowi stanu w ministerstwie sprawiedliwości Rzeszy. W środowisku sędziów i prokuratorów ma renomę rzetelnego człowieka, który – co najważniejsze – nie musi uspokajać sumienia alkoholem. Czasy, gdy pił i opowiadał o swojej pracy, dawno się skończyły.

W 1933 r. Reichhart wykonał w Bawarii pięć wyroków śmierci, w kolejnych latach liczba skazańców, których skrócił o głowę, nie przekroczyła dziesięciu, ale już w 1938 r. przyszło 39 zleceń z całego kraju. Ich liczba będzie rosnąć.

Reichhart jest skrupulatny i nie kwestionuje poleceń. Przykład: w 1939 r. wywołują go z więzienia w Dreźnie, gdzie szykował się do egzekucji, i każą na złamanie karku pędzić do Monachium, gdzie w celi śmierci dogorywa na raka wątroby słynny pedofil morderca. Ponieważ przez kilka lat bawił się z policją w kotka i myszkę, władzom zależy teraz, by życie skończył na szafocie, a nie na pryczy. Gdy Reichhart dociera na miejsce, morderca jest już w śpiączce, a może nawet nie żyje. Mimo to kat wykonuje wyrok, nie zadając żadnych pytań.

Ciężka praca zostaje doceniona. W 1940 r. podlegają mu centrale egzekucyjne w całych dzisiejszych południowych Niemczech i północnej Austrii. Ciężarowym oplem blitzem, przydzielonym mu jako samochód służbowy, z ważącą pół tony gilotyną na pace kursuje między Stuttgartem, Frankfurtem nad Menem, Monachium, Dreznem i Wiedniem. Zdarza się, że jedzie ścinać głowy do Berlina, Kolonii czy Wrocławia.

Kat starej daty ma nowe zadania

„Do zobaczenia w wolnej ojczyźnie” – taki napis w celi norymberskiego więzienia umieścił bojownik czeskiego ruchu oporu Josef Medek, zanim 24 marca 1943 r. pomocnicy Reichharta zawlekli go na gilotynę. 40-letni Max Heindl zginął z ręki Reichharta 22 października 1943 r. tylko dlatego, że powiedział swojej kochance, iż Niemcy raczej nie wygrają wojny. Kobieta doniosła o tym Gestapo, a jej luby stanął przed Trybunałem Ludowym, który bez ceregieli skazał go na śmierć. 27 października 1944 r. z gilotyny stojącej w więzieniu w Wiedniu zdjęto ciało Wilhelma Hebry, który dostał karę śmierci za stworzenie antynazystowskiej grupy pragnącej obalić Hitlera, odłączyć Austrię od Rzeszy i przywrócić habsburską monarchię. Tydzień później Reichhart ściał Ferdinanda Langa. Na gilotynę poszedł za opowiadanie dowcipów politycznych. Razem z nim zginął Johann Reisinger, skazany za działalność w komunistycznym podziemiu.

Reichhart roboty ma tyle, że w ministerstwie komunikacji Rzeszy składa

prośbę o zwolnienie go z obowiązującego na autostradach ograniczenia prędkości do 80 km na godzinę, które wprowadzono, by zmniejszyć zużycie paliwa. Mimo tłumaczeń, że przez ograniczenia ledwie zdąży na zaplanowane egzekucje, resort odmawia.

Po wojnie będzie opowiadać, że zdarzały się noce, podczas których ścinał 30 osób. Wraz z asystentami stał przy gilotynie po kostki we krwi. Mimo to swój zawód traktował jako służbę państwu i wątpliwości nie miał, bo katów zatrudniano wówczas w większości krajów świata. A że przy gilotynie tryskała krew...

- Do każdej pracy można się przyzwyczaić - powie po wojnie.

Jego asystenci twierdzili, że pracę doprowadził do perfekcji. Przed egzekucją przyglądał się przez judasza skazanym, a potem wybierał ze skrzyni ostrze o odpowiednim ciężarze (zbyt lekkie nie przecięłoby szyi, zbyt ciężkie mogłoby uszkodzić gilotynę). Nigdy się nie pomylił. Zależało mu na tym, by egzekucje przeprowadzać szybko, by skazańcy nie musieli cierpieć. Zabronił wiązać im ręce, bo uznawał to za niegodne. Zamiast tego wprowadził specjalne kajdanki, które produkowano według jego wskazówek. Nie zasłaniał skazanym oczu opaską, kazał swoim asystentom zakrywać im powieki dłońmi. Wszystko musiało się odbywać błyskawicznie - ostrze gilotyny spadało po mniej niż dziesięciu sekundach od wprowadzenia ofiary. Uważał, że szybko wykonując swoją robotę, okazuje skazanemu szacunek. Przy gilotynie pomocnicy musieli być czysti, ogoleni, w garniturach, on sam zakładał muszkę i cylinder. Pogardzał kolegami, którzy katowskim rzemiosłem zaczęli się parać dopiero pod rządami Hitlera, którzy do „roboty” zakładali fartuchy i przysparzali skazanym dodatkowych cierpień. - To kaci z partyjnej nominacji, zwyrodnialcy i sadyści - mawiał.

Tylko raz, gdy w 1940 r. miał ściąć skazańca w więzieniu w Wiedniu, ostrze gilotyny zaklinowało się na prowadnicy kilkanaście centymetrów nad karkiem skazańca. - Bóg mnie ocalił, jestem niewinny! - wydzierał się więzień. W wielu krajach świata w takiej sytuacji egzekucje trzeba by przerwać. Ale w III Rzeszy wyroki bezwzględnie wykonywano. Reichhart z pomocnikami wyciąga ostrze do góry i ponownie spuszcza na kark skazańca. Tym razem mechanizm nie zawodzi. Kat jest w szoku, cały się trzęsie. W łóżku spędza miesiąc, ciągle słysząc ryki proszącego o łaskę mężczyzny.

W październiku 1944 r., gdy wezwano go do Monachium, okazało się, że w celach śmierci siedzą jego znajomi z bawarskiej prowincji, których skazano za wykorzystywanie seksualne dziewczynek. Reichhart potrzebował czasu, by się uspokoić przed robotą. Jeden z ludzi, których miał zgilotynować, podczas I wojny światowej uratował go od śmierci, wygrzebując go

z zasypanego okopu pod Verdun.

– Zrób to szybko – powiedział, zanim jego szyja znalazła się pod ostrzem.

Gilotyna ponad wszystko

Wynaleziona we Francji gilotyna dotarła do Niemiec wraz z wojskami Napoleona. Budziła strach i fascynowała nazistowskich notabli. Tymczasem Reichhart, choć mówiono o nim „król gilotyny”, swojego narzędzia nie lubił. Fascynowały go brytyjskie szubienice z zapadniami, na których można było pozbawiać ludzi życia jeszcze szybciej i wokół nie tryskała krew. Pisał w tej sprawie memoranda. „To bardziej efektywny i humanitarny sposób” – argumentował. W tajemnicy zbudował nawet własną szubienicę i podobno, łamiąc prawo, powiesił na niej kilku skazanych. Ale władze nazistowskie nie chciały słyszeć o rezygnacji z gilotyny. Na wieszanie decydowano się wtedy rzadko, zwykle wówczas, gdy chciano dodatkowo pognębić skazańców. Tak było w przypadku uczestników spisku na Hitlera z 20 lipca 1944 r., których powieszono na strunach fortepianu.

– Ścięcie to naturalny i męski sposób wykonywania egzekucji – twierdził Roland Freisler, którego w 1942 r. Hitler mianował przewodniczącym nazistowskiego Trybunału Ludowego i który wysłał na gilotynę tysiące ludzi. Julius Streicher, wydawca antysemitckiego tygodnika „Der Stürmer”, użył wszystkich swoich wpływów w partii i rządzie, by choć raz pozwolono mu oglądać egzekucję z bliska.

W latach 30. istotnie w niemieckim ścinaniu można się było dopatrzeć pewnego mrocznego piękna. Skazaniec po odczytaniu wyroku ostatnie godziny życia spędzał z duchownym w jednoosobowej celi. Jeśli sobie życzył, mógł spożyć ostatni posiłek lub napisać list do bliskich. Potem do celi wkraczał kat i jego pomocnicy. Gdy skazany stawał przed kotarą, za którą znajdowała się gilotyna, zaczynał bić dzwon więzienny. W latach 40., kiedy machina terroru nabrała rozpędu, rytuał zaczęto modyfikować. Nie ścinano już tylko nocą, ale także za dnia. Egzekucji nie ogłaszano przez bicie dzwonów, a czas między odczytaniem wyroku i egzekucją został skrócony. Od skazanych często pobierano krew dla rannych żołnierzy. Ostrza gilotyny, wcześniej wymieniane po każdym użyciu, teraz były wykorzystywane wielokrotnie.

Za Hitlera Reichhart zaczął jednak świetnie zarabiać. Roczne

wynagrodzenie wraz z dodatkami za wyjazdy sięgało 40 tys. reichsmarek, czyli ponad 120 tys. dzisiejszych euro. Dzięki temu dorobił się w Deisenhofen willi. Sąsiedzi raczej wiedzieli, co robi, ale milczeli. W tamtych czasach nie trzeba było wiele, by wylądować w celi Gestapo, a potem – pod urządzeniem obsługiwany przez Reichharta.

Mentor amerykańskiego kata

Gdy wiosną 1945 r. do bawarskiej stolicy wkroczyli amerykańscy żołnierze, miejscowi szybko wskazali im, gdzie mieszka nazistowski kat. Już wcześniej na podwórzu więzienia w Stadelheim żołnierze znaleźli opła z gilotyną na pace. Reichhart najwyraźniej wybierał się właśnie wykonywać kolejne wyroki.

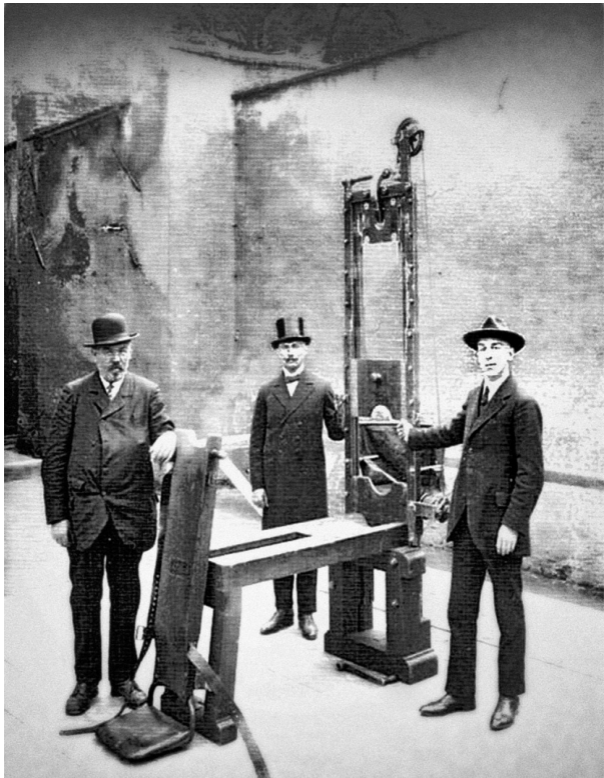
Teraz czarnoskóry Amerykanin siada za kierownicą i w konwoju jeepów rusza na południowe przedmieścia, gdzie mieszka „potworny zbrodniarz”. Żołnierze wywlekają Reichharta z domu i pod strażą wiozą na najbliższy cmentarz. Tam skręcają gilotynę i montują w prowadnicach ostrze. Po chwili Reichhart leży na ławie, a jego głowę przyciska drewniany kołnierz. Amerykanów, którzy oprócz Monachium zajęli także Dachau, gdzie w obozie koncentracyjnym odkryli tysiące ciał, świerzbiją palce. Nazistowskich zbrodniarzy najchętniej pozabijaliby na miejscu. Reichharta mają jednak tylko porządnie nastraszyć. Zamykają go na kilka dni w więzieniu. W końcu do celi przychodzi mówiący po niemiecku amerykański pułkownik. – Musi pan coś dla nas zrobić – mówi Reichhartowi. Okazuje się, że amerykańskim władzom okupacyjnym potrzebny jest żywy kat, ponieważ szykuje się sądowa rozprawa z nazistami. Jasne jest, że za zbrodnie III Rzeszy polecą głowy i ktoś musi je ścinać.

Główny proces norymberski rozpoczyna się 20 listopada 1945 r. Na ławie oskarżonych w Pałacu Sprawiedliwości zasiada 21 najważniejszych urzędników III Rzeszy i niemieckich wojskowych. Brak jedynie Hitlera, szefa propagandy Josepha Goebbelsa oraz dowódcy SS Heinricha Himmlera – popełnili samobójstwa. Nie ma też Martina Bormanna, szefa kancelarii NSDAP, który najprawdopodobniej zginął, próbując uciec z oblężonego Berlina. W Norymberdze sądzą go jednak zaocznie.

Wyroki śmierci na 11 oskarżonych, w tym Göringa, szefa dyplomacji III

Rzeszy Joachima von Ribbentropa i naczelnego dowódcę Wehrmachtu feldmarszałka Wilhelma Keitla zostają wydane 1 października 1946 r.

Reichhart – wciąż w amerykańskiej niewoli – szykuje się do ich wykonania. Wreszcie może zastosować brytyjski model szubienicy z zapadnią. W sali gimnastycznej więzienia w Norymberdze cieśle wznoszą pod jego nadzorem drewnianą konstrukcję, na której mają zawisnąć skazani. Amerykanie nie ufają jednak dawnemu katowi Hitlera na tyle, by pozwolić mu osobiście wieszać elitę III Rzeszy.



Kat Johann Reichhart (w środku) i jego pomocnicy.

16 października 1946 r. dziesięciu skazanym (Hermann Göring kilka godzin przed egzekucją popełnił samobójstwo) pętle zakłada starszy sierżant amerykańskiej żandarmerii John C. Woods. Ma już w dorobku 100 wykonanych egzekucji. Reichhart jednak i tak dodatkowo go instruował.

Mimo to norymberska szubienica działa wadliwie. Albo zapadnia jest za wąska, albo jej drzwi całkowicie się nie otwierają. Kilku skazanych, spadając, kaleczy sobie twarze. Julius Streicher, który kilka lat wcześniej przyglądał się egzekucjom na gilotynie, dusi się przez kilka minut, zamiast błyskawicznie umrzeć. Wilhelm Keitel kona prawie dwa kwadranse. Ani amerykańskiemu katowi, ani Reichhartowi nikt z tego powodu nie czyni wymówek.

- Ta praca to była przyjemność - mówi sierżant Woods.

W służbie amerykańskiej Reichhart wykonuje tam 146 egzekucji. Pracuje na zmianę z katami US Army i uśmierca nazistowskich zbrodniarzy skazywanych w kolejnych procesach norymberskich. Mieszka w swoim luksusowym domu pod Monachium, na egzekucje do Landsbergu jeździ amerykańskim jeepem. Wraca obciążony konserwami i papierosami. W okupowanych Niemczech to najcenniejsza waluta.

Na finansowym dnie

Gdy ostatni skazany na śmierć nazista dynda na szubienicy, Reichhart zostaje wysłany do obozu dla internowanych w Moosburgu, gdzie spotyka się z lodowatym przyjęciem Niemców. Osadzeni - nazistowscy urzędnicy średniego szczebla - mają go za zdrajcę. Załamany kat podcina sobie żyły, ale lekarze go ratują. W lazarecie, gdzie dochodzi do siebie, masakrują go inni więźniowie. Lekarzom znowu udaje się ocalić mu życie.

W 1948 r. staje przed działającym pod pieczęcią amerykańskich władz sądem denazyfikacyjnym.

- Wykonywałem wyroki śmierci, będąc przekonany, że służę państwu i działałem w mocy prawa. Ścinałem i wieszałem morderców, gwałtocieli, zdrajców i szkodników, będąc przekonany o prawomocności wyroków - tłumaczy sędziemu. - Dopiero teraz widzę, jak bardzo moje ślepe posłuszeństwo państwu zostało wykorzystane.

Za ścięcie rodzeństwa Schollów i innych ofiar III Rzeszy nie odpowiada,

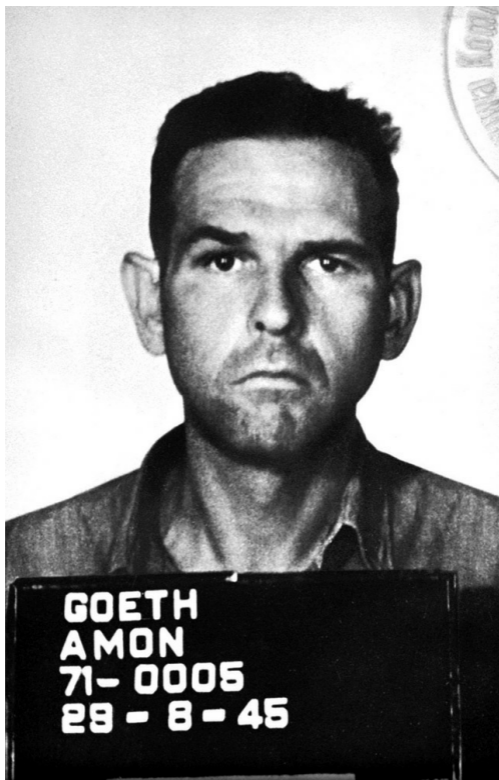
bo uznano, że faktycznie tylko wykonywał wyroki. Na niekorzyść przemawia jednak jego gorliwość i to, że na egzekucjach się wzbogacił. Sąd uznaje Reichharta za „obciążonego nazizmem”. Połowa majątku zostaje skonfiskowana, jemu samemu nie wolno pracować w służbie publicznej. Nie wolno mu nawet posiadać własnego samochodu.

Gdy kat zostaje uznany za nazistę, jego najstarszy, 23-letni syn Hans popełnia samobójstwo.

W połowie lat 60., gdy Niemcami wstrząsa seria morderstw taksówkarzy, Friedrich Kühn, poseł CDU, rzuca hasło przywrócenia zniesionej w 1949 r. kary śmierci. „Za” jest też były kanclerz Adenauer. Powstaje organizacja mająca lobbować w tej sprawie, Reichhart zostaje jej honorowym członkiem. Proponuje odkurzyć pochowane w więziennych magazynach gilotyny. Sam nie zamierza wracać do zawodu. – Ja do tego nie przyłożyłbym więcej ręki – mówi dziennikarzom tygodnika „Die Zeit”

W tym czasie jest na finansowym dnie. Mieszka dalej w Deisenhofen, dokąd niegdyś uciekł przed długimi językami. Zarabia na życie, sprzedając mydło, które sam wytwarza i miesza z perfumami. Państwo wypłaca mu marne 220 marek renty. Ludzie tak jak przed wojną pogardzają nim. Reichhart znów ma myśli samobójcze. Ale nie ma siły, by odebrać sobie życie. Powoli trawi go choroba układu nerwowego. Sparaliżowany umiera w jednym z bawarskich domów opieki w 1972 r.

Przez lata uważano, że gilotynę, na której Reichhart ściął rodzeństwo Schollów, po wojnie wrzucono do Dunaju. W 2014 r. odnalazła się jednak w magazynach Bawarskiego Muzeum Narodowego.



GOETH
AMON
71-0005
29-8-45

Amon Göth

Amon Göth, komendant obozu koncentracyjnego w Płaszowie, miał zły dzień, jeśli własnoręcznie nie zabił jakiegoś więźnia. Jego córka Monika Hartwig dowiedziała się o tym wiele lat po wojnie

Wisiałem cały dzień na telefonie, zanim dodzwoniłem się do Moniki. – Chciałbym się z panią spotkać i porozmawiać o pani ojcu, SS-Hauptsturmführerze Amonie Göcie – powiedziałem, gdy wreszcie podniosła słuchawkę.

– Nie. Dlaczego to ja muszę ciągle opowiadać o swojej przeszłości? Proszę sobie poszukać kogoś innego! – wykrzyczała Hertwig i się rozłączyła.

Z tym telefonem spóźniłem się kilka lat. Jeszcze w 2005 r. niemiecka prasa pisała o Hertwig z uznaniem, że „wyruszyła szukać prawdy”, a z artykułów biło współczucie.

Ta 67-letnia dziś Niemka mieszkająca od urodzenia w Weissenburgu w Bawarii dźwiga straszliwe brzemię. Jej ojciec – zbrodniarz i sadysta – w hierarchii SS stał wprawdzie nisko: był hauptsturmführerem, czyli ledwie kapitanem, ale jego nazwisko zna cały świat.

Stało się tak za sprawą Stevena Spielberga i jego sławnego filmu „Lista Schindlera”. Za rolę Amona Götha brytyjski aktor Ralph Fiennes dostał nominację do Oscara. W 1994 r. film zdobył siedem statuetek.

Tata był bohaterem

W domu o ojcu wszyscy wypowiadali się w superlatywach. Mówili, że zginął bohaterską śmiercią. Gdzie? Na wojnie. Jak? Tego małej Monice nikt nie tłumaczył. Poza domem, w szkole, kościele o popełnianych przez Niemców zbrodniach milczano. Zaraz po wojnie wielu uważało Holocaust za mistyfikację.

Ojca nigdy nie widziała na własne oczy. Gdy w listopadzie 1945 r. przyszła na świat, Amon Göth siedział w więzieniu w Monachium-Stadelheim. Następnie Amerykanie przewieźli go do Dachau, gdzie w dawnych obozowych barakach założyli obóz internowania dla nazistów. Rok później, już w Polsce, został stracony. Przez lata Monika nie miała o tym pojęcia. Ruth Kalder, jej matka, traktowała ojca jak świętego – choć nie była jego żoną, lecz kochanką, po wojnie przyjęła nazwisko Göth.

Monika dopiero jako nastolatka wydusiła z niej, że tata był esesmanem, komendantem obozu pracy w Polsce. Gdy po raz pierwszy usłyszała nazwę „Płaszów”, wrzuciła ramionami. Przecież to nie Auschwitz, obóz zagłady, którego złowrogą nazwę Niemcy już znali.

Według jej wersji prawdę o ojcu powiedziała jej babcia.

– Skończysz tak jak Amon – rzuciła kiedyś.

– Czyli jak?

– Na szubienicy!

Babcia dorzuciła potem sporo szczegółów z życiorysu Amona Götha.

Dziennikarzowi „Frankfurter Allgemeine Zeitung” Hertwig opowiadała, że legenda o wspaniałym ojcu upadła w knajpie Bungalow w centrum Monachium. Na przedramieniu jej właściciela Manfreda zobaczyła wytatuowany numer. Zapytała o obóz, w którym był więziony.

– I tak nie będziesz wiedziała, gdzie to jest – odparł Manfred.

Ale naciskany przez dziewczynę wymówił słowo „Płaszów”.

– To miałeś szczęście, było ci dobrze, bo tam komendantem był mój ojciec! – wykrzyknęła radośnie. Manfred zbladł.

Mony, syn Amona

– Gdy zobaczysz Götha, zobaczysz śmierć – wspominał po latach Poldek Pfefferberg, jeden z ocalałych żydowskich więźniów Płaszowa. Komendant był niebywałym sadystą – więzień tego obozu mógł mówić o szczęściu, jeśli przeżył w nim kilka tygodni.

W domu rodzinnym w Wiedniu wołali na niego „Mony”, by odróżnić go od ojca Amona seniora – w rodzinie Göthów imię najważniejszego boga starożytnego Egiptu przechodziło z pokolenia na pokolenie.

Przed wybuchem I wojny światowej ojciec prowadził wydawnictwo zajmujące się sprzedażą pocztówek oraz książek religijnych i patriotycznych. Interes szedł świetnie, Göth senior sporo podróżował. Rodzice zajęci robieniem interesów nie mieli jednak czasu dla syna.

Dlatego wysłali go do internatu w urokliwym miasteczku Waidhofen nad rzeką Dyją. Liczyli na to, że prowadzący szkołę księża utemperują niepokornego syna. W Waidhofen uczniów wychowywano twardą ręką. Bicie i poniżanie było na porządku dziennym. Ale Göth nie zmiękł. Im bardziej znęcali się nad nim wychowawcy, tym bardziej tężał. Biografowie uważają, że właśnie wtedy stał się sadystą.

Miał 17 lat, gdy przyłączył się do Stowarzyszenia Narodowosocjalistycznej Młodzieży Robotniczej Niemieckiej Austrii, jednej z wielu działających w kraju nazistowskich organizacji. Zrobił to pod wpływem kolegi z internatu, który wcześniej wziął go na spotkanie ze starszymi nazistami – mieli oni już wcześniej tępić w okolicy „żydowską zarazę”. – Żydzi to twój wróg – pouczali chłopaka. Amon był tym zafascynowany. Naziści zastąpili mu rodziców, dali sens życia. Był 1925 r. Göth porzucił internat, nie zrobiwszy matury. Rodzice byli załamani.

Gdy ma 23 lata, wstępuje do działającej w Austrii NSDAP. Jest rok 1931, partia nazistowska rośnie w siłę, a młody wiedeńczyk podziwia Adolfa Hitlera i coraz mocniej nienawidzi Żydów oraz komunistów. Gdy Hitler przejmuje władzę, ogarnia go euforia.

Zostaje członkiem austriackiego SS. Jego Schutzstaffeln podlegają Himmlerowi, ale nie paradują w czarnych mundurach, jak ich koledzy w Niemczech. Po przeprowadzonym w 1934 r. udanym zamachu na silnego człowieka Austrii, kanclerza Engelberta Dollfussa, partia nazistowska nad Dunajem zostaje zdelegalizowana. Esesmani spiskują więc w konspiracji i w oczekiwaniu na Anschluss, czyli przyłączenie Austrii do Rzeszy, organizują terrorystyczne ataki.

List gończy za zorganizowanie zamachu bombowego w Krems nad Dunajem wysłany zostaje także za Göthem, więc młody nazista wiosną 1933 r., wówczas już podoficer SS, ucieka do Monachium. Wśród swoich czuje się jak w domu. Potem kursuje między Austrią i Bawarią jako kurier NSDAP. Zakonspirowanym towarzyszom przywozi radia i rozkazy z centrali. Rodzice są przerażeni tym, że ich syn zaangażował się w politykę, i to po stronie nazistowskich terrorystów. Miał przecież przejąć wydawnictwo ojca. Dlatego

wyszukują mu żonę, Olę Leopoldynę Janauschek, córkę przedsiębiorcy przewozowego. Może kobieta go utemperuje?

Göth żeni się z nią w 1934 r., gdy śledztwo przeciwko niemu zostaje zamknięte z braku dowodów. Ale ze stateczną, niezainteresowaną polityką żoną nie potrafi znaleźć wspólnego języka. Ucieka do brunatnych. W 1936 r. dostaje rozwód. Cztery lata później jego kościelne małżeństwo unieważni wiedeński sąd biskupi.

Po anszlusie Austrii i najeździe na Rzeczpospolitą wraca do Wiednia, przejmując rodzinny interes, lecz zamiast świętych obrazków wydaje albumy wojenne, m.in. kronikę zwycięskiej kampanii w Polsce. Książki świetnie się rozchodzą, Göth i jego ojciec (matka zmarła w 1936 r.) zostają milionerami. Ma też nową żonę Anne Geiger. Pobrali się w 1938 r. Dużo młodsza kobieta dorównuje mu temperamentem. Jest sportsmenką. Wyczynowo jeździ na motorze, ściga się samochodami. Göth się przy niej nie nudzi. Kiedy na świat przychodzi ich syn Peter, Göth jest szczęśliwy. Czuje, że prowadzi życie wzorowego nazisty.

Ale mimo to podpada nazistowskim władzom. Po pierwsze dlatego, że chce za wszelką cenę rozszerzyć interes i zmonopolizować rynek. Po drugie, jego przedstawiciele handlowi, którzy z książkami pod pachą grasują po osiedlach, zachowują się jak gangsterzy. Wybierają kobiety, których mężowie są na froncie, i wręcz wmuszają im drogie książki, twierdząc, że zakup jest obowiązkiem każdego Niemca. Wystraszone kobiety nie mają odwagi odmówić. O sprawie pisze organ SS, ojciec Götha zostaje wezwany na dywanik w Izbie Wydawców Rzeszy – instytucji zrzeszającej wszystkich przedsiębiorców branży wydawniczej. Obiecuje, że utemperuje syna.

Kat Lubelszczyzny i Krakowa

Żydzi z krakowskiego getta stoją w kolumnie, w każdym szeregu po pięć osób. Wkrótce mają ruszyć do zbudowanego na skraju miasta obozu w Płaszowie. Do kolumny podchodzi wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. W ręku trzyma pejcz. Na skórzanym płaszczu nosi dystynkcje SS-Obersturmführera, czyli porucznika. Podchodzi do kobiety trzymającej na rękach niespełna trzyletnie dziecko. Wyrwa je i z impetem rzuca o bruk. Gdy kobieta chce je ratować, bije ją pejczem. – Los! [Naprzód] – każe jej

i całej kolumnie maszerować do obozu. Wyszukuje kolejne Żydówki z małymi dziećmi na rękach, wrywa maluchy i w ten sam sposób zabija. Gdy któraś z matek broni dziecka, sięga po pistolet. Trupy kobiet butem spycha na pobocze. W taki sposób Amon Göth asystuje w ostatniej fazie likwidacji krakowskiego getta. Jest 13 marca 1943 r.

Wcześniej rzucił biznes wydawniczy – po rodzinnej tragedii. Gdy zimą 1940 r. wrócił do mieszkania, zastał swojego ukochanego synka martwego. Dziecko przechodziło błonicę i udusiło się w wyniku komplikacji. Zrozpaczony Göth znowu ucieka do ludzi w czarnych mundurach. Na ochotnika wstępuje do Waffen-SS, podległej Himmlerowi formacji wojskowej. Służy na przejściu granicznym z Protektoratem Czech i Moraw w Cieszynie, potem – w przyłączonych do Rzeszy Katowicach. Zajmuje się aprowizacją przybywających z ZSRR volksdeutscheów. Przełożeni wystawiają mu laurki: „Wspaniały organizator, gotowy zniszczyć świat, by osiągnąć cele”, „Gotowy do zabijania. Nie z nienawiści do Żydów i podludzi, ale dlatego, że wie, że człowiek nie dość twardy, by pozbawiać życia, nie może dowodzić” – pisze o nim SS-Obergruppenführer Werner Lorenz, szef katowickiego urzędu zajmującego się volksdeutscheami, który ma na sumieniu wysiedlanie tysięcy Polaków, by zrobić miejsce dla przybywających ze wschodu Niemców.

W 1942 r. Amon trafia do sztabu Odila Globocnika, szefa SS i policji w dystrykcie lubelskim, który przeprowadza tam „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Göth odpowiada za likwidację małych gett i zadania wykonuje wzorowo. Getta otacza kordonem ukraińskich czy litewskich esesmanów i wyprowadza mieszkańców. Dzieci i starców zabijają na miejscu, resztę poddają selekcji. Ci, którzy są w stanie przekupić Götha np. diamentami czy futrami, jadą do obozu pracy pod Kraśnikiem, reszta – do fabryki śmierci w Bełżcu, do komory gazowej.

Informacje o łapówkarstwie dochodzą do przełożonych i Göth zostaje karnie przeniesiony do Krakowa. Tam w marcu 1943 r. dostaje zadanie zlikwidowania krakowskiego getta. Rozkaz wydaje generalny gubernator Hans Frank. – Jeśli żydowskie plemię przeżyłoby wojnę, a my dla ocalenia Europy poświęcilibyśmy naszą najlepszą krew, to byłoby to częściowe zwycięstwo – mówił na posiedzeniu rządu Generalnego Gubernatorstwa pod koniec 1942 r. Podczas akcji 2 tys. ludzi zostało zastrzelonych na ulicach. Część mieszkańców na rozkaz Götha SS pakuje do wagonów i wysyła do Auschwitz. Resztę uznanych za zdolnych do pracy gnają do obozu w Płaszowie. Do końca wojny przewinie się przezeń 150 tys. więźniów, a przeżyje mniej niż połowa. Przez dokładnie 500 dni Göth będzie tam panem życia i śmierci. „Jestem wreszcie swoim własnym dowódcą” – napisze do ojca.

Więźniom od razu oświadczył, że jest ich bogiem. – W dystrykcie lubelskim załatwiłem 60 tys. Żydów. Teraz wasza kolej! – krzyczał. Później dostaje awans na SS-Hauptsturmführera, czyli kapitana.

Dziedzictwo Moniki

Monika Hertwig może wyparłaby ojca z pamięci, gdyby nie opublikowana w 1982 r. książka „Lista Schindlera”. Jej autor, australijski pisarz Thomas Keneally, spisał historię opowiedzianą przez więźnia Płaszowa. „Lista...” stała się światowym bestsellerem, wyszła też w Niemczech. A w Weissenbergu dziennikarze BBC odnaleźli matkę Moniki. Zgadza się z nimi rozmawiać, ale dzień później popełnia samobójstwo – przedawkowuje środki nasenne. Pielęgowany przez nią mit Amona Götha się rozsypał.

To na podstawie tej książki Spielberg nakręcił film. Monika idzie do kina specjalnie po to, by zobaczyć ojca. Czeką przez kilkadziesiąt minut, aż wreszcie kamera pokazuje scenę, gdy przez krakowskie getto jedzie w odkrytym samochodzie zgorszony oficer SS. Od razu go poznaje. Ralph Fiennes nawet bez munduru SS tak przypomina Götha, że dawni więźniowie Płaszowa, których spotykał podczas przygotowywania się do roli, trzęśli się ze strachu.

– Znienawidziłam tego Spielberga. Pokazał mi prawdę o ojcu – mówi Monika.

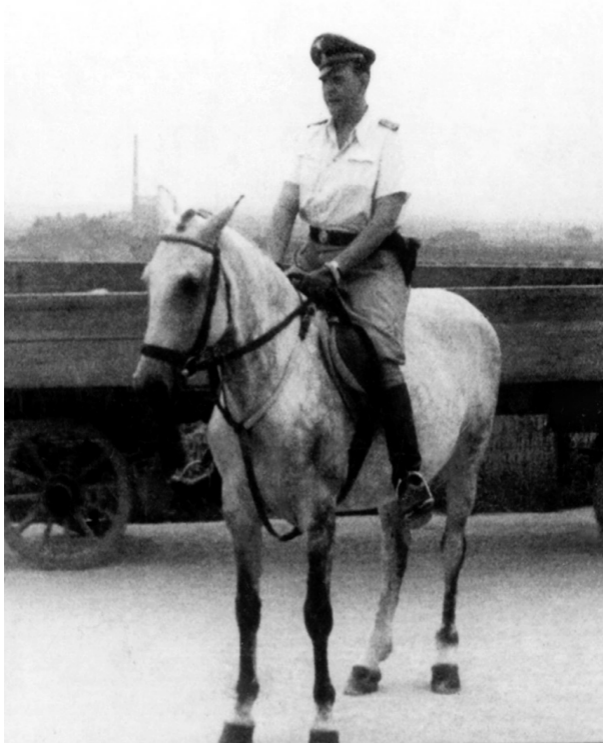
Próbuje radzić sobie z przeszłością. Nawiazuje kontakt z dawnymi więźniami Płaszowa. Spotyka się z młodzieżą. – Ale pani twarda – mówią młodzi Niemcy, gdy dowiadują się o jej brzemienu. A ona czuje, że pęka od środka.

Nawiazuje kontakt z Heleną Sternlicht, krakowską Żydówką, więźniarką Płaszowa. Przeżyła, bo ojciec wyznaczył ją na swoją pokojówkę. Zamiast w baraku mieszkała w willi, którą Göth kazał sobie postawić na skraju obozu. Widziała, jak znęca się nad więźniami, jak ich morduje. Zresztą Göth znęcał się też nad nią. – Ty żydowska szmato! – krzyczał, tłukąc ją pięścią po głowie.

Aby nie prowokować Götha do większego bestialstwa, Sternlicht uśmiechała się, udając zadowolenie. Miała szczęście, bo Göth traktował służące jak swą własność i był o nie chorobliwie zazdrosny. Gdy jeden z gości dotknął innej pracującej w willi dziewczyny, Göth natychmiast kazał

ją rozstrzelać.

Monika i Helena spotkały się w Płaszowie w 2004 r. Sfilmował to amerykański reżyser James Moll, twórca filmu „Dziedzictwo”. Kamera pokazała, jak na miejscu zbrodni próbują rozliczyć się z Göthem. Dla Moniki to spotkanie z ojcem, którego nie znała. Dla Heleny – powrót do piekła. Moll dostał za film nagrodę Emmy – to odpowiednik Oscara przyznawany filmom telewizyjnym.



Amon Göth na koniu i w czapce esesmańskiej, która podobnie jak kapelusz tyrolski zwiastowała, że zamierza strzelać do więźniów.

W dawnej willi komendanta Götha Helena ze zdumieniem słuchała, jak Monika opowiadała, co jej matka po wojnie mówiła o Holocauście. Że Żydów zabijano ze względów sanitarnych, bo przenosili choroby.

Żydówka spytała też córkę komendanta o jego dzieciństwo. Czy ktoś zrobił mu coś, przez co stał się sadystą? Monika tylko zapłakała.

Jak ubiera się komendant

Kobieta stoi przy kotłach, gotuje w nich jedzenie dla zwierząt. Ukradkiem zjada jednego kartofla. Nie ma pojęcia, że zauważył to Göth. Komendant skrada się do niej z pistoletem w dłoni. Ona zauważa go w ostatniej chwili. W oczach ma niedowierzenie zmieszane ze strachem, gdy Göth pociąga za spust. Trafiona w głowę jeszcze żyje. Göth każe więc stojącym obok więźniom wrzucić ją do wielkiego garnka. Konająca wrzeszczy w gotującej się wodzie, komendant każe więc przykryć kocioł. Jeden z więźniów nie wytrzymał, ucieka. Göth strzela mu w plecy.

Więźniowie Płaszowa wspominają, że niebezpieczeństwo zwiastował już strój, w jakim Amon Göth wychodził z willi. Jeśli było to zwykłe nakrycie głowy, można było odetchnąć. Ale gdy zakładał czapkę oficera SS albo kapelusz tyrolski, było jasne, że wyszedł na polowanie.

Podobnym sygnałem był biały szal – gdy go zakładał, oznaczało to, że nie wróci do willi, póki kogoś nie zabije. Jedynym ratunkiem było zadekowanie się w latrynach. Göth w poszukiwaniu ofiar zapuszczał się do baraków, ale od latryn trzymał się z daleka.

Często jechał przez obóz konno albo w odkrytym mercedesie. Nocą chodził z latarką w ręku i polował na pracujących na drugą zmianę więźniów, którzy śniali się na nogach z wycieńczenia.

Zabijał za byle co. Kucharz podał zbyt gorącą zupę, dziewczyna zaśmiała się głośno na placu, więzień niewłaściwie się zameldował, woźnica skorzystał z powozu bez pozwolenia – komendant wyciągał broń i strzelał z bliskiej odległości w głowę. Potrafił też załuc więźnia pejcem lub zmiażdżyć mu głowę, waląc w nią cegłą. Albo spuścić na Żydów Ralfa i Alfa – psy wytresowane do zabijania. Dosłownie rozrywały one ludzi na kawałki.

Przełożeni Götha z SS mieli całkowitą rację. Ten facet wiedział, że „człowiek nie dość twardy, by pozbawiać życia, nie może dowodzić”

Mietek Pemper, doskonale wykształcony żydowski więzień, z którego zrobił sekretarza, wspominał, że Göth przerwał dyktowanie listu, by zastrzelić dwie osoby. Chwilę później zachowywał się, jakby nic się nie stało.

Bezlitośnie karał za uciezki. Ginęli nie tylko złapani więźniowie, ale też kapo, którzy ich nie upilnowali. Egzekucje oglądał cały obóz.

Zabijanie sprawiało mu przyjemność. Gdy Göth, odwracając się od leżącego w kałuży krwi ciała, chował rewolwer do kabury, na jego twarzy malowały się zadowolenie i spokój. Najbardziej fascynowało go zabijanie z zaskoczenia – uwielbiał dostrzegać je w oczach ofiar. Przechodząc przez obóz, faktycznie czuł się jak egipski bóg, którego imię nosił.

Pewnego razu podszedł do kobiet rozbijających macewy – uzyskanymi tak kamieniami więźniowie utwardzali drogi w obozie. Zabrał młot jednej z nich i pokazał, jak należy wykonywać tę pracę. A gdy więźniarka wróciła do roboty, zastrzelił ją.

Według świadków uważał, że dzień będzie nieudany, jeśli kogoś nie zabije. Spielberg pokazał w filmie, że balkon swojej willi zamienił w strzelnicę, a ofiary wyszukiwał przez lunetę karabinu snajperskiego. Podobno często brał na cel kobiety z dziećmi na rękach, chcąc w ten sposób sprawdzić, czy jednym pociskiem można zabić dwie osoby. Do więźniów strzelał też, jadąc między barakami samochodem. Jak wynika z powojennych szacunków, komendant Płaszowa zabił własnoręcznie ponad 500 osób.

Naturalnie nie był jedynym sadystą w obozie. Przyjemność z mordowania czerpał też jego ochroniarz Franz Grün, który szczególnie upodobał sobie kopanie ludzi w genitalia. Inny – pochodzący z Katowic Leonard John – polował na więźniów, którzy załatwiali się poza toaletami. Jeszcze inny – Karl Heinz Biggell, urzędnik generalnego gubernatora Hansa Franka, który pracował w obozowej administracji – by zaimponować Göthowi, zabił na jego oczach czteroosobową żydowską rodzinę.

Zabawy w willi Götha

Monika Hertwig pytała Helenę Sternlicht o swą matkę. Jak w Płaszowie zachowywała się Ruth Kalder?

Pochodząca z Gliwic kobieta, córka działacza NSDAP, która przed wojną uczyła się na aktorkę, trafiła do willi Götha wiosną 1943 r. Została jego

kochanką. Komendant poznał ją przez Oskara Schindlera, przedsiębiorcę, który w 1939 r. przejął krakowską fabrykę wyrobów emaliowanych. Ruth, którą wcześniej odkomenderowano do Krakowa jako sekretarkę oddziału Wehrmachtu, też prowadziła u niego sekretariat. Göth traktował Schindlera jak przyjaciela, regularnie gościł w willi. O Ruth mówił per „Majola”.

Zanim ją poznał, ściągał z Krakowa polskie prostytutki. Był niewyżyty seksualnie. Ale „Majola” była w stanie go zaspokoić.

Schindler wykorzystywał zażyłość z Göthem, by ratować więzionych w Płaszowie Żydów. Jako jedyny potrafił hamować mordercze żądze Amona i umiał skłonić go do schowania wyciągniętego już z kabury rewolweru.

Pod koniec wojny udało mu się wykupić z obozu 1,1 tys. Żydów (ich nazwiska figurowały na słynnej „liście Schindlera”), którzy trafili do fabryki zbrojeniowej w Brünnlitz w Sudetach i tam doczekali końca wojny. Gdyby nie przemysłowiec, zginęliby w Auschwitz.

Monika chciała wiedzieć, czy jej matka też pomagała Żydom.

– Powiedziała mi, że pomogłaby nam, gdyby była w stanie. Ale nie jest – odpowiadała Helena. Podobno raz zagroziła komendantowi, że jeśli nie przestanie mordować Żydów, nie będzie z nim sypiać. Po kilku dniach wycofała to ultimatum, ale i tak wśród więźniów miała dobrą opinię.

W willi Götha mieszkała w luksusowych wnętrzach – meble i dywany pochodziły ze splądrowanych żydowskich mieszkań. Gdy jej kochanek polował na więźniów, ona opalała się na balkonie albo grała w tenisa z żonami innych esesmanów. Helena Sternlicht wspomina, że najczęściej widywała ją z maseczką na twarzy – Ruth była dyplomowaną kosmetyczką. Siedziała w wannie, słuchała głośnej muzyki, wszystko po to, by nie widzieć i nie słyszeć tego, co jej kochanek wyprawiał w obozie.

Wieczorami w willi Amona odbywały się przyjęcia. Stoły uginały się pod ciężarem jedzenia – Göth uwielbiał tatar, drogi alkohol lał się u niego strumieniami. Gospodarz urządzał też orgie. Słyszac muzykę i krzyki rozbawionych esesmanów dochodzące z salonów komendanta, więźniowie wiedzieli: tej nocy Göth nie wyjdzie na łowy.

Więzień obozu w Dachau

W filmie „Lista Schindlera” jest scena wieszania Amona Götha. Polscy kaci

kopią w krzesło, na którym stoi pod szubienicą ze stryczkiem na szyi, ale mebel nie chce się wyrócić.

W rzeczywistości Götha wieszano aż trzy razy. Na filmie z egzekucji widać, jak Göthowi przed śmiercią kat w polskim mundurze ściąga kapelusz, a esesman potulnie wchodzi na szafot. Kat szarpie za dźwignię i trafia go szlag. Sznur, na którym miał zawisnąć zbrodniarz, jest za długi. Oszołomiony Göth wpada do zapadni pod szubienicą. Kat i jego asystenci przygotowujący szafot poprawiają sznur ze stryczkiem, ale dzieje się to samo. Emocje wśród Polaków sięgają zenitu, tylko Göth wydaje się zły. Czemu oni nie potrafią tego skończyć tak, jak trzeba? Zanim ostatecznie zawisnął, krzyknął: „Heil Hitler!”

Niewiele brakowało, a sami Niemcy pozbawiliby go życia. Pod koniec 1944 r. Götha odwołano z Płaszowa i postawiono przed sądem SS za „przywłaszczenie majątku i pieniędzy więźniów żydowskich mające na celu osobiste wzbogacenie się”.

Faktycznie: grabił bezlitośnie. Jeszcze w gettach na Lubelszczyźnie wchodził do pomieszczeń, w których mieszkali Żydzi, i na stole rozwijał obrus. Obecny kazał kłaść nań złoto, dolary i inne kosztowności. Potem rozpoczął rewizję. Gdy odkrył, że któryś z Żydów coś ukrył, np. w bieliźnie, zabijał go na miejscu. Żydowski majątek zgodnie z niemieckim prawem przechodził na własność Rzeszy, tymczasem Göth kazał gromadzić kosztowności w swojej willi.

Drogie meble i obrazy jego ludzie sprzedawali na czarnym rynku. Tak samo było w płaszowskim obozie, gdzie dorobił się kolejnych milionów. Część jego majątku Schindler przewiózł do swojej fabryki w Sudetach. W jednej z hal leżało 60 skrzyń wypełnionych różnymi towarami z inicjałami „A.G.”

Szeregowych esesmanów kłuło to w oczy. „Nasi żołnierze giną na froncie wschodnim, a Göth żyje jak pasza” – pisali w donosach. 13 sierpnia 1944 r. do willi wkroczyło Gestapo. Komendant Płaszowa został przewieziony do Wiednia, aby tam stanąć przed sędzią z SS.

Innych przyłapanych na kradzieży esesmanów sądy skazywały na kary śmierci, ale Göth z powodu złego stanu zdrowia wyszedł z aresztu za kaucją. Zdążył jeszcze odebrać skrzynie ze swoim majątkiem od Schindlera. Końca wojny doczekał w sanatorium w Bad Tölz pod Monachium, gdzie w kwietniu 1945 r. Amerykanie aresztowali go i przewieźli do obozu dla internowanych na terenie byłego kacetu w Dachau.

Początkowo nie zdawali sobie sprawy z tego, kim był. Dopiero gdy nazwisko Göth zostało opublikowane na liście aresztowanych nazistów, ocaleli z Holocaustu otworzyli im oczy.

W lipcu 1946 r. razem z pierwszym komendantem KL Auschwitz Rudolfem Hösem został wydany Polsce. Gdy przybyli do Krakowa, gdzie mieli być sądzeni, cudem uniknęli linczu. Gmach sądu otaczał tłum wściekłych ludzi marzących tylko o tym, by dorwać Niemców i rozerwać ich na strzępy. Przed sądem Göth stał butny i zaprzeczał oskarżeniom. Na widok ocalonych z Holocaustu Żydów, którzy przewijali się przez widownię, wycedził: – *Tylu ich? Uns hat man immer gesagt, da wird kein Schwanz übrig bleiben* [Mówiono nam zawsze, że nie przeżyje żaden chuj].

Wyrok śmierci na Götha zapadł 5 września 1946 r. Wykonano go tydzień później.

Co myśli Monika Hertwig?

– Najbardziej boję się, że jestem taka jak Amon Göth – mówi Monika Helenie Sternlicht. Schindler, którego po wojnie spotkała z matką we Frankfurcie nad Menem, powiedział jej, że nie wyprze się ojca. Taka jest podobna. Byli więźniowie Płaszowa też widzą to podobieństwo.

Kilka lat temu zadzwonił do niej jakiś Kanadyjczyk. Mówił, że podziwia jej odwagę. Wściekła się. – Niech pan podziwia Helenę, innych więźniów z Płaszowa. Ja chcę tylko uporządkować swoje życie.

Czy udało jej się rozliczyć z ojcem? Nie wiem. Ze mną Monika Hertwig też nie chce rozmawiać.

O dziadku dużo mówi za to jej córka Jennifer Teege. Jest ciemnoskóra, tak jak jej ojciec. Monika wkrótce po urodzeniu oddała ją do adopcji. Jennifer o historii dziadka dowiedziała się niedawno z jej książki. Sama też napisała książkę o Amonie Göcie. Nosi tytuł „Mój dziadek by mnie zastrzelił”.



1938 r., gmina Stein w Palatynacie. Eva Justin mierzy czaszkę Cyganki.
Na podstawie takich badań, analizy drzewa genealogicznego oraz rozmów

z badanymi Justin i inni pracownicy Zakładu Badań Higieny Rasowej stwierdzali, ile romskiej krwi ma badany. Żeby zostać uznanym za przedstawiciela tej rasy, wystarczyło mieć praprapradziadka Roma.

Eva Justin

Jej podpis na diagnozie rasowej oznaczał wyrok śmierci dla Cygana lub człowieka mającego dalekiego romskiego przodka. Po wojnie kontynuowała swoje badania

Taśma filmowa, choć kolorowa, nie jest najlepszej jakości, ale widać, że tego dnia pogoda dopisała. Dzieci były szczęśliwe. Bez troski hasały po podwórku, śmiejąc się do kamery. Była jesień 1942 r. Setki tysięcy żołnierzy Hitlera walczyły o każdą piędź ziemi w zamienionym w gruzowisko Stalingradzie. W Afryce Rommel wdarł się do Egiptu; wydawało się, że zdobycie Kanału Sueskiego to tylko kwestia czasu. Zwycięstwo III Rzeszy było na wyciągnięcie ręki, ale w wirtemberskim miasteczku Mulfingen, w połowie drogi między Heilbronnem a Würzburgiem, w ogóle wojny się nie czuło. Na filmie widać idyllę.

To jednak złudzenie. Dzieci do Mulfingen nie przyjechały na wakacje. W kadrze pojawiają się zakonnice w habitach, które z nimi tańczą. To siostry szarytki, opiekunki z sierocińca św. Józefa. Wychowanków trzymały krótko. W niemieckich domach dziecka panowała wówczas żelazna dyscyplina, krnąbrnych podopiecznych karcono pięścią i batem. Nawet w placówkach prowadzonych przez zakonnice.

Poza tym to nie były zwykłe niemieckie sieroty. Wystarczy spojrzeć na ich twarze – to cygańskie dzieci. Ich rodziców Niemcy albo zabili, albo zesłali do obozów koncentracyjnych, gdzie czekała ich śmierć. Dzieci z filmu wkrótce spotka taki sam los. Wyrok na nie skrupulatnie spisywała wówczas kobieta, która trzymała się z daleka od kamery. Dzieci widywały ją każdego dnia przez wiele godzin. Rozdawała im cukierki, głąskała je po głowach,

co chwila rzucając jakieś słowo w romani. – *Na daran* [Nie bójcie się] – uspokajała.

Eva Justin, antropolożka rasowa, w Mulfingen przygotowywała doktorat pt. „Losy odebranych rodzicom cygańskich dzieci i ich potomstwa”. Tytuł wprowadzał w błąd. Dzieci z sierocińca służyły jej tylko za króliki doświadczalne, na ich przykładzie zamierzała udowodnić społeczne upośledzenie Romów.

Zakonnice robiły to, co im kazała, i starały się schodzić Justin z drogi. Antropolożka przywykła do takiej uwagi. Gdy wcześniej odwiedzała obozy koncentracyjne, gdzie również prowadziła badania, komendanci traktowali ją jak wysokiego stopniem oficera SS – miała bowiem pełnomocnictwa najważniejszych instytucji III Rzeszy. Wynikami jej badań interesował się kontrolujący cały aparat bezpieczeństwa w państwie Heinrich Himmler.

Himmler na punkcie rasy miał obsesję. Zamierzał zaludnić podbity przez III Rzeszę wschód tysiącami jasnowłosych, niebieskookich Aryjczyków, dziećmi starannie dobranych pod względem rasowym rodziców. Pionierami rasowych przemian mieli być członkowie SS, organizacji, którą Himmler chciał przekształcić w nowy niemiecki zakon rycerski. Do SS polecił przyjmować tylko czystych rasowo. Żenić wolno im się było jedynie z czystymi rasowo kobietami. Tych kryteriów jednak nie zawsze przestrzegano, a pod koniec wojny, gdy kości jasnowłosych, niebieskookich rekrutów bieleły na wszystkich frontach, całkowicie je zawieszono.

Himmler powołał też Ahnenerbe, instytucję badawczą, która miała odkryć pochodzenie germańskiej rasy. W tym celu jej członkowie wyprawili się nawet do Tybetu. Podczas wojny w okupowanej Europie grabili muzea z eksponatów mających jakikolwiek związki z Germanami.

Podludzi Himmler zamierzał zaś zniewolić i zlikwidować.

Ewę Justin zaś, drobną kobietę, znali Cyganie z całej Rzeszy. Nazywali ją Lolitschai – w romani znaczy to Czerwonowłosa, Eva była bowiem ruda. Dla następnych pokoleń Cyganów to słowo będzie oznaczało diabła.

– Chciałam ratować to, co było do uratowania – drżącym głosem mówi Justin ćwierć wieku później do innej kamery. Siedzi za biurkiem w białym lekarskim kitlu, nerwowo ścisnąc okulary. Mówi powoli, zastanawiając się nad każdym zdaniem. Przeszłość dopadła ją w 1962 r., gdy pracowała jako dziecięcy psychiatra we Frankfurcie nad Menem. W specjalnym punkcie konsultacyjnym przy Eichwaldstrasse udzielała rodzicom porad, jak mają sobie radzić z dziećmi, które „ciężko się wychowuje”. Metody, które zalecała, nie różniły się od tych stosowanych w sierocińcach: opór dziecka należy łamać siłą. Co ciekawe, jeszcze w latach 50. na zlecenie samorządu dalej zajmowała się „cygańskim

problemem”. Szukała odpowiedzi na pytanie, dlaczego Cyganie dalej żyją w obozowiskach i nie integrują się z Niemcami.

Z kamerą do jej gabinetu przyszli Valentin i Irmgard Sengerowie, niemieccy lewicowi dziennikarze, którzy chcieli się dowiedzieć, dlaczego kobietę, która ma na rękach krew setek tysięcy Cyganów z Niemiec i krajów okupowanych przez III Rzeszę, w ogóle dopuszczono do pracy z dziećmi. Justin zarzekła się, że nie miała z ludobójstwem Romów nic wspólnego. – Widziałam tragiczny los tych ludzi – mówiła o prześladowanych w nazistowskich Niemczech Cyganach. – Chciałam im pomóc na tyle, na ile byłam w stanie – wyjaśniała.

Krew włóczęgów

To był dziwny związek. W 1935 r. dr Robert Ritter, psychiatra kliniczny, który został jednym z najważniejszych antropologów rasowych III Rzeszy, na łamach czasopisma „Naród i Rasa” argumentował, że „rude włosy to problem z zakresu rasowej higieny”. „W przyszłości trzeba zbadać ten złożony problem. A także rozważyć zastosowanie metod zapobiegania chorobom eugenicznym” – pisał. Tłumacząc tekst z ówczesnej antropologicznej nowomowy: ludzi o rudych włosach Ritter uważał za rasowo ułomnych. Zamierzał ich sterylizować, by nie psuli aryjskiej krwi. Jednak gdy rok później na oddziale dziecięcym kliniki psychiatrycznej w Tybindze, którego był ordynatorem, pojawiła się rudowłosa praktykantka, dopuścił ją do swoich największych sekretów.

25-letnia Eva Justin, córka drezdeńskiego kolejarza, do Tybingi przyjechała po maturze, by uczyć się pielęgniarstwa. Ritter od razu zaproponował jej pracę przy swoich badaniach rasowych. Wspólnie wertowali policyjne archiwa i zakurzone książki metrykalne. Odwiedzali areszty, meliny, obozowiska. Rozmawiali z lekarzami, sędziami i policjantami. Prośby o pomoc wysyłali do urzędów Polski, Austrii, a nawet do Rumunii. Ritter od lat badał włóczęgów i drobnych przestępców. Zamierzał dowieść, że ich tryb życia ma związek z domieszką krwi jakiejś złej rasy w żyłach. Dlatego razem z Justin skrupulatnie prześwietlali przodków i spisywali genealogię. Zgodnie z ich koncepcją włóczęga powinien w rodzinie mieć jakiegoś włóczęgę.

Młodsza od niego o osiem lat dziewczyna stała się nie tylko jego najbardziej zaufaną asystentką, lecz także towarzyszką życia. Ritter sypiał

z nią, ale rudowłosych dalej uważał za ułomnych. A w miejscach publicznych trzymał dystans i zwracał się do niej per „panno Justin”. Był w końcu żonaty. Asystentka nie protestowała.

Justin wpadła mu w oko, bo była pracowita i skrupulatna. A do tego bezgranicznie oddana swojemu naukowemu patronowi. Widać to na zachowanych fotografiach. Ritter pobiera staremu Cyganowi krew, a Justin chłonie wzrokiem każdy jego ruch. W pełni zgadzała się, że niemieckie społeczeństwo trzeba chronić przed zgubnym wpływem niższych ras. Już jako nastolatka zapisała się do Zakonu Młodych Niemców, organizacji nawiązującej do tradycji zakonu krzyżackiego, której symbolem był czarny krzyż. Nowy zakon wzywał wprawdzie do pojednania Niemców i Francuzów, ale antysemityzm i nacjonalizm były głównym motywem jego ideologii.

W wydanej w 1937 r. pracy „Gatunek ludzki” Ritter dowodził, że włóczędzy mają w żyłach krew prymitywnej rasy, która żyła w środkowej Europie przed nadejściem Germanów. – Ta krew ma szkodliwe właściwości – przestrzegał, domagając się, by włóczęgom, rzeźmieszkom i innym elementom społecznym uniemożliwić rozmnażanie się. Tylko w ten sposób – jak pisał – można wyzwolić społeczeństwo od degeneratów. We wstępie do książki dziękował Justin za pomoc. Bez niej praca by nie powstała.

Rok wcześniej na badania Ritтера uwagę zwracają nazistowscy notable. Walka z tzw. elementami społecznymi w III Rzeszy nabiera wówczas tempa, a praca doktora, w pełni zgodna z nazistowską ideologią, tylko utwierdza Himmlera w przekonaniu, że trzeba sięgać po radykalne metody. W 1938 r. Gestapo wywozi do obozów koncentracyjnych 10 tys. ludzi uznanych za tzw. asocjalnych. Ritter, który w międzyczasie zapisuje się do NSDAP i zostaje członkiem SS, a nawet opiekunem oddziału Hitler Jugend, przygląda się deportacjom z boku. Z Tybingi przenosi się do Berlina. Zostaje tam szefem Zakładu Badawczego Higieny Rasowej przy Urzędzie Zdrowia Rzeszy. Razem z Evą Justin i piątką współpracowników dostaje nowy cel – Cyganów.

Cyganów do obozów!

„Chłopcy podczas eksperymentu zachowywali się jak typowi przedstawiciele swojej rasy” – pisała Justin w swoim doktoracie o cygańskich dzieciach z Mulfingen. Eksperyment to jednak za duże słowo. Justin, opisując życie

małych Cyganów, od czasu do czasu poddawała je banalnym próbom. Raz zabrała pięciu wychowanków do lasu, by zapolowali na jeże, które Cyganie uważali za przysmaki. Chłopcy fachowo przeczesywali las przez kilka godzin, ale nie znaleźli żadnego zwierzęcia. W drodze powrotnej puste żołądki zapchali zerwanymi z drzew jabłkami.

Antropolożka dosłownie w każdym ich ruchu doszukiwała się cygańskich cech, które dyskwalifikowały dzieci z życia społecznego. „Byli zapobiegawczy (bo zabrali zapałki, by rozpalić ognisko, na którym mieli piec jeże), potrafili znaleźć pożywienie (czyli zerwać jabłko z drzewa), mieli dobrą orientację w przestrzeni (nie zgubili się w lesie), byli wytrzymali, koncentrowali się na poszukiwaniach zwierząt” – opisywała. Zauważyła nawet, że w tak małej grupie wytworzyła się hierarchia, a mali Cyganie unikali kontaktu z napotkanymi Niemcami. Czyli tak jak cygańskie społeczności izolowali się od otoczenia. Dzieci były więc skazane na to, by być wyrzutkami, nawet gdyby wychowano ich na Niemców.

Na terenie dzisiejszych Niemiec Cyganów prześladowano dużo czasu przed tym, gdy Adolf Hitler przejął władzę. Od średniowiecza byli wyjęci spod prawa. Ich wędrowny tryb życia tłumaczono tym, że są członkami rodu Kaina i płacąc za jego zbrodnie, nie mogą nigdzie osiąść na stałe. Jeszcze w XVIII w. zabicie Cygana było równoznaczne z zabiciem szkodnika. Obwiniano ich nie tylko o kradzieże, ale też o pożary, sprowadzenie klęsk żywiołowych, tajemnicze zgony. Sądzone ich zwykle w grupowych procesach, a karą była śmierć, np. przez łamanie kołem. Kobiety jako czarownice palono na stosach. Egzekucjom rodziców musiały się przyglądać dzieci.

W XIX w. Cyganów już nie mordowano, tylko wyrzucano za granicę niemieckich państw lub wsadzano do więzień. W 1899 r., już w czasach cesarstwa, w komendzie głównej bawarskiej policji założono Zigeunerzentralle – centralę ds. cygańskich. Gdy w jakiejś wiosce zauważono śniadych, czarnowłosych przybyszów sprzedających patelnie czy oferujących wróżby, miejscowy komisariat policji miał spisać ich dane i niezwłocznie przesłać je do Monachium. Tam Cyganom zakładano kartoteki. Później policjantom kazano ich fotografować, pobierać im odciski palców, a także informować, jeśli zawarli ślub czy doczekali się potomstwa. Rozrastająca się centrala swoim zasięgiem objęła całe Niemcy.

Tymczasem wielu Cyganów, nawet jeśli w pełni nie zasymilowało się z Niemcami, prowadziło osiadły tryb życia w robotniczych dzielnicach niemieckich metropolii. Inni dalej przemierzali kraj w taborach, żyli z kowalstwa, sprzedaży garnków, żebractwa i drobnych kradzieży. Władze gmin próbowały przepędzać tabory, nasyłając na wędrowców policję,

pobierając od nich opłaty za pobyt. Cyganie mimo to jakoś wiązali koniec z końcem.

W latach 20. szefowie policji niemieckich landów spotykali się na „cygańskich” konferencjach. Byli zgodni: Cyganie to plaga. Więzienia były ich pełne. „Mimo wysiłków nie udało się cygaństwa wyplenić” – narzekał pod koniec lat 30. heski minister spraw wewnętrznych, socjaldemokrata. W tej sprawie członkowie jego partii i naziści mieli identyczne poglądy.

Po 1933 r. cygańską centralę ściągnięto z Monachium do Berlina i podporządkowano RSHA – Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy, centrali terroru, której podlegały Gestapo, kontrwywiad SD, obozy koncentracyjne oraz Einsatzgruppen, czyli oddziały morderców podążające frontem, które dokonywały masowych morderstw Żydów i Polaków.

Dwa lata później na mocy ustaw norymberskich Cyganów jako obcą rasę wyjęto spod prawa. Razem z Żydami stracili prawa obywatelskie, nie wolno im było posługiwać się państwową flagą ze swastyką. Prawo zabraniało im posiadania samochodów, zwierząt domowych, jazdy na rowerze, odwiedzania basenów i parków. Zakazane były również małżeństwa z Aryjczykami.

Gdy latem 1936 r. na letnie igrzyska olimpijskie do Berlina zjechali goście z całego świata, na ulicach nie mieli prawa zobaczyć żadnego cygańskiego włóczęgi. 1,2 tys. Cyganów ze stolicy i okolic zamknięto w obozie w Marzahn na wschodnim skraju miasta. Dwa lata później Reinhard Heydrich, szef RSHA, kazał utworzyć podobne obozy w całym kraju. Zamykano w nich osoby, u których na podstawie analizy drzewa genealogicznego wykryto cygańską krew. Część jeszcze przed wybuchem wojny wysłano do obozów koncentracyjnych.

Ich potomstwo nam niepotrzebne

Podczas innego eksperymentu Justin dała małym Cyganom klocki. Dzieci z sierocińca, które taką zabawkę widziały po raz pierwszy, nie potrafiły się nią bawić. – Cyganie to ludzie, których możliwości postrzegania świata ograniczają się tylko do zaspokajania najprostszych potrzeb życiowych – komentowała antropolożka.

Innym razem, podczas wykopków, sprawdzała pracowitość cygańskich dzieci. Zanotowała, że dziewczynki po chwili wahania zabrały się do pracy

i zapełniły ziemniakami wiele koszyków. Ale chłopcom praca szła o wiele gorzej. Justin uznała to za koronny dowód, że Cyganie są leniwi. Z innych obserwacji wywnioskowała, że cygańskie dzieci w pewnym momencie zatrzymują się w rozwoju. – Prawie wszyscy Cyganie i cygańskie mieszańce są zagrożeni mniej lub bardziej poważnymi defektami. Naród niemiecki potrzebuje jednak niezawodnych i ambitnych ludzi, a nie liczne potomstwa tych prymitywów – apelowała, domagając się, by Cyganów sterylizować. W marcu 1943 r. jej doktorat był gotowy.

Licząca ponad 120 stron praca Justin nie powinna była zostać dopuszczona do obrony, bo była zbiorem banałów. Co zbieranie kartofli czy polowanie na jeże może powiedzieć o Cyganach? A to nie był jedyny problem. Justin nie mogła też znaleźć profesora, u którego mogłaby pracę obronić. Władze berlińskiego uniwersytetu zajęły się jednak jej badaniami, co Justin zawdzięcza protekcji kilku wysoko postawionych urzędników rządowych i funkcjonariuszy RSHA. Oraz Robertowi Ritterowi, wówczas niekwestionowanemu autorytetowi w kwestii cygańskiej i szefowi podległego Himmlerowi Instytutu Biologii Kryminalnej, który został jej promotorem. Ritter postulował, by Cyganów nie dopuszczać do rozmnażania. Jak to zrobić? Odizolować i dać im wymrzeć. W szczególności nie wchodził.

Ja decyduję, kto jest Cyganem

„Na razie nie traktować ich jak Żydów” – telegram z RSHA z takim poleceniem wyślądzował zimą 1943 r. na biurku Rudolfa Hössa, komendanta KL Auschwitz. Chodziło o los deportowanych z Niemiec Cyganów. Pierwsze transporty były w drodze. Kilka dni przed załadunkiem do wagonów w cygańskich obozach w głębi Niemiec pojawiali się Ritter i Justin. Wnikliwie przeglądali listy i dokumenty. Mieli jeszcze raz analizować „przypadki budzące wątpliwość”. Ale żadnych wątpliwości nie mieli. W cygańskich dokumentach wpisywano więc: „Ewakuowany do Auschwitz”.

Decyzję o wywiezieniu Cyganów podjął Heinrich Himmler, by w ten sposób odizolować ich od Niemców i zapobiec mieszanemu się krwi. To zagrożenie mimo obowiązywania ustaw norymberskich i paragrafów, które za zhańbienie rasy przewidywały karę śmierci, ciągle istniało. Ritter twierdził, że Cyganie niezwykle chętnie krzyżują się z przedstawicielami niższych

warstw niemieckiego społeczeństwa. Jednocześnie Himmler zabronił poddawania nowo przybyłych Cyganów selekcji na rampie w Birkenau, gdzie esesmani zdolnych do pracy oddzielali od tych, których gnano do komór gazowych. W barakach tzw. cygańskiego obozu rodzinnego stłoczono 23 tys. ludzi. Więźniom na początku nie golono tam głów, pozwolono zatrzymać cywilne ubrania, nie zaganiano do pracy poza obozem. Ale ich los był i tak przypieczętowany. W Auschwitz mieli wymrzeć z głodu i chorób. Himmler postanowił wprowadzić w życie rady dr. Rittera.

Naukowiec razem ze swoimi współpracownikami z Zakładu Badawczego Higieny Rasowej w ciągu pięciu lat przebadał wszystkich Cyganów żyjących w Niemczech, a także na obszarach wcielonych do Rzeszy. Objeżdżali obozy, w których zamknięto Cyganów, i miejscowości, w których Cyganie żyli jeszcze na wolności. Zawsze towarzyszyli im policjanci, których obecność skłaniała Cyganów do współpracy. Placówka Rittera wystawiła 24 tys. tzw. diagnoz rasowych. Na 1320 dokumentach znajdował się podpis Ewy Justin.

„Choć członkowie jego rodziny nie wyglądają na typowych Cyganów, to gesty, emocje i ogólne zachowanie wskazują na cygańskie pochodzenie” – tak Justin opisywała rodzinę węgierskich muzyków, którzy zawędrowali do Niemiec. Wyliczała, że są intelektualnie i emocjonalnie ograniczeni, nie mają własnego zdania, są naiwni i prymitywni. A to cechy obce porządnym, pracowitym Europejczykom. Taka diagnoza była wyrokiem śmierci. Oznaczała deportację do obozu zagłady.

Przed wystawieniem dokumentu Ritter lub Justin sprawdzali drzewo genealogiczne badanego. Wertowali kościelne i państwowe księgi metrykalne oraz rozmaite dokumenty. Cygańskich przodków szukali nawet w dziesiątym pokoleniu, wychodzili więc daleko poza to, co przewidywały ustawy norymberskie. Odkrycie cygańskich praprapradziadków żyjących na początku XVIII w. wystarczyło, by w odpowiedniej rubryce wpisać: „Cygański mieszaniec”. To, że badani byli jednymi z ponad tysiąca przodków praprapradziadka, nie miało żadnego znaczenia. To, kogo uznano za Cygana, zależało głównie od widzimisię Rittera czy Justin.

Badając Cyganów, Ritter doszedł do wniosku, że ich przodkowie – jak pisał – nadzwyczaj często krzyżowali się z elementem aspołecznym. A z takich związków na świat przychodzili rasowo ułomni ludzie. Jednocześnie nie ustawał w poszukiwaniach Cyganów czystej krwi. Himmler zamierzał osadzić ich w specjalnym rasowym rezerwacie, który miał powstać pod patronatem Ahnenerbe. Instytucja przygotowywała też muzeum niższych ras z kolekcją żydowskich szkieletów.

Na zachowanych fotografiach z terenowych badań Rittera i Justin widać

rudowłosą Niemkę mierzącą obwód czaszki, długość nosa, rozstaw oczu. Gdy w kartotekach nie dało się odnaleźć śladu po cygańskich przodkach badanego, a jego nos, kolor skóry czy oczy nie spełniały cygańskich kryteriów, zostawała rozmowa. Justin pytała wówczas o rodziców, zwyczaje, język, by na tej podstawie stwierdzić, czy badany należy do cygańskiej społeczności, czy nie. To właśnie rozmowa z Justin przesądziła o losie węgierskich muzyków.

Diagnozy nie dotyczyły tylko ludzi z taborów. O swojej cygańskości dowiadawali się ci, którzy całe życie uważali się za Niemców, mieli porządną zawód, byli w swoim środowisku szanowani. Wystarczyło jednak, że w Zakładzie wykryto im w zamierzczłych czasach jednego cygańskiego przodka. Badaniom prowadzonym przez Rittera i Justin podlegali nawet żołnierze Wehrmachtu. Zdemaskowanych Cyganów prosto z frontu wysyłano do obozów, nawet jeśli dorobili się Krzyży Żelaznych. Taki los spotkał Oswalda Wintera, kilkakrotnie odznaczonego uczestnika walk na froncie wschodnim. W 1942 r. został ranny, a gdy doszedł do siebie w szpitalu wojskowym, pojechał do rodziny we Wrocławiu. Okazało się, że matkę, małego brata i siostrę Gestapo wywiozło w nieznanym kierunku. Wspierany przez swojego dowódcę kompanii pisał zażalenia do samego Himmlera. W 1943 r. w RSHA przyjął go późniejszy szef tej instytucji Ernst Kaltenbrunner. Winter tłumaczył mu, że przecież kilku jego braci walczy za Führera i Vaterland na froncie.

- Nasz urząd popełnił pomyłkę - oświadczył Kaltenbrunner. Ale wkrótce po Wintera przyszli funkcjonariusze Gestapo...

Na fotografiach wykonanych podczas badań polowych Justin i jej współpracownicy są pogodni, a Cyganie bez oporów dają się mierzyć i pobierać sobie krew. Dzieci traktują przybycie antropologów z Berlina jako ciekawostkę. Nawet stojący obok policjant nie jest straszny. Ale Cyganie z Frankfurtu, do których z kamerą dotarli Valentin i Irmgard Sengerowie, opowiadają, że ich spotkanie z Evą Justin wcale nie było przyjemne. Do przybyłych z Berlina antropologów zawieziono ich ciężarówkami o świcie. Justin kazała kobietom rozbierać się do naga - gdy protestowały, wyzywała je i pluła im w twarz. Gdy głodne dzieci płakały, pilnujący ich policjanci kopali je, by się uciszyły. Justin zmuszała ludzi, by się przyznali, że są Cyganami. - Gadaj albo od razu pójdziesz do obozu - straszyla.

- To była praca pod presją - tłumaczyła po wojnie.

Przeładam jej doktorat wydany drukiem przez berliński uniwersytet w 1944 r. Są w nim cygańskie drzewa genealogiczne, tabele, wykresy i zdjęcia dzieci z Mulfingen. Wyglądają jak wyjęte z policyjnych kartotek: małych Cyganów fotografowano en face i z profilu. Justin każdego przedstawia z imienia. Pisze o nich tak jak nauczycielka opowiadająca o swojej klasie: na przykład 14-letni Buberli jest najbardziej inteligentny, to urodzony przywódca. Jego rówieśnik Kajetan jest flegmatyczny. Zweigerli, też 14-latek, nieokrzesany. O 12-letniej Rutli pisała, że lubi się stroić, o jej rówieśniczce Maili, że jest opiekuńcza, o 16-letniej Dudeli, że jest ograniczona.

20 lat później Justin powie przepytującym ją dziennikarzom, że chciała dla małych Cyganów jak najlepiej. – Wielkiemu złu można było zapobiec małym złem – zapewniała, tłumacząc, że chciała wysterylizować dzieci dla ich dobra. – Zostaliby uznani za Niemców – mówi. Mija się jednak z prawdą. Dekret Himmlera był jednoznaczny: wszyscy Cyganie mają zostać deportowani do Auschwitz.

Króliki doświadczalne z Mulfingen po zakończeniu badań nie były już Lolitschai potrzebne. 9 maja 1944 r., dokładnie dwa miesiące po opublikowaniu doktoratu Justin, do sierocińca przyjechał autobus w eskorcie policjantów. Zakonnice oświadczyły Cyganom, że jadą na wycieczkę. Siostry wiedziały, że to nieprawda. Już kilka dni wcześniej siostra przełożona informowała Caritas, że w sierocińcu zwalniają się łóżka i można przysłać nowe dzieci. Kapelan udzielił Cyganom komunii. W Mulfingen została tylko jedna cygańska dziewczynka, 10-letnia Angela. W jej papierach coś się nie zgadzało (w jednych figurowała pod nazwiskiem matki, w drugich ojca) i zakonnice ją zatrzymały. Mimo że chciała się dostać do autobusu i pojechać na wycieczkę z koleżankami. Jej upór złamał dopiero siarczysty policzek wymierzony przez szarytkę.

Gdy autobus dotarł do najbliższego dworca kolejowego, dzieciom kazano się przesiąść do bydłowego wagonu. Policjantów z eskorty zastąpili esesmani. Trzy dni później dzieci wysiadły na rampie w Birkenau. Czworo z nich Niemcy uznali za zdolne do pracy. Resztę wysłali do komór gazowych. Większość przed śmiercią przeszła jeszcze przez gabinet dr. Josefa Mengele, który przeprowadził na nich makabryczne eksperymenty. Mengele w ogóle upatrzył sobie małych Cyganów, nie tylko tych z Mulfingen. Przykład: czteroletnie bliźniaki zszyl ze sobą plecami i połączył ich żyły. W ten sposób zamierzał stworzyć bliźniaki syjamskie. Powoli konające z powodu zakażeń dzieci były

z bólu dzień i noc.

O tym, że Cyganów należy jednak wymordować, Himmler postanowił w lipcu 1943 r., gdy na własne oczy zobaczył, jak wygląda tzw. cygański obóz rodzinny. Stłoczonych w barakach głodujących Cyganów zgodnie z planem dr. Rittera zabijały kolejne epidemie. Szczególnie wysoka śmiertelność panowała wśród dzieci. Himmler był tak poruszony tym, co zobaczył, że postanowił przyspieszyć ich likwidację. Przeżyć mieli tylko zdolni do pracy.

Niemcy zaczęli mordować ich grupami, na początku pod pretekstem walki z epidemią tyfusu. Cyganów, którzy przybyli w kolejnych transportach, traktowano już tak jak Żydów. W 1944 r., po wyselekcjonowaniu i wysłaniu do innych obozów tych, którzy byli w stanie pracować, Niemcy postanowili zagnać do komór gazowych pozostałe przy życiu 6 tys. osób z obozu rodzinnego. Wieczorem 16 maja 1944 r. ogłoszono „Blocksperrę” – Cyganom nie wolno było opuszczać baraków. Do obozu wjechały samochody z esesmanami niosącymi karabiny maszynowe w rękach. Kazali więźniom wsiadać na ciężarówki, które miały ich zawieźć do komór gazowych. Ale z baraków nikt nie wyszedł. Cyganie uzbrojeni w łopaty, noże i kamienie postanowili, że dobrowolnie nie pójdą do gazu. Do oporu wzywali ich więźni cygańscy żołnierze Wehrmachtu. Gdy esesmani zobaczyli, co się dzieje, postanowili się wycofać. Wiedzieli, że Cyganie będą walczyć do końca i wielu strażników zginie.

Niemcy chwycili się zatem sposobu: część więźniów – głównie młodych i w miarę zdrowych mężczyzn – przetrzucono do innych obozów. W nocy z 2 na 3 sierpnia 1944 r., gdy w barakach zostali tylko starcy, chorzy, kobiety oraz dzieci, SS uderzyło znowu. Tym razem skutecznie, choć Cyganie o życie walczyli do końca. Okładali strażników pałkami, cięli ich wykonanymi z blachy nożami. W obozie krzyk było słycać do rana. – Żadna likwidacja nie była jeszcze taka trudna – relacjonował SS-Obersturmführer Johan Schwarzhuber swojemu szefowi, komendantowi Hössowi.

Z ok. 23 tys. Cyganów uwięzionych w Auschwitz zginęło ponad 19 tys. W tej liczbie jest 367 urodzonych w obozie cygańskich dzieci. Cyganów mordowali nie tylko Niemcy, ale także sprzymierzeni z nimi Chorwaci i Rumuni. Szacuje się, że podczas Porajmos, czyli cygańskiego Holocaustu, mogło zginąć nawet pół miliona ludzi.

O tym, co się działo z Cyganami w Auschwitz, Justin i Ritter musieli wiedzieć. Mimo to kontynuowali pracę nad „problemem cygańskim”. Po wojnie Ritter bez problemu załatwił kochance pracę z trudną młodzieżą we Frankfurcie. Do jego śmierci w 1951 r. była podwładną doktora. Co jakiś czas jedna czy druga Cuganka, która cudem przeżyła wojnę, oskarżała Lolitschai

o współudział w Zagładzie. Zachodnioniemieckie władze uznawały oskarżenia „cygańskich prymitywów” za niewiarygodne. W stosunku Niemców wobec Cyganów nic się bowiem nie zmieniło. Funkcjonariusze cygańskiej centrali pozostali na służbie.

W 1960 r. sprawie rudowłosej przyglądał się Fritz Bauer, prokurator generalny Hesji, który niestrudzenie deptał nazistowskim zbrodniarzom po piętach. Musiał jednak odpuścić. Nie potrafił udowodnić, że Justin wiedziała, iż podpisując diagnozy rasowe, wysyła ludzi na śmierć. Lolitschai do śmierci w 1966 r. prowadziła badania nad Cyganami. W Niemczech o ich Zagładzie zaczęto publicznie mówić dopiero w latach 80.

**

Od autora: o ofiarach Ewy Justin i Roberta Rittera pisałem per „Cyganie”, gdyż tak wówczas ich nazywano. Dopiero w 1971 r. I Światowy Kongres Romów zalecił zastąpienie tego słowa określeniem „Rom”



Herbert von Karajan

Był ekscentrykiem uwielbiającym pilotować odrzutowce i pędzić sportowymi autami. Miał trzy żony, 800 nagranych płyt i dwie legitymacje NSDAP

Hitler był wściekły. Po dyrygencie, którym tak zachwycał się Goebbels, spodziewał się znakomitego wieczoru, tymczasem czuł niesmak. Przedstawienie w berlińskiej Operze Państwowej skończyło się klapą, na dodatek w udekorowanej swastyką łożu obok Führera siedzieli regent Jugosławii książę Paweł Karadziordziewić i jego małżonka Olga. Serbski arystokrata był podejmowany w stolicy III Rzeszy z najwyższymi honorami, bo nazistowska dyplomacja widziała w nim sojusznika w nadchodzącej wojnie. A tu taki blamaż.

„Śpiewaków norymberskich”, jedyną komedię wśród oper Richarda Wagnera, Hitler wielbił szczególnie, jako że głosiła chwałę niemieckiej kultury. Opera była też często wystawiana za cesarza Wilhelma II i wcześniej, w latach 70. XIX w., w dobie jednoczenia Niemiec.

Tamtego dnia, 2 czerwca 1939 r., Hitler był zdumiony tym, co zobaczył i usłyszał. Uznał, że interpretacja młodego dyrygenta nie jest wystarczająco niemiecka, nie podobało mu się też prowadzenie orkiestry z pamięci, bez partytury na pulpicie.

To się zresztą zemściło, gdy słynny baryton Rudolf Bockelmann nagle wypadł z rytmu i zanim dyrygentowi udało się opanować orkiestrę, upłynęło kilka chwil. Ucho uwielbiającego Wagnera dyktatora wyłapało ten zgrzyt. A na dodatek przedstawienie przerwano, bo niespodziewanie opadła kurtyna.

– Jeśli ten człowiek jeszcze raz pojawi się za pulpitem, to moja noga nigdy tu nie postanie – odgrażał się Hitler po przedstawieniu.

W III Rzeszy taka recenzja zazwyczaj oznaczała artystyczną śmierć. Ale nie w przypadku Herberta von Karajana.

Mistrz dba o publicity i o kasę

– Niech pan mi przyśle pytania na piśmie i załączy czek na 5 tys. franków szwajcarskich – mówi von Karajan dziennikarzowi, który prosi go o wywiad w szwajcarskim kurorcie alpejskim Sankt Moritz. Jest rok 1964, 5 tys. franków to dużo pieniędzy. Karajan żąda ich jako kaucji. – Jeśli mi się coś w wywiadzie nie spodoba, czek zachowam – grozi.

Jest znany z tego, że bardzo dba o swój wizerunek medialny. W nowoczesnym studiu telewizyjnym, które ma w domu, sam montuje nagrania z koncertów – chodzi o to, by kamera pokazywała głównie jego, i to w najkorzystniejszy sposób. W prasie nie może się ukazać żadna fotografia mistrza, której by nie zaakceptował. Paparazzich czatujących pod domem wali po pysku na odlew.

Przeglądam jego biografie z przełomu lat 60. i 70. O nazistach w nich niewiele, o feralnym koncercie w operze berlińskiej – ani słowa. Sprawa wyszła na jaw dopiero w drugiej połowie lat 70., gdy o tym incydencie opowiedziała synowa Richarda Wagnera – Winifred – która kierowała słynnymi festiwalami wagnerowskimi w Bayreuth. Ale nikogo to wtedy nie obchodziło.

Po wojnie Karajan był legendą, a jego koncerty stały się wielkimi wydarzeniami, na które bilety sprzedawały się w mgnieniu oka. Był uważany za geniusza, zarówno jeśli chodzi o interpretację dzieł, jak i kontrolę nad orkiestrą. Drgnięciem nadgarstka potrafił osiągnąć więcej niż inni dyrygenci szerokim gestem. Miał nad muzykami pełną władzę. Niczego nie pozostawiał przypadkowi. „To ambitny człowiek, który zrobi wszystko, by osiągnąć muzyczną doskonałość” – pisał amerykański magazyn „Life”.

Płyty z nazwiskiem „Karajan” na okładce wydawane głównie przez wytwórnię Deutsche Grammophon rozchodziły się w milionowych nakładach – w ciągu swego życia Karajan nagrał 800 utworów i sprzedał 200 mln płyt. Tego rekordu nie pobił do tej pory żaden dyrygent.

Pasjonowały go innowacje technologiczne, był orędownikiem płyt CD, a na początku lat 80. ogłosił, że czarne winyle są przy płytach kompaktowych jak latarnie gazowe. Po takiej rekomendacji koncerty płytowe przychylniej

popatrzyły na nowy nośnik dźwięku. Prasa pisała, że powstał przemysł Karajana. Krupp produkował stal na krążki, a Karajan – muzykę.

Dyrygent był także wielkim celebrytą, bohaterem prasy kolorowej i brukowej. Świetnie wiedział, jak zwracać na siebie uwagę. W 1958 r. ożenił się po raz trzeci – z 19-letnią modelką Dora Eliette Mouret. Zimą jeździł w Sankt Moritz na nartach, latem w Saint-Tropez zrywał się z łóżka o szóstej rano, by uprawiać jogę, a potem żeglować 10-metrowym jachtem wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Siadał za kierownicą porsche, rolls-royce'a lub w kokpicie swojego samolotu. Po wojnie miał ich kolejno sześć. Wśród nich był wolny, dwusmigłowy beechcraft Twin Prop, który na pokład brał 13 pasażerów. A także odrzutowy learjet 25, którym można było osiągnąć prędkość ponad 800 km na godzinę.

Pierwszą lekcję pilotażu wzięł w Chile w 1949 r., dwa lata później w Szwajcarii zrobił licencję pilota. Raz podczas szkolenia o mały włos nie zderzył się z innym samolotem. Instruktor kazał mu za karę napisać 100 razy: „Będę uważał za sterymi”.

Podobno ćwiczył lądowania w rytmie walców Straussa. Na lotnisku w Salzburgu jego przybycie rozpoznawano po charakterystycznym wyciu silników odrzutowego falcona 10, jeszcze szybszego odrzutowca niż learjet 25.

- Karajan ma najgłośniejszy samolot w całej Austrii. Silniki grają w tonacji b-moll – żartowała obsługa lotniska.

Samoloty i auta kosztują miliony dolarów. Ale Karajan potrafił także pomnażać pieniądze. W rajach podatkowych: Panamie, Antylach Holenderskich, Liechtensteinie i Monako, stworzył sieć malutkich spółek, przez które przepuszczał honoraria i tantiemy. Dzięki temu, choć koncertował na całym świecie, praktycznie nie płacił podatków.

A na pytania o swoją rolę w III Rzeszy odpowiadał lakonicznie: – Po wojnie zostałem oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Tematu nikt nie drążył. Denazyfikacja w Republice Federalnej Niemiec trwała bardzo krótko. Z nazistowskiej przeszłości nie musiał się rozliczać kanclerz RFN Kurt Georg Kiesinger ani prezydent Heinrich Lübke. Pierwszy na legitymacji NSDAP miał numer 2633930, podpis drugiego znajdował się na planach budowy obozu koncentracyjnego przy ośrodku rakietowym w Peenemünde. Dlaczego więc miałyby się rozliczać dyrygent?

A jednak w USA przed koncertami Filharmoników Berlińskich czy Wiedeńskich pod nazwiskiem Karajan nieznanie ręce dopisywały na afiszach słówko „nazi”. Izraelczycy nigdy nie zgodzili się na jego przyjazd, mówili: orkiestra tak, Karajan – nie! Wybitni soliści żydowskiego pochodzenia, np. skrzypkowie Isaac Stern czy Itzhak Perlman, nie chcieli z nim grać. Słynny

amerykański pianista rosyjskiego pochodzenia Eugene Istomin, którego matka była Żydówką, bojkotował jedynie koncerty Karajana. Ale inny sławny pianista Arthur Rubinstein nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Pech sprawił, że w 1979 r. podczas festiwalu w Lucernie nocowali w tym samym hotelu, a kolacje jedli przy sąsiadujących stolikach. Ani razu nie zamienili słowa.

Szukając pracy

– Przez pięć lat siedział w Ulm? Nic z niego nie będzie – mówi o Karajanie Max Reinhardt, znany niemiecki reżyser operowy. Ulm to 75-tysięczne południowoniemieckie miasto nad Dunajem. Prowincja. Pracę jako kapelmistrz młody Herbert zaczął w 1929 r., kilka tygodni po debiucie. Pomógł mu przypadek. Gdy debiutant występował w Salzburgu z orkiestrą tamtejszej akademii muzycznej, na widowni siedział Erwin Dietrich, szef teatru miejskiego w Ulm. Młody dyrygent tak mu się spodobał, że Dietrich postanowił go ściągnąć.

Karajan przyjął ofertę, choć potem żałował, bo nie przypuszczał, że teatr w Ulm jest w aż tak opłakany stan. Ale nie poddał się, pracował jak szalony. Próby trwały od dziewiątej rano do godz. 23 z przerwą na obiad. Co dwa tygodnie teatr wystawiał premierę opery, co tydzień – nową operetkę. Gdy potrzebny był większy chór, Karajan ściągał do teatru amatorów nieumiejących czytać nut. Dążył do perfekcji, ale efekty w słabo wyposażonym prowincjonalnym teatrze były kiepskie.

– To bolało. Nie mogłem na to patrzeć – mówił później.

Po pięciu latach wysiłków teatr postanowił się z nim rozstać. – W Ulm osiągnął pan już wszystko – oświadczył Dietrich. Dla Karajana zaczął się dramat.

W dobie Wielkiego Kryzysu, który w 1929 r. doprowadził niemiecką gospodarkę do zapaści, los muzyków był nie do pozazdroszczenia – bez środków do życia pozostawali nawet wirtuozi. Niektórzy odstawiali instrumenty i szukali pracy jako robotnicy.

Dojście do władzy Adolfa Hitlera na początku niewiele zmieniło – niemiecka gospodarka nabierze oddechu dopiero po paru latach jego rządów, a w 1938 r. nazistowskie państwo obejmie muzyków mecenatem.

Szukając pracy, Karajan objeżdża kraj. Próbuje w Berlinie, próbuje

na prowincji. Dziesiątki razy staje za pulpitem na przesłuchaniach, ale etatu dla niego nie ma. Dorabia jako pianista akompaniujący podczas przesłuchań śpiewaków.

Po wojnie, gdy jego nazwisko pozna cały świat, będzie unikać dworców kolejowych, bo zbyt mocno będą mu się kojarzyły z daremnymi podróżami w poszukiwaniu pracy. Choć przez lata będzie prowadził Filharmoników Berlińskich, to w Berlinie, który wówczas nim wzgardził, nigdy nie kupi sobie domu – będzie spał w hotelach.

W końcu zła passa się odwraca – na początku lata 1934 r. Karajan staje na przesłuchaniu przed Edgarem Grossem, szefem teatru miejskiego w Akwizgranie. – Byłem zdesperowany. Wiedziałem, że muszę go zahipnotyzować – wspomina po latach.

Udaje się. Karajan zostaje najmłodszym muzycznym dyrektorem generalnym w Niemczech.

Trzy dni po nominacji Gross kładzie na biurku Karajana formularz członkowski NSDAP.

– Pozostała nam jeszcze ta jedna formalność – mówi.

Cudowne dziecko boi się porażki

– Miałem zostać pianistą. Pierwszy koncert dałem, gdy miałem cztery i pół roku. Ale pewnego razu zdałem sobie sprawę, że dwie ręce to za mało, by wyrazić to, co chciałem – mówi w jednym z filmów dokumentalnych o sobie. To nie jest cała prawda.

U von Karajanów, jak to w austriackiej rodzinie mieszczańskiej, dzieci były uczone gry na pianinie, bo tak wypadało. Gdy Herbert miał trzy i pół roku, chował się pod pianinem, na którym ćwiczył jego starszy o dwa lata brat Wolfgang. Jednak pół roku później sam zaczął brać lekcje i po pięciu tygodniach prześcignął brata. Został uznany za cudowne dziecko.

Jako nastolatek nie widział świata poza fortepianem, lecz po zdaniu matury zaczął wątpić, czy kariera pianisty to dla niego najlepsza droga. Miał talent, lecz geniuszem fortepianu nie był i bał się porażek. Dlatego wybrał dyrygenturę.

Jako student oglądał przedstawienia z czwartego balkonu Opery Wiedeńskiej, tam były najtańsze miejsca. Podziwiał dyrygentów. Chłonał

ruchy ich rąk, ale po przedstawieniach nie odważył się żadnego zaczepić.

- Bałem się, że potraktują mnie jak natręta – wspominał. Był nieśmiały i z trudem nawiązywał kontakty. Tę lekliwość później zwalczył, ale dystansu do ludzi nigdy nie skrócił. Powojenni współpracownicy wspominają go jako lodowatego despotę, o którym mówiono „Herr Musik Diktator”, czyli Pan Dyktator Muzyczny.

Zazdrość Furtwänglera

- Ach, ten mały K. Ten prowincjusz – zżymał się Wilhelm Furtwängler, dyrygent nazywany pierwszą batutą III Rzeszy, wówczas były szef Filharmoników Berlińskich, najlepszej orkiestry Niemiec. Furtwängler też jako dziecko uznawany był za muzycznego geniusza. Nie miał jeszcze 10 lat, gdy zaczął się uczyć kompozycji i dyrygentury, ledwie skończył 25, a został dyrektorem opery w Monachium. Słynną berlińską orkiestrą kierował od 1922 r. Gdy naziści doszli do władzy, byli przekonani, że geniusz dyrygenta stanie się podporą ich reżimu. Przeliczyli się.

„Mały K.” to o 22 lata młodszy Karajan, przystojny mężczyzna o nieco bałkańskiej urodzie (przodkowie pochodzili z Macedonii) zaczesujący włosy do góry. Jego kariera w drugiej połowie lat 30. nabrała niesamowitego przyspieszenia. Podczas uroczystości z okazji urodzin Hitlera dyryguje operami. Bierze udział w koncertach organizowanych przez lokalne struktury NSDAP. Każdy jego występ jest wydarzeniem. W końcu zaczyna koncertować w Berlinie.

A Furtwängler, który za występ kasuje niebotyczną wówczas kwotę tysiąca reichsmarek, czuje, że sympatia publiczności odpływa w kierunku młodego dyrygenta. Tak go nie lubi, że nawet nie wymawia jego nazwiska, a nie schodzi ono z łamów berlińskiej prasy.

„Cud Karajana” – ogłasza 22 października 1938 r. poczytna bulwarówka „B.Z. am Mittag”. Kilkanaście godzin wcześniej w berlińskiej Operze Państwowej dyrygent z Akwizgranu prowadzi orkiestrę grającą „Tristana i Izoldę” Wagnera.

„To, co się stało wczoraj, graniczy z niemożliwością. 30-latek pokazał umiejętności, których pozazdrościliby mu 50-letni dyrygenci. Skomplikowany aparat orkiestry opanował tak, jakby chodziło o śpiewanie dziecięcych

piosenek. Trzeba powiedzieć jedno: mamy do czynienia z cudem” – rozplywa się recenzent bulwarówki, słynny wówczas krytyk Edwin von der Nülls.

Inne gazety też są pełne zachwyty nad Karajanem. Wkrótce zostaje więc kapelmistrzem Opery Państwowej. Nominację wręcza mu sam Adolf Hitler.

„Jeśli porównujecie prowincjonalnego dyrygenta X z Furtwänglerem lub Victorem de Sabatą [innym słynnym dyrygentem tamtych czasów], zdradzacie sztukę i ogłupiacie publiczność. Mylicie salę koncertową z cyrkiem” – pisze w liście do redakcji berlińskiej bulwarówki „B.Z.” rozżalony Furtwängler.

Entuzjastyczne recenzje zachwyconych żurnalistów są szczere, ale impuls do ich napisania nadszedł z ministerstwa oświecenia publicznego i propagandy, które nadzoruje niemiecką kulturę, a także pilnuje tego, co pisze prasa. Karajan wpadł w oko samemu Josephowi Goebbelsowi.



Herbert von Karajan na koncercie w Operze Państwowej w Berlinie w 1941 r.

Minister propagandy szukał młodego, przystojnego i nowego dyrygenta, który wstrząsnąłby berlińskim establishmentem artystycznym. Spodobał mu się perfekcjonizm Karajana, konserwatywne podejście do muzyki i cześć, z jaką podchodził do dzieł Wagnera, ulubionego kompozytora Führera. Taki prawdziwie niemiecki dyrygent stałby się wzorem do naśladowania, a przy okazji utarłoby się nosa Furtwänglerowi, który zachowuje się jak primadonna,

a co gorsza, jest niepokorny. Furtwängler broni muzyków żydowskiego pochodzenia przed wyrzuceniem ich z pracy i nawet ośmiela się grać symfonię modernisty Paula Hindemitha uznaną przez hitlerowców za „sztukę zdegenerowaną”. Gardzi polityką kulturalną III Rzeszy wykluczającą dzieła i artystów pochodzenia żydowskiego, a także awangardzystów. W 1934 r. władze stawiają go przed wyborem: albo sam zrezygnuje z szefowania Filharmonikom Berlińskim, albo wyrzucą go z hukiem. Furtwängler wybiera pierwszą opcję. Ale w przeciwieństwie do wielu innych wielkich artystów nie opuszcza Niemiec rządzonych przez nazistów. Jest tak pewny siebie, że ośmiela się mówić: „Zostałem, by naziści nie zniszczyli wszystkiego. By pokazywać światu, że są artyści, którzy na sztukę patrzą inaczej niż Goebbels”.

I w przeciwieństwie do „małego K.” nigdy nie wstępuje do NSDAP

Czy Karajan był antysemitą?

Dopiero w 2008 r., w przededniu setnej rocznicy urodzin Karajana, wyszło na jaw, że dyrygent do partii hitlerowskiej zapisał się aż dwa razy. Pierwszy raz w 1933 r. jeszcze w austriackim Salzburgu, gdzie przyjeżdżał z Ulm na wakacje. Czy chciał się przypodobać nowej władzy w Niemczech? A może uległ przyjacielowi rodziny, działaczowi austriackiej NSDAP, który za każdego zwerbowanego członka dostawał premię?

Wiadomo, że Karajan składkę zapłacił tylko za jeden miesiąc, co nie musi oznaczać, że członkostwa w partii nie traktował poważnie. Jednak po serii zamachów przeprowadzonych przez członków austriackiej NSDAP, którzy siłą próbowali przyłączyć swój kraj do Rzeszy, władze w Wiedniu zdelegalizowały partię. Karajan zapewne nie miał zamiaru ryzykować kariery – i zaniedbał członkostwo.

– Ono było mi zupełnie obojętne. Ważne było to, co mogłem wreszcie mieć. W Akwizgranie była wielka orkiestra i był wspaniały związek śpiewaczy. Aby stanąć na ich czele, gotowy byłem mordować – wspominał po latach, odnosząc się do wypełnienia deklaracji NSDAP po raz drugi. Mowa o kwitach, które podsunął mu Edgar Gross, szef akwizgrańskiego teatru miejskiego.

Już jako dyrygent prowadził tam uroczysty koncert z okazji urodzin

Hitlera. Na zjeździe powiatowych struktur NSDAP dyrygował sławiącą nazizm kantatą do słów Baldura von Schiracha, przywódcy Hitlerjugend i bliskiego współpracownika Hitlera. „Karajan zreorganizował nasze życie kulturalne w sensie i kierunku, jakich wymaga narodowy socjalizm” – pisała miejscowa prasa.

Przed koncertami w Akwizgranie jego orkiestra gra „Horst-Wessel-Lied”, prymitywny marsz zaczynający się od słów: „W górę sztandary, szeregi zwarte...” – autorem tekstu był Horst Wessel, przywódca berlińskiej nazistowskiej bojówki SA. Wessel stracił życie w 1930 r. w bójce z komunistami i został uznany za męczennika nazizmu. „Horst-Wessel-Lied” stał się drugim hymnem III Rzeszy, a Karajan grał go do końca wojny, także w okupowanym Paryżu w 1941 r.

- To była rutyna. Nie mogłem się wyłamać – tłumaczył po wojnie.

- Karajan nie był nazistą, był oportunistą. Jednym z wielu – ocenił po latach Helmut Schmidt, były socjaldemokratyczny kanclerz RFN i znajomy dyrygenta.

Ta opinia przeważa wśród biografów. Ale pytań o przeszłość Karajana jest wiele. Dlaczego podczas studiów w Wiedniu w indeksie wpisywał „Aryjczyk”? To określenie stosowali przecież wówczas nacjonałiści i antysemita. Studenci o innych poglądach nie dopisywali w dokumentach niczego.

Dlaczego nie bronił kolegi Żyda, który został wyrzucony z opery w Ulm i zmuszony do emigracji?

Dlaczego pisał do rodziny, że nie będzie dyrygować w wiedeńskiej Operze Ludowej, bo „w tamtejszej orkiestrze siedzi cała Palestyna”?

Czy był antysemitą?

Apologeci Karajana twierdzą, że nie, i jako dowód podają jego małżeństwo ze śpiewaczką Anitą Gütermann, według rasistowskich ustaw norymberskich była ona ćwierć-Żydówką – miała dziadka Żyda. Obcej krwi w jej żyłach płynęło tak mało, że zgodnie z prawem wolno jej było wyjść za Aryjczyka. Dyrygent ożenił się z nią w 1942 r. Był to jego drugi ślub. Pierwszy wziął w 1938 r. ze starszą o dziesięć lat śpiewaczką akwizgrańskiej operetki Elmy Holgerloef.

Krytycy twierdzą, że ślub z Gütermann, córka przemysłowca, który dorobił się fortuny na produkcji nici do szycia, po prostu się Karajanowi opłacał.

„Herbert von Karajan jest poszukiwany za dezercję” – telegram o takiej treści łąduje w biurku SS-Hauptsturmführera Theodora Saeveckeego, szefa Gestapo w Mediolanie. Na przełomie 1944 i 1945 r. Saevecke rządzi miastem żelazną ręką, w odwecie za ataki partyzantów rozstrzeliwuje dziesiątki Włochów.

Wie, że słynny dyrygent po potajemnym wyjeździe z Berlina ukrywa się w jego rewirze, ale nie robi nic, by go aresztować. Esesman zamierza przejść na drugą stronę, do Amerykanów, i nie chce palić za sobą mostów.

Ucieczkę z bombardowanej stolicy Rzeszy Karajan z żoną planował od kilku miesięcy. Miał znajomego na jednym z berlińskich lotnisk, który dał znać, gdy w samolocie do Włoch pojawiły się dwa wolne miejsca.

Dlaczego wyjechał z Berlina, skoro świetnie wiedział, że Goebbels wpisał go na „listę ułaskawionych” – spis artystów zbyt ważnych, by wysyłać ich na front? Może dlatego, że po fatalnym występie przed Hitlerem w 1939 r. jego kariera zaczęła zwalniać. Jeździł po okupowanej Europie, nagrywał płyty, ale koncertów miał coraz mniej. To także efekt nieustających skarg Furtwänglera podkreślającego, że tak młody człowiek nie może być pierwszym dyrygentem Rzeszy. Goebbels w końcu przyznał rację staremu mistrzowi. Na dodatek Karajan dostał przydział do jednostki propagandowej Waffen-SS „Südstern”, która próbowała przekonać walczących w armii Andersa Polaków, by rzucili broń. Nad frontem rozrzucono ulotki po polsku, a radiostacja Wanda zapewniała, że gdy Polacy przejdą na niemiecką stronę i pierwszemu napotkanemu patrolowi powiedzą: „Do domu”, to Niemcy zabiorą ich do Polski. Propagandiści SS liczyli na to, że Polacy, którzy wiedzieli o Katyniu i o tym, że Sowieci dostaną Kresy, nie będą mieli ochoty walczyć po stronie aliantów. Karajan miał w tej operacji uczestniczyć. Przeniesienie do propagandy uważał jednak za policzek i nie podjął tej służby.

W Mediolanie Karajanowie ciągle zmieniali mieszkania. – Odchodząc, nie potrafił powiedzieć „dziękuję” – wspominał później Aga Hruska, mediolański dentysta, u którego mieszkał dyrygent. – Był wybrednym hipochondrykiem, nie solił, nie pieprzył, nie pił alkoholu. Jego żądania nas irytowały – zapamiętał Hruska.

Karajana nikt nie wydał, choć Włosi wiedzieli, że gestapowcom chodziło o jednego z głównych artystów III Rzeszy.

Dyrygent zrehabilitowany

Po zakończeniu wojny Karajan nie jest w Mediolanie bezpieczny – w mieście mnożą się zamachy na kolaborantów, poza tym dyrygent i jego rodzina klepią biedę. Wraca do Wiednia i już w 1946 r. daje pierwszy koncert. Wprawdzie władze okupacyjne w Austrii traktują go jako gorliwego nazistę i nakładają na niego zakaz występów, ale po dwóch latach zakaz zostaje uchylony i Karajan dyryguje już Filharmonikami Wiedeńskimi.

Występuje na Festiwalu Wagnerowskim w Bayreuth i w mediolańskiej La Scali. Wiedzie mu się o wiele lepiej niż Furtwänglerowi, którego Amerykanie „denazyfikują” zaraz po wojnie. Starego dyrygenta obciążają m.in. skargi na Karajana, które słał do Goebbelsa. W Europie mówi się o nim, że był „ulubionym maestrem Hitlera”, „narzędziem systemu zbrodni”, „prominentem III Rzeszy”. Od Amerykanów dostaje zakaz pracy w zawodzie. Dopiero gdy za Furtwänglerem wstawiają się żydowscy muzycy, których chronił, w 1947 r. władze okupacyjne znoszą zakaz. Ale dyrygent musi czekać do 1952 r., aż wróci na stanowisko szefa Filharmoników Berlińskich. Walka o honor odciska na nim głębokie piętno. Umiera dwa lata później. Jego następcą zostaje Karajan.

Na polecenie samego kanclerza RFN Konrada Adenauera leci z orkiestrą do USA na serię koncertów – mają one być podziękowaniem Berlina Zachodniego za amerykański most powietrzny, który uratował miasto od głodu podczas radzieckiej blokady w latach 1948-49. Występy w Nowym Jorku usiłują zakłócić demonstranci z transparentami: „Pomagali Hitlerowi mordować miliony”. Karajan zachowuje się jednak tak, jakby nic się nie stało. W niemieckich oczach zostaje zrehabilitowany. Skoro pozwolono mu grać w USA, to w jego życiorysie nie ma żadnych plam.

W latach 60. Niemcy opowiadają sobie dowcip: „Wsiada Karajan do taksówki i taksówkarz pyta: Dokąd? Odpowiedź: Gdziekolwiek, wszędzie mnie potrzebują”.

W 1957 r. zostaje dyrektorem Opery Wiedeńskiej (jednocześnie kieruje Berlińskimi Filharmonikami, a także Wiedeńskimi Symfoniakami). Pod jego rządami opera wchodzi do światowej ligi, występują w niej najwięksi śpiewacy epoki. Austriacy pozwalają mu nawet pisać nazwisko ze szlacheckim „von”, co po abdykacji Habsburgów zostało zabronione. W przypadku Karajana robią wyjątek – uznają jego arystokratyczne nazwisko za pseudonim artystyczny. Ale Karajan nie jest łatwym szefem, a jego pomysły nie wszystkim się podobają. Zwłaszcza gdy chce sprowadzać artystów spoza Austrii. Protestują wtedy związki zawodowe. W 1964 r. do sporu, który

wybucho, gdy Karajan chce zatrudnić włoskiego suflera, włącza się nawet austriacki kanclerz. Dyrygent rzuca papierami. Do Wiednia wraca dopiero pod koniec lat 70. i w operze wystawia „Trubadura” Verdiego, którego transmituje telewizja.

Karajan pracuje jeszcze w Salzburgu, gdzie organizuje festiwale. Od czasu do czasu występuje jako pianista. W 1960 r. na świat przychodzi jego córka Isabel i jej rodziną chrzestną zostaje cała wiedeńska filharmonia. Cztery lata później chrzestnymi drugiej córki Arabel zostają Berlińscy Filharmonicy.

Ze swoją przeszłością Karajan nie ma już żadnych problemów, bo o działalności w III Rzeszy po prostu nie wypada w środowisku mówić. Gdy ktoś próbuje łamać tabu, oskarża się go o to, że Karajanowi zazdrości. Dyrygent nie jest bowiem tylko muzycznym dyktatorem – jest cesarzem.

Gdy jakiś fotograf jest na tyle nieostrożny, że oślepi go lampą błyskową, trafia na czarną listę i nie ma już prawa się do niego zbliżyć. Taki sam los spotkał muzyków, którzy urazili Karajana czy nie chcieli się mu podporządkować. Ma swoich młodziutkich faworytów: skrzypaczkę Anne-Sophie Mutter, o której mówi, że jest jego muzą, oraz pianistę Jewgienija Kissina, który wystąpił u niego już jako 17-latek. Łaska Karajana oznacza dla nich występy w najbardziej prestiżowych salach koncertowych, lukratywne kontrakty, sławę.

On zajmuje się muzyką, a jego piękna żona modelka organizuje dwór i życie towarzyskie. W ich willi pod Salzburgiem urządzonej w stylu rustykalnym goszczą najważniejsze postacie świata sztuki i polityki: tenor Placido Domingo, projektant mody Karl Lagerfeld, kanclerz RFN Helmut Schmidt. Ale otwartość ma granice. Dziennikarzy pani Karajan nie wpuszcza za próg. Z kolegami po fachu dyrygent nie utrzymuje kontaktów.

Z biegiem czasu sytuacja w berlińskiej filharmonii robi się coraz bardziej napięta. W 1984 r. spór o jego kolejną protegowaną, klarnecistkę Sabine Meyer, którą Karajan chce zatrudnić wbrew woli zespołu, przeradza się w otwartą wojnę. Urażony dyrygent i jego orkiestra nigdy się nie pogodzą. Karajan oficjalnie rezygnuje z prowadzenia orkiestry w kwietniu 1989 r. Umiera trzy miesiące później.



Friedrich Paulus

W państwie niemieckich robotników i chłopów „faszystowski feldmarszałek” mieszkał w luksusowej willi i cieszył się przywilejami. Sowietci, a potem przywódcy NRD, najpierw wiązali z nim ogromne nadzieje, a potem go porzucili

„Podczas przerażającej bitwy o Stalingrad 300 tys. ludzi zaprowadzono na rzeź. Kiedy zwyczajni żołnierze do końca wykonywali rozkazy, wy, generałowie, uratowaliście życie, idąc do niewoli. Nawróciliście się na socjalizm i znowu jesteście panami!”

Mieszkaniec pięknej willi w Weisser Hirsch, eleganckiej dzielnicy na przedmieściach Drezna, takie listy dostawał regularnie. Przychodziły też pogróżki. Ze stempli na kopertach wynikało, że nadawcy mieszkali zarówno we wschodnich, jak i w zachodnich Niemczech. Najbardziej nieprzyjemnych pism, których autorzy porównywali go do drugiego Hitlera i grozili mu śmiercią, nigdy nie zobaczył – jego adiutant zawczasu przeglądał korespondencję.

Sąsiedzi patrzyli wilkiem, bo jak to możliwe, żeby w Niemieckiej Republice Demokratycznej, państwie robotników i chłopów, w stojącej nad brzegiem Łaby 650-metrowej willi mieszkał jeden tylko człowiek?

W latach 50. w zniszczonym przez alianckie bombowce Dreźnie trudno było związać koniec z końcem, ale jemu niczego nie brakowało. Grał w tenisa, chodził do opery, garnitury szył u krawca. Władze NRD wypłacały mu 3 tys. marek miesięcznie – dziesięciokrotność pensji robotnika. Płaciły za pokojówki, ogrodników, kierowcę, który obwoził go zachodnioniemieckim oplem kapitanem.

Sąsiadów chyba najbardziej irytowało, gdy służący zwracali się do niego

per „Herr Generalfeldmarschall” (panie feldmarszałku). Zdarzało się, że adiutant z bronią w ręku musiał odgradzać Friedricha Paulusa od wściekłych rodaków. Ich nienawiść była silniejsza niż strach przed Stasi, wszechmocną wschodnioniemiecką bezpieką, która chroniła marszałka.

Adiutant mógł też bez problemów przekraczać niemiecko-niemiecką granicę i przywozić z Badenii jego córkę oraz wnuki. Paulus dostawał zachodnioniemiecką prasę. Miał pistolet, a także kartę łowiecką – w NRD zwykłym śmiertelnikom nie wolno było polować.

Były dowódca rozbitej pod Stalingradem 6. Armii nie wiedział tylko, że Stasi śledzi każdy jego krok, a stenogramy z podsłuchiowanych rozmów telefonicznych i meldunki służących (wszyscy byli agentami bezpieki) łądowały w kartotece o kryptonimie „Taras”. Pracownicy bezpieki pisali o nim bez ogródek: „Były faszystowski generał”. A jednak władze NRD wiązały z nim wielkie plany.

Awans przed klęską

– Gratuluję awansu – mówił, budząc Paulusa, generał Arthur Schmidt, szef sztabu 6. Armii. Był ranek 31 stycznia 1943 r. W Stalingradzie, nadwołżańskim mieście, w którym od prawie trzech miesięcy rozpaczliwie bronili się okrążeni Niemcy, wzeszło słońce. Chwilę wcześniej z Berlina nadeszła depesza, że Hitler mianował generała pułkownika Paulusa feldmarszałkiem.

Nie zrobiło to na nim większego wrażenia – był oburzony radiowymi wystąpieniami Josepha Goebbelsa i Hermanna Göringa, którzy poprzedniego dnia zagrzewali żołnierzy w Stalingradzie do walki, ale nie wymienili nazwiska ich dowódcy. – Od tej chwili jestem osobą prywatną – oświadczył.

Dowódca armii od wielu dni zmagał się z dyzenterią, przeszedł załamanie nerwowe i prawie nie wstawał z łóżka. Przez ostatnie tygodnie dowodził za niego generał Schmidt, fanatyczny nazista gotów walczyć do końca. Ale nie miał już czym dowodzić.

Gdy w listopadzie 1942 r. Armia Czerwona uwięziła w tak zwanym kotle 6. Armię niemiecką, Paulus miał prawie ćwierć miliona żołnierzy. Pod koniec stycznia było ich dwa razy mniej. Czołgi i działa zostały zniszczone, Sowieci opanowali ostatnie lotnisko, na które transportowce Luftwaffe dostarczały zaopatrzenie.

Niemcy nie byli w stanie bronić nawet sztabu armii, który ulokował się w piwnicy domu towarowego przy stalingradzkim placu Czerwonym. Już o 7 rano telegrafista kwatery głównej nadał do Berlina wiadomość: „Rosjanie są pod drzwiami”. Była to ostatnia depesza. Gdy Schmidt rozmawiał z Paulusem, radzieccy oficerowie omawiali już z adiutantem świeżo upieczonego feldmarszałka warunki pójścia do niewoli. Rozmawiano m.in. o tym, czy Paulus będzie mógł zatrzymać ordynansa. Strzegący sztabu grenadierzy po kolejnym radzieckim ataku porzucili broń.

Gdy wreszcie do pokoju Paulusa weszli sowieccy oficerowie, nie mogli uwierzyć, że wychudzony człowiek na łóżku to znany z hardości niemiecki dowódca.

Kilka godzin później Paulus wyszedł z piwnicy. Ulicami Stalingradu ciągnęły już kolumny półżywych niemieckich jeńców. Do sztabu radzieckiej 64. Armii feldmarszałka zabrał samochód. Mimo depresji od początku przesłuchań był twardy.

Nie zgodził się podpisać kapitulacji. Nie chciał rozkazać złożenia broni Niemcom i Rumunom okrążonym w północnej części miasta. Zaprzeczał nawet temu, że sztab się poddał. Nie bronił się – a to co innego.

- Byliśmy zbyt wyczerpani, by dalej walczyć – wyjaśniał na pierwszym przesłuchaniu. Oddziały z tzw. północnego kotła poddały się dwa dni później. Drobne potyczki z niemieckimi niedobitkami trwały do 5 lutego.

Sowieci prawie siłą musieli go wyganiać na spotkanie z alianckimi korespondentami wojennymi ściągniętymi z Moskwy. Na filmach nakręconych przez sowieckich operatorów widać, jak zniesmaczony Paulus siedzi na dworze otoczony przez dziennikarzy i nie odpowiada na pytania.

Stalingradzki Leonidas w niewoli

Podczas pierwszych godzin w niewoli Paulus uważał, że broniąc Stalingradu do końca, wypełnił misję. Porównywał się do króla Sparty Leonidasa, który ze swoimi 300 wojownikami powstrzymał pod Termopilami tysiące Persów. Liczył na to, że Hitler wymieni go na porucznika Jakowa Dżugaszwilego, syna Stalina wziętego do niewoli w lipcu 1941 r. pod Smoleńskiem. Porucznik Dżugaszwili, skonfliktowany z ojcem (poszło o jego żonę Zoję, której Stalin nie akceptował), służył jako dowódca baterii pod

Smoleńskiem. Niemcy, prąc na Moskwę, okrążyli tam trzy sowieckie armie, w tym oddział syna Stalina. Wkrótce potem niemiecka propaganda zaczęła publikować zdjęcia ledwo żywego trzydziestoparolatka w otoczeniu niemieckich oficerów. Do dziś nie wiadomo, czy został pojmany przez Niemców, czy sam oddał się im do niewoli.

Tymczasem na wieść, że Paulus nie popełnił samobójstwa, Hitler wpadł we wściekłość. Przecież po to właśnie awansował go na najwyższy stopień wojskowy, by wyjął z kabury pistolet i walnął sobie w łeb. – Żaden niemiecki feldmarszałek nie poszedł do niewoli – mówił 1 lutego Führer podczas odprawy w swojej kwaterze głównej w Wilczym Szańcu. Szef sztabu generalnego wojsk lądowych Kurt Zeitzler, który referował mu sytuację na froncie wschodnim, też nie mógł pojąć, jak Paulus mógł się poddać. – To słabeusz bez charakteru! – syczał Hitler o świeżo upieczonym feldmarszałku. Postanowił, że do końca wojny nikomu już nie nada tego stopnia.

Hitler oczekiwał, że gdy Paulus się zastrzeli, za jego przykładem pójdą inni i cała 6. Armia popełni masowe samobójstwo. Krzyczał, że wobec ludzi, którzy poddają się wrogowi, nie ma żadnego szacunku. Że trzeba ginąć tak jak starożytni wodzowie, po przegranej bitwie rzucać się na miecz. Generał uspokajał go, mówiąc, że może tylko Sowietci twierdzą, że wzięli Paulusa i jego żołnierzy do niewoli. – Może faktycznie wybrali śmierć? – zastanawiał się. Nazistowska propaganda podała, że z okrążonej w Stalingradzie armii nikt nie ocalał. W rzeczywistości do sowieckiej niewoli poszło ponad 90 tys. żołnierzy. Niektórzy oficerowie Paulusa myśleli o samobójstwie, ale dowódca im tego zabronił. – Macie dzielić los swoich ludzi – nakazał.

Wstrząśnięta była też generalicja. W końcu Paulus to oficer ze starej szkoły. Mundur nosił od 1910 r. Podczas I wojny światowej dzielnie walczył we Francji i w Macedonii. Zdobył Krzyże Żelazne pierwszej i drugiej klasy. Był więc wojskowym z krwi i kości. Jak mógł zapomnieć o honorze?

O wymianie jeńca na syna Stalina nie było mowy. Nie chciał tego Stalin. – Nie wymienia się marszałka na porucznika – oświadczył, gdy dotarła do niego niemiecka propozycja. Niedługo później, w kwietniu 1943 r., Jakow Dżugaszwili rzucił się na płot pod napięciem w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen.

Uwięziony Paulus jest feldmarszałkiem, ale na pagonach ma dystynkcje generała pułkownika, więc prowizoryczne butawy marszałkowskie robi mu jeden z jeńców. A prawdziwe epolety przesyła ambasada w Ankarze, którą uwięziony prosi listownie o pomoc. Pomagają także Sowietci, którzy ze względów propagandowych chcą, by Paulus nosił w niewoli prawdziwy mundur marszałkowski. To ich najważniejszy jeniec. Nie mogą zresztą

uwierzyć, że niemiecki feldmarszałek pochodzi z mieszczańskiej rodziny. Propaganda nieustannie informowała o pojmaniu „von Paulusa”

NKWD od początku próbuje go przekonać, by wystąpił przeciwko Hitlerowi. Paulus odmawia. Niemieckiego komunistę Wilhelma Piecka, późniejszego prezydenta NRD, który go przekonuje, by porzucił Hitlera, odprawia. – Jestem żołnierzem, wykonuję rozkazy i nie mieszam się do polityki – mówi.

Nie ugina się nawet pod groźbami enkawudzistów, że z obozu jenieckiego w każdej chwili może trafić do więzienia na moskiewskiej Łubiance.

Kolaboracja z Sowietami przypomina mu listopad 1918 r., gdy w wyczerpanych wojną Niemczech wybuchła rewolucja, kajzer został zmuszony do abdykacji, a armia skapitulowała. 28-letniemu wówczas kapitanowi zawałił się świat i 25 lat później nie zamierza brać udziału w podobnej hańbie.

Pan feldmarszałek wraca

W grudniu 1947 r. ukazujący się w Niemczech zachodnich tygodnik „Der Spiegel” podaje, że w ZSRR uformowała się gotowa do akcji 50-tysięczna armia niemiecka pod dowództwem Friedricha Paulusa. Składa się ona z dywizji noszących nazwy niemieckich miast. Służą w niej 25 tys. oficerów i 80 generałów. Mają niemieckie czołgi Tiger i Panther oraz sowieckie T-41 i T-43.

Czytelnicy – przynajmniej niektórzy – wierzą tym fantazjom. Pod koniec lat 40. wizja powrotu armii złożonej z dawnych żołnierzy Wehrmachtu pod wodzą feldmarszałka, który przeszedł na stronę ZSRR, budzi na Zachodzie strach. Jej przybycie do wschodnich Niemiec ma zwiastować wybuch nowej wojny.

W rzeczywistości Paulus wraca z ZSRR do NRD w październiku 1953 r., ale bez armii. Na dworcu we Frankfurcie nad Odrą, tuż za nową granicą polsko-niemiecką, witają go dawni koledzy i oficerowie Kasernierte Volkspolizei (Skoszarowanej Policji Ludowej, w skrócie KVP), organizacji paramilitarnej będącej załącznikiem przyszłych sił zbrojnych NRD. Ściskając mu dłoń, komuniści nie zwracają się do niego per „towarzyszu” – Paulus to dla

wszystkich „Herr Generalfeldmarschall”!

- Oczekujemy od pana, że wszystkie swoje zdolności i całe doświadczenie poświęci pan walce o zjednoczone, niepodległe i demokratyczne Niemcy, walce o pokój – mówi na peronie Arno von Lenski, dawny podwładny Paulusa, który razem z nim dostał się do niewoli. Do Niemiec wrócił w 1949 r. i został generałem majorem Skoszarowanej Policji Ludowej. Feldmarszałek przytakuje. Dziękuje władzom ZSRR za to, że pozwoliły mu wrócić.

Zostaje rozpoznany na dworcu przez żołnierza, który służył pod jego rozkazami. – To Paulus! – krzyczy, wzbudzając poruszenie wśród tłumu czekającego na piłkarzy Dynama Drezno, którzy grali w Moskwie. Piłkarze przybyli tym samym pociągami co feldmarszałek. Wieść o jego powrocie rychło dociera na Zachód. Prasa w RFN jest przekonana, że Paulus ma zbudować we wschodnich Niemczech armię z prawdziwego zdarzenia.

Było to prawdopodobne. We wschodnich i w zachodnich Niemczech, gdzie na początku lat 50. potajemnie zaczęła się odbudowa sił zbrojnych, już wcześniej sięgano po weteranów z Wehrmachtu. Przez pół wieku istnienia armii NRD, która miała bronić ludzi pracy przed faszyzmem, służyło w niej 350 generałów. Co siódmy przysięgał wcześniej wierność Hitlerowi.

Ale Paulus tylko nieoficjalnie doradzał KVP jako szef instytutu historycznego w jej drezdeńskiej akademii. Przywódcy Sozialistische Einheitspartei Deutschland (SED), Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, skierowali go do propagandy, a nie do szkolenia dywizji.

Komuniści mieli nadzieję, że feldmarszałek będzie wpływał na żyjących w RFN konserwatystów i weteranów. Że zdoła przekonać wielu z nich, iż proamerykańska polityka Bonn prowadzi do katastrofy. Że kanclerz Konrad Adenauer, który z pomocą dawnych oficerów Wehrmachtu odbudowuje armię i chce wprowadzić RFN do NATO, tak naprawdę uniemożliwia zjednoczenie Niemiec. Obowiązkiem każdego niemieckiego patrioty jest za wszelką cenę go powstrzymać.

Paulus się zgodził. Ten bezkompromisowy niegdyś oficer po dziesięciu latach w ZSRR miał już wyprany mózg. Sowieci nie zdołali wprowadzić go na komunizm jak kilkunastu innych niemieckich generałów, ale uwierzył, że NRD to lepsze Niemcy, a w RFN rządzą wspólnicy Hitlera, amerykańskie marionetki. Z dumą mawiał, że czuje się niemieckim patriotą i zarazem przyjacielem ZSRR.

Powrót Paulusa stał się na Zachodzie sensacją, która – na co też liczyli komuniści – przykryła w prasie echa krwawego stłumienia ludowego powstania w czerwcu 1953 r., kiedy to po ogłoszonych przez komunistyczne

władze obniżkach płac na ulice wyszli robotnicy – najpierw we wschodnim Berlinie, a potem w całym kraju. Demonstranci przejmowali urzędy, opróżniali więzienia. Istnienie NRD, której rząd uciekł z Berlina, uratowały wówczas sowieckie czołgi. W starciach zginęło 75 osób.

W lipcu 1954 r. Paulus po raz pierwszy spotkał się z zachodnimi dziennikarzami jako wolny człowiek. Mówił o zjednoczeniu Niemiec, przyjaźni z ZSRR i pokoju w Europie. Atakował USA i Adenauera. Ale dziennikarzy interesował tylko Stalingrad.

Gdyby skapitulował w grudniu...

Dlaczego skapitulowałeś tak późno? Dlaczego poświęciłeś tyłu ludzi? – to pytanie zadawali Paulusowi nie tylko zachodni niemieccy dziennikarze, ale też przesłuchujący go Sowieci i Niemcy, z którymi poszedł do niewoli. Z czasem i on sam zaczął się siebie o to pytać.

Jego wina polegała na tym, że w krytycznym momencie nie przeciwstawił się Hitlerowi, którego znał i cenił. Zanim stanął na czele 6. Armii, był m.in. zastępcą szefa sztabu generalnego niemieckich wojsk lądowych – całą dotychczasową karierę spędził w sztabach – i często uczestniczył w odprawach z udziałem Hitlera. Nie mieściło mu się w głowie, że Führer okaże się szaleńcem i ignorantem wojskowym. Nie zrozumiał, że Hitler miał obsesję na punkcie Stalingradu, miasta, które nosiło imię jego głównego wroga. Gdy w 1941 r. nie zdołał zająć Moskwy, zdobycie strategicznie położonego Stalingradu miało oznaczać „zastępczy” triumf III Rzeszy nad ZSRR. Latem 1942 r. na froncie wschodnim rozpoczęła się wielka ofensywa, której celem było rozbicie Armii Czerwonej i zdobycie pól naftowych na Zakaukaziu. Zadanie zdobycia po drodze Stalingradu Hitler powierzył właśnie Paulusowi. To miała być szybka i skuteczna operacja, tymczasem gdy 23 sierpnia 1942 r. Niemcy dotarli na przedmieścia zbombardowanego wcześniej miasta, okazało się, że obrońcy nie zamierzają kapitulować. Stalin – który też miał obsesję na punkcie miasta noszącego jego imię – przykazał walkę do ostatniego żołnierza.

Przez trzy miesiące Niemcy i Sowieci walczyli o każdy dom, często wręcz. Snajperzy zbierali krwawe żniwo. Do listopada Paulus zdobył 90 proc. miasta, ale poniósł ogromne straty. Najgorsze miało dopiero nastąpić.

W nocy z 19 na 20 listopada 1942 r. Armia Czerwona ruszyła do kontrofensywy, rozbiła jednostki węgierskie i rumuńskie ochraniające flanki 6. Armii. Przed takim scenariuszem Paulus bezskutecznie ostrzegał wcześniej Hitlera. Gdy 6. Armia szykowała się do odwrotu z miasta, by uniknąć okrążenia, Führer kategorycznie tego zabronił.

Gdyby Paulus zignorował ten rozkaz, losy wojny potoczyłyby się inaczej. Ale usłuchał. Dyktator obiecywał, że do Stalingradu dotrze wkrótce odsiecz, a wcześniej 6. Armia dostanie zaopatrzenie przez most powietrzny. Jednak mimo zapewnień Göringa Luftwaffe nawet przy dobrych warunkach pogodowych dowoziła dziennie tylko 100 ton zaopatrzenia. Paulus potrzebował siedem razy więcej. W armii zaczął się głód. Brakowało amunicji.

12 grudnia 1942 r. na odsiecz Paulusowi ruszyła Grupa Armii „Don”. Operacja nosiła kryptonim „Zimowa burza”. Niemieckie czołgi parły po zamrożonej ziemi do przodu, ale ponosiły poważne straty. Sowieckie oddziały broniły się fanatycznie, często dokonując samobójczych ataków na nacierający Wehrmacht. Po dziesięciu dniach Niemcom udało się przełamać sowieckie linie i przepawali się na drugi brzeg rzeki Myszkowa. Byli już 55 km od oblężonego Stalingradu. Paulus wyczekiwał, aż odsiecz podejdzie 18 km od miasta. Dopiero wówczas zamierzał wyrwać się z okrążenia. Wyliczył, że jego skrajnie wyczerpane i pozbawione zapasów oddziały będą w stanie przejść tylko taką odległość.

20 grudnia opór Armii Czerwonej stężał. Sowieckie dowództwo początkowo nie ścigało posiłków, by powstrzymać odsiecz dla Paulusa. Generałowie Stalina bali się, że Niemcy chcą odciągnąć ich uwagę, by zaatakować gdzie indziej. Gdy upewnili się, że tak nie będzie, uderzyli z całej siły. Dowodzący 4. Armią Pancerną generał Hermann Hoth był zdania, że mimo to trzeba dalej nacierać w kierunku Stalingradu. Wierzył, że uda mu się dotrzeć na 25 km od miasta. To mogłoby wystarczyć, by uratować żołnierzy Paulusa. Ale dowodzący Grupą Armii „Don” feldmarszałek Erich von Manstein szans na sukces nie widział od samego początku „Burzy” i 23 grudnia kazał wstrzymać natarcie.

Od tego momentu klęska była przesądzona. Mimo to Hitler nadal zabraniał kapitulacji. Gdy w styczniu 1943 r. Armia Czerwona zaatakowała okrążonych i przez parlamentariuszy zaproponowała „honorową kapitulację”, Paulus kazał do nich strzelać. Strzelano też do sowieckich żołnierzy podciągających pod niemieckie linie głośniki, z których sączyły się niemiecka muzyka i złowrogie przestrogi, że co siedem sekund na froncie wschodnim ginie niemiecki żołnierz.

Z 90 tys. Niemców, którzy trafili pod Stalingradem do sowieckiej

niewoli, większość była tak wyczerpana i chora, że zmarła w drodze do obozów jenieckich. Wojnę przeżyło 6 tys. Paulus świetnie zdawał sobie sprawę, że gdyby skapitulował w grudniu, przeżyłoby więcej żołnierzy. To, że ma na sumieniu dziesiątki tysięcy swoich ludzi, było główną z przyczyn, dla których do końca życia zmagał się z depresją.

W Komitecie Wolne Niemcy

Wydaje się, że Paulus wiarę w Hitlera stracił dopiero latem 1944 r. Do obozu jenieckiego w Wojkowie przybyło wówczas kilkudziesięciu generałów wziętych do niewoli w pierwszych dniach operacji „Bagration”. To wielka ofensywa rozpoczęta 22 czerwca 1944 r. na całej długości frontu wschodniego, od oblężonego Leningradu po wybrzeże Morza Azowskiego. W jej wyniku Sowieci wzięli ponad 100 tys. jeńców. Paulus pojął wtedy, że wojna, którą bacznie śledził, zaznaczając fronty na wielkiej mapie w obozowej jadalni, jest przegrana. Zwłaszcza że kilka tygodni wcześniej alianci wylądowali w Normandii.

Najbardziej przeraziły go jednak inne wiadomości. Po nieudanym zamachu na pułkownika Clausa von Stauffenberga 20 lipca 1944 r. Hitler wziął krwawy odwet na spiskowcach. Znajomi Paulusa stanęli przed plutonami egzekucyjnymi lub zginęli powieszeni na fortepianowych strunach. Paulus – nieustannie naciskany przez NKWD – w końcu ulega.

8 sierpnia 1944 r. ogłasza „Apel do wziętych do niewoli niemieckich oficerów i żołnierzy oraz do narodu niemieckiego”.

„Wojna jest przegrana” – pisze i wzywa rodaków, by obalili Hitlera. W następnych tygodniach podpisuje kolejne apele i występuje w radzieckim radiu. Otoczone w Kurlandii jednostki Wehrmachtu zachęca do kapitulacji. Efekt jest niewielki, bo w Niemczech słuchanie wrogich rozgłośni karane jest śmiercią. A im bardziej dramatyczna staje się sytuacja na froncie, tym bezwzględniejsze jest Gestapo. Na gilotynę jako defetysta można trafić nawet za dowcip o Hitlerze.

Paulus o tym nie wie. Wstępuje do Związku Niemieckich Oficerów – powołanej pod auspicjami władz sowieckich organizacji jeńców, którzy razem z Armią Czerwoną mieliby wyzwalać Niemcy od Hitlera. Związek jest częścią założonego przez niemieckich komunistów Komitetu Narodowego Wolne

Niemcy – jeszcze rok wcześniej członków obydwu organizacji Paulus miał za zdrajców.

Teraz feldmarszałek liczy na to, że zostanie szefem niemieckiego rządu na uchodźstwie, a jeńcy utworzą wojsko walczące u boku Armii Czerwonej. Dzięki temu może udałoby się uniknąć zapowiadanego przez aliantów podziału Niemiec. Sowietci robią mu nadzieję, że tak właśnie się stanie.

O planach Paulusa robi się dość głośno – Amerykanie i Brytyjczycy pytają sowieckich dyplomatów, czy zamierzają oni zignorować wspólne ustalenia co do przyszłego podziału kontynentu. To tylko propaganda – słyszą w odpowiedzi. Ale plotki o armii Paulusa krążą w Niemczech jeszcze w latach 50.



3 lutego 1943 r. Marszałek Nikołaj Woronow (pierwszy z lewej) i siedzący obok zasłonięty generał Konstantin Rokossowski przesłuchują Paulusa.

Świadek Norymbergi

W 1946 r. Sowietci znów wykorzystują feldmarszałka. Z obozu jenieckiego przewożą go do Niemiec, by wystąpił jako świadek oskarżenia na procesie norymberskim. Paulus sam zaproponował, że złoży zeznania. W ten sposób chce odkupić winy za Stalingrad.

Na sali rozpraw pojawia się 11 lutego 1946 r. Wyprostowany jak struna, w niebieskim garniturze, pod krawatem. Na ławie oskarżonych wybucha wściekłość. Göring nazywa go „brudną świnia”. Spokój zaprowadza dopiero amerykańska żandarmeria.

Paulus opowiada, jak od września 1940 r. opracowywał plan najazdu na ZSRR. Był wówczas zastępcą szefa sztabu wojsk lądowych.

- To była zbrodnicza napaść - mówi o rozpoczętym 22 czerwca 1941 r. planie Barbarossa. Podważa przy tym słowa obrońców oskarżonych, którzy przekonywali, tak jak w 1941 r. robił to Goebbels, że atak na ZSRR był koniecznością, bo Stalin szykował się do napaści na Niemcy. - Celem wojny z ZSRR była kolonizacja Wschodu - mówi. Gdy gen. Roman Rudenko, główny sowiecki oskarżyciel, prosi, by wymienił głównych sprawców napaści na ZSRR, Paulus bez wahania wskazuje na mężczyzn siedzących na ławie oskarżonych. To marszałek Rzeszy Hermann Göring, feldmarszałek Wilhelm Keitel, generał pułkownik Alfred Jodl, czyli kolejno dowódca Luftwaffe i zarazem najważniejszy doradca wojskowy Hitlera, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu oraz szef jego sztabu.

Dzień później obrońcy próbują go zdyskredytować. Dr Otto Nelte, obrońca Keitla, pyta, dlaczego objął dowodzenie 6. Armią, skoro wiedział, że wojna przeciwko ZSRR była zbrodnią. - Czy miał pan jakieś skrupuły? - docieka, chcąc zrzucić na niego część odpowiedzialności za wybuch wojny sowiecko-niemieckiej.

- Jako żołnierz wierzyłem, że mam obowiązek wobec ojczyzny. Byłem pod presją propagandy - wyjaśnia Paulus. To, że wojna jest zbrodnicza, doszło do niego dopiero pod Stalingradem.

- Dlaczego walczył pan w Stalingradzie do końca? - dociekał Nelte.

- Gdy objąłem dowództwo, nie widziałem jeszcze całego rozmiaru zbrodni - odpowiadał Paulus.

- Był pan wykładowcą w sowieckich akademiach wojskowych? - pyta Hans Ekner, adwokat gen. Jodla, powtarzając jedną z krążących po Niemczech plotek. Paulus stanowczo zaprzecza. Odpiera ataki adwokatów. Jest przekonujący. Najwyraźniej Sowietci dobrze go przygotowali.

Gdy wychodzi z sali rozpraw, łapie go jeden z dziennikarzy i pyta o jeńców z 6. Armii, którzy są w sowieckiej niewoli. - Proszę przekazać żonom i matkom, że z nimi wszystko w porządku - mówi Paulus. To kłamstwo obiega potem Niemcy.

Z Norymbergi wraca do ZSRR. Władze radzieckie nie wywiązują się z obietnicy, że zorganizują mu spotkanie z ukochaną żoną. Constanze Paulus, z pochodzenia rumuńska arystokratka, mieszka wówczas w Baden-Baden. Jeszcze gdy mąż pracował nad szczegółami planu Barbarossa, przestrzegła go przed wojną z Rosją. W 1948 r. mówiła „Spieglowi”, że ciągle na niego czeka. W to, że zaangażował się w politykę po stronie Sowietów, nie chciała wierzyć do końca. Zmarła jesienią 1949 r., cztery lata przed powrotem męża

do Niemiec.

Patron czicieli Hitlera

W 1953 r. wydawało się, że podział Niemiec nie musi być trwały. Że istniejące od czterech lat NRD i RFN mogą się połączyć w zdemilitaryzowane demokratyczne państwo. Śmierć Stalina miała takie rozwiązanie przybliżyć. Różnice między państwami niemieckimi były jednak widoczne gołym okiem. W RFN rozpoczynał się cud gospodarczy, ożywienie wywołane przez pomoc z amerykańskiego planu Marshalla. Na wschodzie dalej panowała bieda. Nie był to tylko efekt niewydolności socjalistycznej gospodarki, ale też tego, że w 1945 r. w zajętych miastach Sowieci masowo demontowali fabryki i wywozili je do ZSRR. Państwo było pod pełną kontrolą bezpieki. Ludzie uciekali na Zachód tysiącami. A propaganda NRD przedstawiała RFN jako państwo rządzone przez byłych nazistów, w którym kapitałiści wykorzystują robotników. W RFN o wschodnich Niemczech mówiło się jak o sowieckiej kolonii.

Apele mieszkającego w Dreźnie Paulusa drukuje enerdowska prasa. Feldmarszałek domaga się, by Bonn, stolica RFN, trzymał się z daleka od USA. Jego słowa trafiają w próżnię. Na Zachodzie pisze się o nim nie jako o wielkim dowódcy, lecz jako o koniunkturaliście, który występuje się komunistom. Nieustannie wypomina mu się zbędne ofiary Stalingradu. Jeden z posłów do Bundestagu domaga się, by feldmarszałka osądzić jako zbrodniarza wojennego.

Komuniści próbują zatem przekonywać zachodnioniemiecką prawicę w inny sposób. Feldmarszałek ma patronować spotkaniom byłych oficerów Wehrmachtu ze wschodnich i zachodnich Niemiec, którzy razem mają się przeciwstawić polityce Adenauera.

Przygotowania do pierwszego spotkania rozpoczynają się w 1954 r. Najpierw Stasi szuka w NRD weteranów Wehrmachtu, którzy mogliby nakłonić do współpracy dawnych kolegów mieszkających po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Potem – przez tajnych kurierów – Paulus rozsyła zaproszenia wybranym ludziom zza łąby. Spotkanie odbywa się w styczniu we wschodniobерlińskim hotelu Johannishof.

- Głównym problemem jest zjednoczenie Niemiec po dziesięciu latach

podziału – mówi do słuchających go 57 kombatantów, których połowa przybyła z Zachodu. Szybko dochodzi do sprzeczek. Weterani z RFN chcą mówić o jeńcach wciąż więzionych w ZSRR. Inni żądają, by Paulus wytłumaczył się ze współpracy z komunistami. Pod apelem przeciwko wejściu RFN do NATO wielu oficerów z Zachodu nie chce się podpisać. Na zachodzie byli oficerowie Wehrmachtu są silną grupą, a ludzi, którzy „kalają własne gniazdo”, zachodnioniemieckie społeczeństwo wytyka palcami.

Co gorsza, mimo tajemnicy o spotkaniu dowiedzieli się zachodni dziennikarze. O oficerach, którzy dali się namówić Paulusowi na spotkanie, piszą jako o zdrajcach. – Przygotowywali komunistyczne powstanie w RFN – alarmują. Uczestników nachodzą później funkcjonariusze zachodnioniemieckich i amerykańskich służb specjalnych.

Lepiej wypada drugie spotkanie – w czerwcu 1955 r. Paulus wygłasza na nim referat i mówi, że przystąpienie RFN do NATO oznacza utrwalenie podziału Niemiec, co grozi nową wojną. Wzywa dawnych oficerów Wehrmachtu zgromadzonych w wypełnionej po brzegi sali Deutsches Theater we wschodnim Berlinie, by byli jak pruscy żołnierze, którzy rozpoczęli powstanie przeciwko Napoleonowi. – Pozyskajmy dla sprawy ludzi na wschodzie i na zachodzie. Jesteśmy jednym narodem – apeluje. Jego słowa podchwytuje zachodnia prasa. Ale nikt nie wierzy w szczerą intencję. „Paulus szuka głupka” – kwitują gazety ukazujące się w Berlinie Zachodnim.

Więcej spotkań oficerów w NRD już nie będzie. Stasi szybko ustaliła, że przywiezieni do wschodnich Niemiec weterani to naziści nienawidzący i Adenauera, i rządzącego NRD Waltera Ulbrichta, i ZSRR. Ludzie nieuznający granicy na Odrze i Nysie, z których wielu dalej czci Führera.

Paulus jednak dalej wierzy w swoją misję zjednoczenia kraju. Chce w ten sposób odkupić grzechy. Ale nie jest już potrzebny. W NRD i ZSRR zdano sobie sprawę, że zachodnich Niemiec nie da się powstrzymać przed wejściem do NATO i że feldmarszałek nie rozpali zachodnioniemieckich serc. Jeszcze przed drugim spotkaniem oficerów powstaje Układ Warszawski, militarny sojusz państw socjalistycznych, także NRD, w którym główne skrzypce gra ZSRR.

Bezżyteczny i sparaliżowany

- Siedzę często w niedzielę sam i słucham orkiestr dętych. Rozmyślam nad moim życiem i łzy płyną mi po policzkach. Zastanawiam się, dlaczego tu wyładowałem. Dlaczego nie poległem w Stalingradzie. Dlaczego nie skończyłem w kopalni uranu? – mówi Paulus w połowie lat 50.

Depresja się nasiliła. Feldmarszałek stał się bezużyteczny nie tylko dla władców NRD. Jego petycja do władz ZSRR o zwolnienie ostatnich jeńców nic nie dała. Do zwolnienia ich doprowadza nie Paulus, lecz tak zwalczany przez niego kanclerz Konrad Adenauer, który załatwia tę sprawę podczas wizyty w Moskwie w 1955 r.

Atakowany przez zachodniemiecką prasę Paulus chce się w końcu „rozliczyć” ze Stalingradu. Całymi dniami przegląda dokumenty i spisuje wspomnienia. Skoro nie udało się stworzyć ruchu dawnych wojskowych, to próbuje odkupić winy w ten sposób. Jednak plany wydania książki krzyżuje rzadka choroba układu nerwowego, która powoduje u niego postępujący paraliż. Najlepsi ernerdowscy lekarze, do których ma dostęp, są bezsilni. Umiera 1 lutego 1957 r. Na jego pogrzeb przychodzą dawni towarzysze broni i oficerowie ernerdowskiej armii. Z zachodu przyjeżdża rodzina. Pogrzeb jest państwowy, ale dzieciom feldmarszałka udało się zmusić władze, by w ceremonii uczestniczył również pastor.

- Feldmarszałek Paulus był niemieckim patriotą, przykładem dla wszystkich. Naród tego nigdy nie zapomni – mówi nad trumną Heinrich Homann, były podwładny feldmarszałka spod Stalingradu, później przywódca satelickiej wobec partii komunistycznej Narodowo-Demokratycznej Partii Niemiec. Następnie prochy Paulusa zostają skremowane i przewiezione na zachód, do Baden-Baden. Spoczywa obok żony.



Prezydent John Kennedy (trzeci z lewej) i wiceprezydent Lyndon Johnson (z prawej) w towarzystwie Wernhera von Brauna (drugi z prawej) przechodzą

koło rakiety Saturn 1 w Centrum Lotów Kosmicznych im. gen. Marshalla.

Wernher von Braun

Czy dzisiaj amerykański prezydent dałby się sfotografować w towarzystwie byłego członka SS? John Fitzgerald Kennedy zrobił to wielokrotnie

Gdy 12 września 1962 r. prezydent Kennedy ląduje w ośrodku raketowym w Huntsville w Alabamie, Niemiec w błysku fleszy wita go na płycie lotniska. Kamera filmuje, jak rozmawiają na pasie i jak jadą cadillakiem.

Dla prezydenta brunatna przeszłość Niemca nie ma znaczenia – w USA jest celebrytą, uosobieniem geniuszu i wizjonerstwa. Amerykanie zaczytują się w jego artykułach o podboju kosmosu.

W listopadzie 1963 r. w centrum kosmicznym na przylądku Canaveral na Florydzie Kennedy rozmawia z nim przed makietą Saturna V, najnowszego cacka agencji kosmicznej NASA. Pierwszy egzemplarz za kilkanaście miesięcy opuści hale montażowe. Do dziś nie skonstruowano większej rakiety – Saturn V miał 110 m wysokości i ważył 3 tys. ton.

Niemiec opowiada prezydentowi o pięciu silnikach F-1 napędzanych wysokorafinowaną kerozyną, które w ciągu niespełna trzech minut mają wynieść kolosa na wysokość 67 km. A potem ruszą mniejsze silniki J-2 na ciekły tlen i wodór, pchając znajdującą się na szczycie rakiety kapsułę z astronautami na orbitę okołoziemską, czyli na wysokość prawie 200 km. Stamtąd polecą dalej, na Księżyc.

Słowo „Księżyc” ma wielkie znaczenie. Pod koniec lat 50. zimna wojna przeniosła się w kosmos, gdzie dominował ZSRR. To radzieckie rakiety wyniosły na orbitę pierwszego sztucznego satelitę oraz pierwszego człowieka – Jurija Gagarina. W 1962 r. Kennedy obiecuje, że pod koniec dekady Amerykanie staną na Księżycu. A zawiezie ich tam wielka rakietka Wernhera

von Brauna.

- Von Braun był opętany Księżycem. Aby go zdobyć, gotów był podpisać pakt z diabłem – wspominali jego współpracownicy.

Daliśmy radę, mein Führer!

Kennedy nie był pierwszym przywódcą państwa, któremu von Braun pokazywał swoje rakiety.

3 czerwca 1943 r. inżynier leci samolotem z niemieckiego ośrodka raketowego Peenemünde na wyspie Uznam do Wilczego Szańca, kwatery Adolfa Hitlera w Prusach Wschodnich. Führer ogląda czarno-biały film z napisami, na którym widać, jak kilkunastometrowe wrzeciono odrywa się od ziemi i ciągnąc za sobą warkocz dymu, pnie się w górę. *Wir haben es doch geschafft*, Jednak daliśmy radę – głosi napis. Hitler jest wniebowzięty.

Stalowe cygaro to Agregat 4, pierwsza w historii rakiet balistyczna, dzieło von Brauna. Może przenieść 700 kg materiałów wybuchowych na odległość 320 km i uderza w cel z pięciokrotną prędkością dźwięku. Przed atakiem nie da się ostrzec. Nawet gdyby start obserwował brytyjski szpieg i natychmiast nadał przez radio meldunek, to w Londynie nie byłoby czasu na reakcję. Rakietę docierała do celu w pięć minut. Od wiosny 1942 r. agregaty przechodziły próby w Peenemünde. Część eksplodowała na wyrzutni lub zaraz po starcie, ale z biegiem czasu coraz więcej odpaleń kończyło się sukcesem. Po wyczerpaniu się paliwa rakiet spadała do Bałtyku.

- Po raz pierwszy w życiu muszę przyznać, że się myliłem. Nie doceniłem potencjału, który tkwi w waszych badaniach – mówi Hitler do von Brauna. Wcześniej uważał budowanie rakiet za niepotrzebne kopiowanie pocisków artyleryjskich. Teraz wynalazek konstruktora spada mu jak z nieba i z miejsca mianuje von Brauna profesorem.

Na stateczniku Agregata, który 3 października 1942 r. jako pierwszy zgodnie z planem wzniósł się w przestworza, widniała naga kobieta siedząca na Księżycu. To symbol niemego filmu z lat 20. pt. „Frau am Mond” – o wyprawie na Srebrny Glob – który inspirował ekipę von Brauna.

Gdy zespół świętował udany start, jeden z jego członków mówił, że to pierwszy krok w podboju kosmosu. Bo Agregat to pierwsze dzieło ludzkich rąk, które przekroczyło granicę między atmosferą a przestrzenią kosmiczną.

Von Braun projektuje nawet wersję Aggregata ze skrzydłami, którą mógłby sterować pilot.

Ale nazistów kosmos nie interesuje; rakiety mają być bronią, za pomocą której Hitler chce rzucić Anglię na kolana. Gdy latem 1944 r. spadają na Londyn, Joseph Goebbels przedstawia je jako wunderwaffe, cudowną broń, która odmieni bieg wojny. Agregaty zostają przechrzczone na V-2, to skrót od „Vergeltungswaffe” (broń odwetowa). Mają nieść odwet za porażki Niemiec i bombardowania miast przez RAF i US Airforce. V-2 to kolejna cudowna broń w niemieckim arsenale, po V-1, napędzanej silnikiem raketowym latającej bombie, którą również testowano w Peenemünde. Do użycia weszła mniej więcej w tym samym czasie co rakiety von Brauna. V-1 odpalano ze specjalnych ramp albo spod skrzydeł bombowców. V-2 startowały pionowo.

Od 1940 r. zespół von Brauna projektuje jeszcze większe, dwustopniowe agregaty, które mają niszczyć miasta w USA. Konstruktor nie jest jednak zadowolony – narzeka, że wolałby wysyłać rakiety w kosmos. W końcu Heinrich Himmler, wszechwładny szef SS, każe go aresztować jako defetystę. W areszcie w Szczecinie spędza trzy tygodnie, a gilotyny unika dzięki interwencji ministra uzbrojenia Alberta Speera, który zdołał przekonać Hitlera, że von Braun jest niezastąpiony.

Tajny doktorat

Gdyby nie książka pt. „Rakieta w przestrzeni planetarnej”, von Braun zostałby pewnie muzykiem. Syn barona Magnusa von Brauna seniora, arystokraty z Wielkopolski, który w Republice Weimarskiej był ministrem ds. wyżywienia, jako dziecko doskonale opanował grę na wiolonczeli. Ale książka prekursora eksploracji kosmosu Hermanna Obertha tak rozbudziła wyobraźnię chłopca, że po lekturze nie widział już świata poza raketami.

Gdy był dzieckiem, fascynowały go fajerwerki. Raz w berlińskim parku Tiergarten przypiął garść sztucznych ogni do samochodu zabawki i odpalił. Pojazd wpadł w tłum, a jazdę zakończył pod nogami policjanta. Ojciec musiał odebrać chłopca z komisariatu.

Na potwierdzenie Wernher zamiast zwyczajowego zegarka dostał od matki teleskop, przez który nocami oglądał kraterę na Księżycu. Ale choć zaczytywał

się w futurystycznych powieściach Juliusza Verne'a, książki Obertha w dużej mierze nie rozumiał. Pełno w niej było skomplikowanych wyliczeń, a chłopak do matematyki się nie przykładał, w ogóle był kiepskim uczniem. Książka miała jednak na niego taki wpływ, że nadrobił matematyczne zaległości, a maturę zdał w 1930 r., rok przed terminem. Na świadectwie dojrzałości pod oceną dobrą nauczyciel dopisał, że von Braun zamierza zostać inżynierem.

Jako student berlińskiej politechniki dołączył do swojego idola – Oberth był jednym z założycieli Towarzystwa Lotów Kosmicznych, które zrzeszało ponad tysiąc zapaleńców. Na przełomie lat 20. i 30. członkowie stowarzyszenia, którzy na terenie dzisiejszego lotniska Tegel założyli poligon, budowali coraz lepsze rakiety. Pierwsze, zanim z hukiem eksplodowały, dolatywały na kilkaset metrów. Kolejne osiągały już pułap 4 tys. m, co było sporym sukcesem. Mimo to świat nauki patrzył na naukowców jak na szaleńców. Książka Obertha była jego doktoratem, który uniwersytet w Heidelbergu uznał za zbyt utopijny i odrzucił. Wtedy Oberth wydał pracę własnym sumptem. Von Braun został jego asystentem.

W 1932 r. na horyzoncie pojawiła się szansa dla stowarzyszenia. Reichswehra, która na mocy traktatu wersalskiego nie mogła mieć ciężkiej artylerii, szukała zamiennika dla zakazanych dział. Wojskowi zaoferowali entuzjastom pracę przy programie raketowym, ale członkowie towarzystwa odmówili. Na przejście pod kuratelę armii zgodził się jedynie von Braun, który dopiero co odebrał inżynierski dyplom.

Stowarzyszenie zostało rozwiązane w 1934 r., bo nie mogło zapłacić gigantycznych rachunków za wodę.

Von Braun zaczął pracę w ośrodku raketowym w Kummersdorf pod Berlinem. Na berlińskim Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma (dzisiejszy Uniwersytet Humboldtów) obronił ściśle tajny doktorat poświęcony „konstrukcji i problemom rakiet napędzanych paliwem płynnym”. Projektował, budował i odpalał. W 1937 r. wojskowi konstruktorzy rakiet przenieśli się na północny skraj bałtyckiej wyspy Uznam, do miasteczka Peenemünde. Von Braun został dyrektorem technicznym ośrodka, w którym później powstaną złowrogie rakiety V-2. Miał 25 lat.

W międzyczasie w Niemczech do władzy doszli naziści – von Braun twierdził potem, że był tak pochłonięty pracą, iż tego faktu niemal nie zauważył. Ale w 1938 r. zapisał się do NSDAP, a w 1940 r. został oficerem SS.

Chcemy się z bratem poddać

- Nazywam się Magnus von Braun. Jestem bratem twórcy V-2. Chcemy się poddać! - wykrzykuje łamaną angielszczyzną chłopak, który na rowerze podjeżdża do żołnierzy amerykańskiego 324. pułku piechoty zajmujących alpejskie miasteczka na granicy Bawarii i Austrii.

Jest 1 maja 1945 r., górskie drogi, które przemierzają żołnierze USA, pełne są cywilów. Szeregowcy nie wiedzą, o co chodzi Niemcowi, ale oficerowie tak; oni nazwisko von Braun znają - jest na szczycie listy naukowców, których należy aresztować i przekazać wywiadowi.

W ciągu ostatniego półrocza wojny Niemcy z ruchomych platform ułożonych w Holandii odpalili 3 tys. rakiet - większość spadła na Londyn i wyzwoloną w 1944 r. Antwerpię. Wskutek eksplozji zginęło ponad 7 tys. ludzi. 25 listopada 1944 r. rakietka V-2 zabiła naraz 160 osób, gdy spadła na londyński sklep pełen klientów. V-1, choć brytyjskiej obronie przeciwlotniczej często udawało się je zestrzelić, były bardziej śmiertelne. Z wystrzelonych 9 tys. pocisków 2,5 tys. dotarło do celu. W Londynie, Antwerpii i Liège eksplodujące pociski zabiły ok. 20 tys. ludzi.

V-2 zestrzelić się nie dało. O tym, że z nieba nadlatuje śmierć, nie uprzedzał huk ani gwizd - rakietka leciała szybciej niż dźwięk. Dlatego dzieło von Brauna siało taką panikę. Brytyjczycy szybko nauczyli się jednak z raketami walczyć - po prostu oficjalnie podawali zupełnie inne miejsca wybuchów niż te, w których faktycznie spadały pociski. Ludzie von Brauna dali się nabrać - by poprawić celność, skorygowali trajektorię rakiet. Wówczas większość z nich spadała na tereny niezabudowane.

Rakiety nie były w stanie odwrócić losów wojny. Nie nadawały się do atakowania konwojów wojskowych, lotnisk czy okrętów. Niemcy przekonali się o tym w 1945 r., bezskutecznie ostrzeliwując amerykański przyczółek na prawym brzegu Renu w Remagen. Raketami można było terroryzować miasta, ale nie powodowały wielkich zniszczeń. Głowica eksplodowała, dopiero gdy wbiła się w podłoże, co znacznie zmniejszało skutki wybuchu. Poza tym V-2 przenosiła o połowę mniej materiału wybuchowego niż aliancki bombowiec.

Program V-2 był wyrafinowaną technologiczną pułapką, w którą dał się wpuścić Hitler. Jedna rakietka kosztowała tyle ile myśliwiec, a bombardowana Rzesza bardziej potrzebowała lotnictwa do obrony niż rakiet do ataku. Produkcja alkoholu etylowego, którym obok ciekłego tlenu napędzano rakiety, pochłaniała ogromne ilości ziemniaków (na jeden start potrzeba było 30 ton!),

co potęgowało problemy z wyżywieniem. No i koszt całego programu ponaddwukrotnie przewyższył koszt programu „Manhattan”, który dał USA bombę atomową. Amerykanów po zwycięstwie te wyliczenia nie interesowały. Chcieli, by von Braun budował im rakiety, których można by użyć przeciw Japonii.

Następnego dnia, 2 maja 1945 r., prowadzony przez Magnusa von Brauna konwój dociera do miejscowości pod Garmisch-Partenkirchen, gdzie czeka ponad setka naukowców zespołu z Peenemünde. Wernher von Braun witał przybyłych z uśmiechem na ustach – poddanie się Amerykanom planował od miesiący.



Kompromitująca von Brauna fotografia z kwietnia 1943 r. zrobiona podczas wizyty Heinricha Himmlera (na pierwszym planie) w Peenemünde. Konstruktor, którego twarz w połowie zasłania szef SS, jest tu w esesmańskim

mundurze. Po wojnie zapewniał, że musiał wstąpić do SS, a mundur założył ten jeden raz.

Ale jeszcze w styczniu 1945 r. do śmiechu mu nie było. Lokalni dowódcy Wehrmachtu oświadczyli mu, że gdy na wyspie wylądują Sowieci, jego inżynierowie dostaną karabiny, by jej bronić. Dowództwo wojsk lądowych wydawało zaś sprzeczne rozkazy. Raz pod karą śmierci nakazywało pozostanie na miejscu i kontynuowanie badań nad raketami, raz kazało przygotować ewakuację. Von Braun postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Sfałszował dokumenty i powołał do życia „Plan specjalnego przeznaczenia”, czyli „Vorhaben zur besonderen Verwendung”, w skrócie VABV. Wkrótce litery te pojawiły się na dziesiątkach ciężarówek i załadowanych na nich skrzyniach, a także na opaskach noszonych na rękawach przez jego ludzi. Podpierając się sfałszowanymi dokumentami i nieistniejącym projektem, von Braun rozpoczął ewakuację swojej placówki. Ciężarówkami i pociągami 500 inżynierów z rodzinami opuściło Peenemünde. Pojechała z nim eskorta SS. Gdy w kwietniu konwój z najważniejszymi ludźmi dotarł w Alpy, naukowców zamknięto w pilnowanym przez SS obozie. Von Braun, bojąc się, że generalicja SS każe ich zamordować, by nie wpadli w ręce Amerykanów, przekonał strażę, że w ten sposób wystawiają najważniejszych uczonych Rzeszy na strzał. Wystarczy przecież jedna bomba.. Naukowców, którym już wcześniej pozwolono założyć cywilne ubrania, przeniesiono do pobliskiego hotelu. Pozostało im czekać na Amerykanów. Aby zabić czas, grali w karty.

Wszystko szło zgodnie z planem. Nieprzewidziany był tylko wypadek samochodowy w środkowych Niemczech. W marcu jego kierowca zasnął za kierownicą i zjechał z drogi. Konstruktor przyplącił to złamanym ramieniem i barkiem. To dlatego na pamiątkowym zdjęciu zrobionym tuż po „wyzwoleniu” lewe ramię ma w gipsie.

W czerwcu 1945 r. pojechał z Amerykanami w góry Harz, gdzie ukrył plany rakiet. 16 kwietnia 1946 r. odpalił pierwszą przywiezioną z Niemiec V-2 na poligonie w White Sands w Nowym Meksyku. Osiągnęła ledwie pułap 5,5 km, zawiodło radio i sterowanie. Ale Trzy tygodnie później rakietą poleciała w górę bez przeszkód.

Co począć z von Braunem?

Amerykańscy wojskowi nie chcą słyszeć o locie na Księżyc, choć von Braun nieustannie o tym mówi. Jego zespół mieszka w barakach w Fort Bliss pod El Paso w Teksasie i poza odpalaniem w niebo pocisków nie ma co robić. Wielkie rakiety na Japonię nie są już potrzebne. Cesarstwo skapitulowało, gdy Amerykanie pokazali mu moc swojego wynalazku – bomby atomowej, którą w sierpniu 1945 r. zrzucono na Hiroszimę i Nagasaki. Okazuje się, że do trzymania świata w szachu wystarczy flota bombowców B-29 przenoszących atomówki.

W tym czasie Niemcom nie wolno było bez eskorty opuszczać położonego na pustyni kompleksu. Mieszkali w barakach, nie mogli się doprosić linoleum, które zakryłoby popękana drewnianą podłogę. Trudno było im też pogodzić się z tym, jak traktowali ich Amerykanie. 26-letni major, który nadzorował ich pracę, do von Brauna, do którego oni zwracali się per „panie profesorze”, mówił po imieniu. Morale spadało, tym bardziej że nie wolno im było ściągnąć do obozu rodzin.

Karta odwróciła się, gdy w 1950 r. wybuchła wojna koreańska. Von Braun i jego zespół przenieśli się do Huntsville w Alabamie, gdzie na terenie Redstone Arsenal, dawnych zakładów produkujących broń chemiczną, działało centrum badań raketowych armii USA. Niemiec został jednym z jego dyrektorów. Za zadanie miał skonstruowanie rakiety przenoszącej głowice jądrowe. Powstała rakietka PGM-11 Redstone, o ponad 5 m wyższe rozwinięcie V-2.

W 1958 r. Redstone odpalona z Johnston na Pacyfiku wyniosła uzbrojoną głowicę jądrową na wysokość 80 km. Wybuch o mocy 3,8 megatony widać było z odległości setek mil. Eksplozja sparaliżowała komunikację radiową na Pacyfiku na dziewięć godzin. Dzieło von Brauna znowu zdało test. W tym samym roku rakiety Redstone z głowicami jądrowymi zostały rozmieszczone w Niemczech Zachodnich.

Ale von Braun nadal myślał o kosmosie. Proponował, by wykorzystać raketę do wyniesienia na orbitę kapsuły z astronautą lub chociaż sztucznego satelity. Zdaniem Amerykanów na takie fantazje szkoda było czasu i pieniędzy. Niemiec zdecydował się więc na krok, który w III Rzeszy byłby niemożliwy – zabrał się do pisania artykułów i powieści science fiction (z naciskiem na science), w których przedstawiał swoje wizje lotów na Księżyc i Marsa.

Za kontakty z mediami bez zgody przełożonych można było w USA trafić na bruk, ale efekty przechodzą jego oczekiwania. W Ameryce wybucha kosmiczna gorączka, powstają na ten temat nie tylko książki, ale też hollywoodzkie filmy. W 1950 r. na ekrany kin wchodzi „Destination Moon” o dramatycznej wyprawie na Księżyc, a zaraz po tym „Rocketship X-M”

o równie emocjonującym locie na Marsa. Przedstawione w filmie rakiety przypominają V-2 i Redstone. Von Braun zostaje też konsultantem wytwórni Disneya. Bierze udział w filmach edukacyjnych, w których opowiada o lotach międzyplanetarnych.

Gdyby nie Gagarin...

Po drugiej stronie żelaznej kurtyny radziecki konstruktor Siergiej Korolow także badał V-2 i rozwijał pomysły von Brauna. Pomagali mu naukowcy pracujący kiedyś w Peenemünde, którym nie udało się uciec przed NKWD. Zesłano ich do obozów w głębi ZSRR. Korolow nie musiał prosić o pieniądze – w przeciwieństwie do Amerykanów Moskwa dała sprawom kosmosu absolutny priorytet.

Gdy 4 października 1957 r. ZSRR wysłała na orbitę okołoziemską Sputnika, pierwszego sztucznego satelitę, Amerykanie są w szoku. Projekty rakiet von Brauna zostają wyciągnięte z szuflady, a 84 dni później z przyłądka Canaveral startuje rakietą z amerykańskim satelitą Explorer na pokładzie.

Aby dogonić ZSRR, Amerykanie postanowili skupić badania kosmosu w jednych rękach (wcześniej programy kosmiczne prowadziły armia i marynarka wojenna). W 1958 r. powstała agencja kosmiczna NASA, która przejmuje kontrolę nad ośrodkiem w Huntsville – od tej pory nosi on nazwę Centrum Lotów Kosmicznych im. gen. Marshalla. Na jego czele stanął Wernher von Braun.

12 kwietnia 1961 r. świat obiegła wiadomość, że przez godzinę na orbicie okołoziemskiej znajdował się radziecki statek kosmiczny Wostok 1 z Jurijem Gagarinem na pokładzie. Rosjanin osiągnął wysokość ponad 300 km. Trzy tygodnie później w kosmosie znalazł się pierwszy Amerykanin – Alan Shepard. Ale rakietą Redstone nie była w stanie wynieść go aż na orbitę. Shepard na pokładzie kapsuły Mercury leciał jak pocisk po krzywej balistycznej, wzniósł się na wysokość 187 km i spadał i po 15 minutach wodował w Atlantyku. Pierwszy amerykański lot orbitalny odbył się dopiero rok później. W kapsule siedział wówczas John Glenn, na orbitę wyniosła go rakietą Atlas. Prezydentem był wtedy John Kennedy. Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej ostro krytykował republikańską administrację Dwighta Eisenhowera za opóźnienia w programie kosmicznym. Jego zapowiedź lotu

na Księżyc zelektryzowała naród. Amerykanie do tej pory sceny lądowania na Księżycu widzieli tylko w kinach. Ze słów Kennedy'ego wynikało, że prawdziwy księżycowy krajobraz zobaczą na żywo w telewizji. Prezydent miał jeden zasadniczy cel. Zamierzał wreszcie wyprzedzić ZSRR w kosmicznym wyścigu. Gdyby w grunt na Srebrnym Globie wbito flagę z sierpem i młotem, dla USA oznaczałoby to nie tylko wizerunkową katastrofę.

Zbrodnie w Mittelbau-Dora

O związkach von Brauna z nazizmem amerykańska prasa pisała już w latach 50., wcześniej na wieść o ściągnięciu go do USA oburzył się Albert Einstein. Ale w dobie zimnej wojny Waszyngtonu nie interesowała przeszłość konstruktora, zresztą nie był on jedynym nazistą, który znalazł schronienie w USA – Amerykanie, poszukując specjalistów od nowych technologii, zatrudniali ludzi, którzy mieli na sumieniu życie tysięcy robotników przymusowych. Byli też ludzie tacy jak np. Hubertus Strughold. Od lat 30. prowadził pod patronatem Luftwaffe pionierskie badania z zakresu zachowania organizmu ludzkiego na dużych wysokościach i w warunkach wysokich przeciążeń. W latach 40. jego podwładni prowadzili barbarzyńskie eksperymenty na więźniach KL Dachau. Obniżali ciśnienie w komorach barycznych, symulując warunki panujące na dużych wysokościach. Więźniowie umierali. Strughold po wojnie wymigał się od wszelkiej odpowiedzialności za zbrodnie. W USA nazywano go ojcem kosmicznej medycyny.

– Ściągnięcie von Brauna to hańba Ameryki – mówił Eli Rosenbaum, w latach 90. szef komórki Departamentu Sprawiedliwości ścigającej nazistowskich zbrodniarzy. Do ich grona zaliczał genialnego konstruktora, choć zaraz po wojnie von Brauna i jego zespół Waszyngton uznał za nieskażonych nazizmem.

Rosenbaum przypominał, że na sumieniu Niemca są nie tylko ofiary V-2, lecz także śmierć 20 tys. więźniów obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora. To tam, w sztolniach w górach Harz, działała fabryka, do której pod koniec w 1943 r. przeniesiono produkcję rakiet ze zbombardowanego Peenemünde. W podziemnym obozie panowały ekstremalne warunki – więźniowie myli się własnym moczem i spali na gazetach. Choroby płuc wywołane pyłem

i niedożywieniem zbierały krwawe żniwo. Kilkaset osób powieszono za próby sabotowania produkcji. – Weszłście tu przez bramę, ale wyjdziecie stąd przez komin – w ten sposób witano nowo przybyłych więźniów.

Von Braun zapewniał, że nie miał z obozem nic wspólnego, ale z odnalezionych dokumentów wynika, że osobiście wybierał więźniów do Mittelbau, a warunki ich życia mało go obchodziły. Gdy pojawiał się w podziemnej fabryce, robotnicy mieli się obracać do ściany. Za samo patrzenie na von Brauna groziła chłosta albo strycek. Z opowieści więźniów wynika, że von Braun sprawdzał jakość pracy. – To oczywisty sabotaż – miał kiedyś stwierdzić, oglądając elementy V-2. To wystarczyło, by 11 osobom założono na głowy pętle. Dodatkowo, by przed śmiercią nie podburzali innych, zakneblowano im usta. Inni więźniowie twierdzili, że von Braun kazał sabotażystów chłostać.

Niemiec zarzutom zaprzeczał. Tłumacząc się z pracy dla III Rzeszy, przyrównywał się do Michała Anioła, który podczas wojny przerywał prace w Kaplicy Sykstyńskiej, by budować fortyfikacje. Przekonywał, że gdyby protestował przeciwko fatalnemu traktowaniu robotników przez SS czy próbował na własną rękę polepszyć ich los, skończyłby w obozie koncentracyjnym. Raz zresztą podszedł do strażników, by zrobić im awanturę za znęcanie się nad więźniami. Kazali mu się zająć swoimi sprawami. – Bo inaczej też założysz pasiak – usłyszał na odchodnym.

Kompromitowała go jednak fotografia wykonana w kwietniu 1943 r. podczas wizyty Heinricha Himmlera w Peenemünde, na której konstruktor wita gościa w mundurze oficera SS. Po wojnie tłumaczył, że musiał wstąpić do SS, bo inaczej byłby odsunięty od badań, a mundur założył tylko jeden raz.

Jeśli tak, to dlaczego co roku awansował, a wojnę zakończył jako SS-Sturmbannführer, czyli major? Dlaczego świadkowie mówią, że wielokrotnie widywali go w esesmańskim mundurze?

Księżyc wzięty, Sowieci z tyłu

Dziecięce marzenie von Brauna spełnia się 16 lipca 1969 r.

O 13.30 Saturn V wiozący ładownik księżycowy oraz kapsułę Apollo, w której siedzą Neil Armstrong, Buzz Aldrin i Michael Collins, zaczyna się majestatycznie wznosić nad przylądkiem Canaveral. Von Braun obserwuje start

załogi Apollo 11 przez lornetkę w centrum kontroli lotów. Wcześniej konstruktor w żmudnym procesie sprawdzał po kolei każdy element rakiety. Saturna V od razu testowano w całości, bez załogi pomyślnie wystrzelono go w kosmos w listopadzie 1967 r. Kapsuła zgodnie z planem wodowała w Pacyfiku. Misja otrzymała oznaczenie Apollo 4. Kolejny bezzałogowy start miał miejsce w kwietniu następnego roku. Tym razem nie obyło się bez problemów. Elementy silników raketowych zaczęły niespodziewanie oscylować. W efekcie statek Apollo 6 nie osiągnął takiej orbity, jak planowano. Ale misję i tak uznano za sukces. Kolejny Saturn wyniósł w kosmos Apollo 8. Astronauci na pokładzie byli pierwszymi ludźmi, którzy oblecieli Księżyc. Gdy znaleźli się nad Srebrnym Globem, odczytali fragment z Księgi Rodzaju. W ciągu 20 godzin okrążyli satelitę Ziemi dziesięć razy.

- Trzeba popełnić 65 tys. błędów, zanim zbuduje się raketę - mawiał wcześniej konstruktor. W Peenemünde więcej startów V-2 kończyło się klęską niż sukcesem. Na początku lat 60. bezzałogowy test Redstone z kapsułą dla astronautów zakończył się fatalnie - rakieta wybuchła, wykręcisz w powietrzu piruet.

Na szczęście podczas lotu Apollo 11 Saturn V działa bez błędów. Cztery dni później Neil Armstrong melduje z Księżyca: „Orzeł wylądował”. Plan Kennedy’ego został zrealizowany, choć sam prezydent, który w 1963 r. zginął w zamachu, tego nie doczekał.

Dopiero w latach 90. okazuje się, że ZSRR do końca walczył o pierwszeństwo w zdobyciu Księżyca. Sowietów miała tam zawieźć porównywalna do Saturna rakietą N-1. Dwa tygodnie przed wylotem Apollo 11 ZSRR przygotował starty dwóch rakiety. Pierwsza miała wynieść na orbitę Księżyca bezzałogowy moduł. Drugą na Srebrny Glob mieli polecieć kosmonauci. Ale Sowietom zabrakło talentu na miarę von Brauna i jego szczęścia. Misja zakończyła się katastrofą - wybuch pierwszej N-1 na wyrzutni zniszczył też drugą raketę.

Mars musi czekać

Po księżycowym sukcesie von Brauna, teraz jako wicedyrektor NASA ds. planowania, snuje plany dalszej eksploracji kosmosu. Marzą mu się wielka stacja kosmiczna, baza wojskowa na Księżycu i lądowanie na Marsie, które

jego zdaniem miało być wykonalne na początku lat 80.

W trwającą 500 dni podróż na Czerwoną Planetę astronauta mieli się udać ważącym 360 ton statkiem kosmicznym napędzanym 40-megawatowym reaktorem jądrowym. Według projektu von Brauna jego budowa na orbicie okołoziemskiej ma wymagać 950 lotów raket transportowych. – Zobaczysz pan, to wszystko stanie się rzeczywistością – mówi na początku lat 70. dziennikarzowi „Spiegla”:

Ale kosmiczna euforia w USA gaśnie. Kongres uznaje, że lądując na Księżycu, Amerykanie osiągnęli cel, jakim było pokonanie ZSRR. Obcina budżet i NASA musi przed czasem zamknąć program – z planowanych dziewięciu misji na Księżyc wysłano sześć. Załoga Apollo 13 nawet nie próbowała lądować na Srebrnym Globie. W drodze doszło do eksplozji zbiornika z tlenem, ale na szczęście statek udało się bezpiecznie sprowadzić na Ziemię. W sumie na Księżycu stanęło 12 osób.

W 1972 r. sfrustrowany von Braun odchodzi z NASA. Nie wraca do Niemiec. Zostaje wiceszefem Fairchilda, nieistniejącego dziś koncernu lotniczego. Zasiada też w radzie nadzorczej Daimlera Benza. W 1977 r. umiera na raka.

NASA do planów kolonizacji Księżyca i misji na Marsa wróciła kilka lat temu. Niemiecka prasa zauważyła, że projekt statku, który ma zawieźć astronautów na Czerwoną Planetę, łudząco przypomina wizję twórcy V-2.



Po uwolnieniu Mussoliniego Skorzeny stał się gwiazdą. Na zdjęciu w berlińskim Pałacu Sportu, 3 października 1943 r.

Otto Skorzeny

„W imieniu Państwa Izraela gwarantuję, że wobec Ottona Skorzeny’ego nie będą prowadzone żadne postępowania karne ani stosowana przemoc” – napisał na kartce papieru agent Mosadu. Wówczas były esesman, bohater III Rzeszy i człowiek, który do śmierci pozostał nazistą, zgodził się pomagać Żydom

Siedzący za biurkiem mężczyzna nieufnie mierzył gości wzrokiem. Choć był już po pięćdziesiątce, zachował figurę atlety. Jego lewy policzek szpeciła blizna, która zaczynała się na podbródku, przecinała kącik ust i kończyła się tuż pod uchem. Kilkadziesiąt lat wcześniej dorobił się rany podczas rytualnego pojedynku na szable poprzedzającego przyjęcie do korporacji studenckiej.

– Jakie mam gwarancje? – dopytywał dwóch mężczyzn, którzy chwilę wcześniej weszli do jego biura w Madrycie, twierdząc, że mają wiadomość od żony.

Goście – Rafi Eitan i Avraham Ahituv – liczyli się z tym, że gdy gospodarz dowie się, o co chodzi, sięgnie po broń. Tymczasem przedstawiciel wielkiego austriackiego koncernu hutniczego Vöest na Hiszpanię posługujący się fałszywym nazwiskiem Robert Steinbauer, wysłuchawszy ich, zbladł, a potem zaczął pytać o gwarancje. Czyli chce się targować.

Namierzył go Szymon Wiesenthal, austriacki Żyd, który ocalał z Zagłady, a po wojnie latami niestrudzenie tropił ukrywających się nazistów. Inny Żyd, który w Hiszpanii robił interesy w branży stalowej, dał im madrycki adres Steinbauera. Do spotkania doszło w sierpniu 1963 r. Eitan oraz Ahituv początkowo przedstawiali się jako oficerowie NATO. Dopiero później wyjawili rozmówcy, że są agentami wywiadu izraelskiego.

Eitan najchętniej skułby ręce mężczyzny z blizną. Trzy lata wcześniej tak

właśnie postąpił z Adolfem Eichmannem, który podczas wojny wysłał do komór gazowych miliony Żydów. Razem ze swoim oddziałem porwali SS-Obersturmbannführera w Buenos Aires, gdzie Eichmann się ukrywał, i przetrzucili do Jerozolimy. Izraelski sąd skazał go na śmierć, a wyrok wykonano.

Taki los człowiekowi z bliźną jednak nie groził, bo Izrael potrzebował pomocy Ottona Skorzeny'ego, dawnego oficera SS i ulubionego komandosa Adolfa Hitlera.

Bohater z Jugosławii

- Czy storch tu wylądował? - Skorzeny ubrany w mundur spadochroniarza rozglądał się po okolicy, wypatrując jednosilnikowego górnopłatu. Był 12 września 1943 r. Pod hotelem Campo Imperatore zbudowanym w masywie górskim Gran Sasso w Apeninach, jakieś 2 tys. m nad poziomem morza, rozgrywała się operacja „Dąb”. Kariera 35-letniego oficera SS wkraczała w decydującą fazę.

Robił ją w dużej mierze dzięki przyjaźni z SS-Obergruppenführerem Ernstem Kaltenbrunnerem, wówczas jednym z najpotężniejszych ludzi w III Rzeszy. Zнали się z rodzinnego Wiednia, należeli tam obaj do nielegalnej w ówczesnej Austrii partii nazistowskiej. Skorzeny wpadł w oko starszemu o kilka lat koledze 12 marca 1938 r. Tego dnia do Austrii wkraczał Wehrmacht. Dokonywał się Anschluss.

Skorzeny miał chronić prezydenta Wilhelma Miklasa. Hitler chciał go żywego, ale na życie polityka dybali członkowie bojówek SA. Jego śmierć miała być odwetem za represje na nazistach po zorganizowanym przez nich w 1934 r. puczu, podczas którego zabili kanclerza Engelberta Dollfussa. Do więzienia wtrącono wtedy 4 tys. członków austriackiej NSDAP. 13 nazistów powieszono.

Pałkarze z SA tak nienawidzili austriackiej władzy, że zignorowali rozkazy z Berlina, by nie ruszać prezydenta. Gdy Skorzeny dojechał pod pałac prezydencki, okazało się, że SA już go otoczyła. A prezydencka gwardia nie zamierzała złożyć broni przed bojówkarcami. Przybysz rozpoczął mediacje między dwoma oddziałami i osobiście wywiózł Miklasa z jego pałacu. - Wcale nie czułem się przy nim bezpieczny - wspominał po latach były

austriacki prezydent.

Ponownie spotkali się w czwartym roku wojny. Kaltenbrunner był szefem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), centralnej instytucji terroru, a Skorzeny dochodził do siebie po ciężkim zapaleniu pęcherza, którego nabawił się na froncie wschodnim. Wcześniej jako SS-Untersturmführer, czyli podporucznik, walczył w szeregach Waffen-SS we Francji i na Bałkanach. Służbę w wojsku wyobrażał sobie jednak nieco inaczej. We wrześniu 1939 r., gdy Niemcy napadły na Polskę, zgłosił się na ochotnika, choć jego druga żona była wówczas w ciąży. Jako inżyniera z dyplomem politechniki w Wiedniu i Grazu ciągnęło go do Luftwaffe. Na pilota był jednak za stary – w chwili wybuchu wojny miał 31 lat – a do tego za wysoki. Z 1,92 m wzrostu ledwo mieścił się w kabinach samolotów. Został więc radiowcem. Swojego przydziału szczerze nienawidził i gdy dwa miesiące później dostał propozycję przejścia do jednostek organizowanych pod patronatem SS, skorzystał z niej od razu.

Chciał walczyć na pierwszej linii, ale dowódcy SS wysłali go na tyły. Wraz z oddziałem mechaników miał się zajmować samochodami: wymieniać olej, tankować, jeśli trzeba – naprawiać. Skorzeny znał się na tym. Przed wojną pasjonował się wyścigami samochodowymi. Wiosną 1940 r. liczył na to, że powalczy we Francji, ale wojna toczyła się tam tak szybko, że nawet nie zobaczył wroga. W okupowanej Holandii sfrustrowany brakiem wojennych sukcesów wszczął burdę w knajpie i trafił na czarną listę. Przełożonym podpadał później wielokrotnie. Szef SS Heinrich Himmler domagał się od swoich żołnierzy, by prowadzili porządną tryb życia, a Skorzeny palił jak smok i sporo pił. Ostentacyjnie nie dbał o wygląd. Zdarzało mu się ignorować rozkazy. Było jasne, że w mundurze kariery nie zrobi.

Zrehabilitował się wiosną 1941 r., gdy 9 kwietnia, w trzecim dniu inwazji na Jugosławię, jego oddział wziął do niewoli ponad 50 wrogich żołnierzy i trzech oficerów. Oddział Skorzeny'ego zbliżał się do serbskiej wioski, gdy natknął się na grupę wycofujących się Jugosłowian. Skorzeny krzyknął: „Stoj!”, żołnierze wroga podnieśli ręce do góry. Gdy zaprowadził jeńców do swojej jednostki, z miejsca został awansowany do stopnia SS-Obersturmführera, czyli porucznika.

Później walczył jeszcze w Rosji i na Ukrainie. Wydawało się, że zimą 1941 r. wejdzie do akcji, bo jego oddział wyznaczono do przejęcia gmachów państwowych w Moskwie, w tym więzienia NKWD na Łubiance. Misję jednak odwołano, bo Sowieci powstrzymali Niemców na przedpolach swej stolicy. Skorzeny zajmował się więc konserwacją artylerii. I miał pecha. W 1942 r. został ranny odłamkiem w głowę. A potem nabawił się tego

paskudnego zapalenia pęcherza. Został odesłany na tyły. Gdy dochodził do siebie, dostał przydział do RSHA. Pracował tam w wydziale IV zajmującym się szpiegostwem.

Komandos z powołania

Fascynowali go brytyjscy komandos, godzinami potrafił wertować zeznania jeńców i zdobyte dokumenty, próbując zrekonstruować szkolenie, jakie przechodzili, i zrozumieć ich taktykę. Kaltenbrunner postanowił zrobić z tego użytek.

Przywódcom SS marzył się własny oddział komandosów. Wehrmacht miał jednostkę specjalną Brandenburg, a SS dopiero wiosną 1943 r. zebrało w koszarach we Friedenthalu pod Berlinem setkę rekrutów, z których Skorzeny miał stworzyć siły specjalne.

Zaprowadził brytyjskie porządki. Tak jak komandosi wroga żołnierze Skorzeny'ego musieli umieć skakać ze spadochronami, nurkować, prowadzić samochody i motocykle, walczyć wręcz i posługiwać się każdym rodzajem broni, w tym strzelać z moździerzy i armat. Uczyli się angielskiego i rosyjskiego. Skorzeny chciał, by byli nieustraszeni.

- Walcząc szablą, poznałem ból i nauczyłem się, by się nie bać. W trakcie pojedynków, tak jak na wojnie, trzeba się skoncentrować na wrogu. Trzeba wybrać cel i uderzać – pouczał podwładnych, pokazując im bliznę na policzku, której dorobił się podczas jednego z pojedynków. Dla wielu Niemców taka blizna była powodem do dumy.

Chrzest bojowy friedenthalczycy przeszli wczesnym latem 1943 r. w Persji. Pięciu zrzuconych w górach komandosów miało przekupić miejscowych watażków i nakłonić ich do wywołania powstania przeciw Wielkiej Brytanii. Górale wyciągnęli od Niemców pieniądze i wydali ich Brytyjczykom.

W RSHA nikt po nich specjalnie nie płakał, bo sam Hitler postawił właśnie komandosom SS nowe zadanie. Był 26 lipca 1943 r.

Mussolini w potrzebie

Dzień wcześniej włoski król Wiktor Emanuel III oświadczył Benito Mussoliniemu, że Włochy przegrały wojnę. W nocy z 9 na 10 lipca, dwa miesiące po rozbiciu w Tunezji sił niemieckich i włoskich, Brytyjczycy i Amerykanie wylądowali na Sycylii. Teraz opanowali Palermo. Alianckie samoloty zaczęły bombardować Rzym.

Zdruzgotany Duce nie protestował, gdy król oświadczył, że odbiera mu władzę, którą przejmuje marszałek Pietro Badoglio. Chwilę później rządzący od 1922 r. Mussolini został aresztowany – karabinierzy dla niepoznaki wywieźli go z rezydencji królewskiej w karetce pogotowia.

– Nie zostawię w potrzebie największego syna Włoch – oświadczył Hitler Skorzeny’emu i nakazał odbicie Duce. Nowym włoskim władzom, choć zapewniały, że dochowają sojuszu, już nie ufał. Zakładał słusznie, że Włosi zaczną negocjacje z aliantami.

Tylko gdzie znaleźć Mussoliniego? Aby rozwiązać tę zagadkę, Hitler zaangażował nawet astrologów. Był z tym problem, bo setki ludzi parających się wróżeniem z gwiazd, kart i innymi nadnaturalnymi praktykami siedziały w obozach koncentracyjnych. Zamknięto ich tam po ucieczce zastępcy Hitlera Rudolfa Hessa do Anglii w maju 1941 r. Hess chciał na własną rękę wynegocjować pokój, a Hitler uznał, że do tego szaleńczego kroku zainspirowali go właśnie astrologowie. Himmler polecił więc Gestapo wyłapać wszystkich wróżbitów. Latem 1943 r. kazał ich przewieźć do Wannsee pod Berlinem, gdzie mieli się zająć poszukiwaniem Duce.

Badoglio kazał karabinierom ukryć Mussoliniego na malutkich wyspach. Najpierw trzymano go na Ponzie 110 km od Neapolu, potem na La Maddalenie koło Sardynii. Jednak takie kryjówki nie były pewne – Niemcy mogli przecież wysłać na wyspy desant i odbić więźnia. Dlatego Duce trafił w końcu do położonego w Apeninach hotelu Campo Imperatore – atak na obiekt, do którego można było się dostać tylko kolejką linową, wydawał się mało prawdopodobny.

Zwolnieni z kacetów astrolodzy nie odgadli, gdzie więziony jest Mussolini. Najprawdopodobniej niemiecki wywiad dowiedział się tego od jednego z włoskich informatorów. Skorzeny po wojnie twierdził wprawdzie, że namierzył Duce dzięki podsłuchiowaniu włoskich transmisji radiowych, ale to raczej przechwałki. I nie był też – choć się tym szczycił – mózgiem operacji odbicia Duce.

Legendarna akcja „Dąb”

Ten zuchwały plan powstał w sztabie gen. Kurta Studenta, szefa wojsk spadochronowych będących częścią Luftwaffe. I to jego żołnierze odegrali w nim główną rolę. Skorzeny mógł wysłać tylko dwudziestu kilku ludzi, ponieważ reszta jego komandosów nie była jeszcze w pełni gotowa do walki.

12 września 1943 r. o godzinie 14 stację kolejki linowej u podnóża masywu Gran Sasso zaatakowało kilkuset spadochroniarzy. Budynek zajęli bez większych strat – zginęło tylko dwóch Włochów. W tym samym czasie przed hotelem lądowało dziesięć szybowców transportowych z desantem.

Piloci nie sadzali szybowców na ślepo – przed akcją Niemcy wysłali nad hotel bombowiec, który sfotografował okolicę. Skorzeny w swoim szybowcu wiezie gen. Fernando Soletiego, dowódcę karabinierów. Przed akcją Niemcy zaprosili go na rozmowy, a potem aresztowali i pod lufami karabinów zapakowali do szybowca.

Włoch ma przekonać pilnujących Duce strażników, by się poddali. Skorzeny z bronią w ręku musi wypychać go z szybowca. Ale gdy tylko spadochroniarze podbiegli pod hotel, 200 włoskich karabinierów, choć miało przewagę, rzuca broń. Wpadając do Campo Imperatore, Skorzeny strzałem rozwała radio. Następnie biegnie na piętro, by uwolnić Duce, jedynego gościa luksusowego hotelu.

Pogrążony w depresji Mussolini nigdy nie widział niemieckich spadochroniarzy, którzy nosili inne hełmy niż Wehrmacht. Pomyślał, że to brytyjscy komandosi, i próbował popełnić samobójstwo. Gdy Skorzeny oświadczył mu, że przebywa na rozkaz Hitlera, Duce wymamrotał: „Wiedziałem, że mój przyjaciel Adolf mnie nie zostawi!” W tym samym momencie przez wybite okno do pokoju wpadło dwóch spadochroniarzy, którzy zsuwali się z dachu po piorunochronie.

Skorzeny jeszcze przed akcją przeczuwał, że rajd na Grand Sasso to będzie jego pięć minut. Do szybowca na jego rozkaz wszedł korespondent wojenny Toni Schneider, który fotografował akcję. Skorzeny na kadrach zawsze stał blisko Duce. Żadny sławy esesman wiedział jednak, że same zdjęcia nie wystarczą.

Kwadrans przed trzecią po południu na łące pod hotelem z trudem wylądował storch, który krążył w pobliżu. Pilot kpt. Heinrich Gerlach miał zabrać tylko Mussoliniego, a tymczasem do samolotu wepchnął się Skorzeny. Pilot był przerażony. Wejście na pokład wielkiego jak dąb Niemca oznaczało, że mały samolot stał się o ponad 100 kg cięższy. Aby wystartować,

potrzebował dłuższego rozbiegu, a przy hotelu miejsca było niewiele. Skorzeny protesty pilota zignorował. Gerlach przestawił więc przepustnice na najwyższe obroty, a storch, podskakując, zaczął się toczyć po kamienistym podłożu. Pilot poderwał samolot, gdy wyrosła przed nim szczelina. O mały włos nie doszło do tragedii. Obserwującym start komandosom włosy zjeżyły się na głowie. Storch, którego silnik dosłownie ryczał, początkowo opadł w przepaść. Gerlach panował jednak nad sytuacją. Obniżył lot, by przeciążony samolot mógł się rozpędzić. Po chwili zaczął się wznosić.

Około 15.30 na kontrolowanym przez Niemców lotnisku w Pratica di Mare pod Rzymem Skorzeny przesiada się z Mussolinim do bombowego heinkla 111. Ten zabiera ich obu do Wiednia. Kilka dni później Hitler przyjmuje Mussoliniego w Wilczym Szańcu. Duce zostaje niemiecką marionetką – odtąd z łaski Führera będzie sprawował symboliczną władzę w północnych Włoszech.

- Dokonał pan historycznego czynu – chwali Skorzeny'ego Hitler. Awansuje go na sturmbannführera (majora) i odznacza Krzyżem Rycerskim. Mimo protestów oficerów Luftwaffe, twierdzących słusznie, że sukces w Gran Sasso to dzieło ich spadochroniarzy, prasa Goebbelsa robi ze Skorzeny'ego bohatera narodowego. Propaganda używa m.in. zdjęć wykonanych podczas akcji w górach. Sturmbannführer staje się odtąd członkiem nazistowskiej elity. Doskonale dogaduje się z Hitlerem, który potrafi wymówić jego nazwisko z prawidłowym wiedeńskim akcentem. O tym, że Skorzeny ma polskie korzenie, a jego ojciec wywodzi się ze Skorzęcina w Wielkopolsce, nie wie nikt.

Operacja „Pancerna pięść”

15 października 1944 r., Budapeszt. Skorzeny kuli się za samochodem stojącym przy budynku nad brzegiem Dunaju. Świszczą kule. Trwa operacja „Pancerna pięść”.

W 1941 r. rządzący Węgrami regent admirał Miklós Horthy zgodził się, choć niechętnie, na udział wojsk węgierskich w ataku na ZSRR, ale trzy lata później, widząc nadchodzącą katastrofę, chciał zawrzeć ze Stalinem zawieszenie broni. Latem 1944 r. uczyniła to Rumunia. Sowietci solennie obiecali Horthyemu, że pozostanie u władzy. Węgrzy korzystali z pośrednictwa

Josipa Broz-Tity, przywódcy komunistycznej partyzantki w Jugosławii, a w imieniu regenta rozmowy prowadził jego syn Miklós junior. Gdy wiadomości o tym dotarły do Hitlera, ten nakazał obalić Horthyego i zastąpić go Ferencem Szálasim, przywódcą faszystowskiej organizacji strzałokrzyżowców, czyli wzorowanej na NSDAP organizacji węgierskich nacjonalistów i antysemitów. Przygotowując zmianę władzy, Niemcy po cichu aresztowali węgierskich wojskowych i polityków, którzy mogliby stanąć przeciwko nim. Okazuje się jednak, że większość węgierskich oficerów chce dalej walczyć z Sowietami. Ale i tak najważniejsze zadanie ma wykonać Skorzeny.

Od kilku tygodni jest w Budapeszcie i rozpoznaje sytuację. Węgry są pod niemiecką kontrolą. W marcu 1944 r., gdy do granic zbliżała się Armia Czerwona, Hitler nakazał Wehrmachtowi zajęcie kraju. Niemcy nie zachowują się jednak jak okupanci. Udają sojuszników.

Razem ze Skorzenym do Budapesztu przybył oddział friedenthalczyków. Tak jak ich dowódca poruszają się po mieście w cywilnych ubraniach. Gdy w końcu udaje im się ustalić, gdzie syn Horthyego ma się spotkać z Jugosłowianami, komandos postanawia zaatakować. Ale Węgrzy są bardzo czujni – kiedy Niemcy kręcą się w okolicy, żołnierze z ochrony młodego Horthyego otwierają do nich ogień spod plandeki stojącej przy drodze ciężarówki. Wtedy Skorzeny ściąga znajdujących się w pobliżu uzbrojonych w karabiny maszynowe komandosów SS. Chwilę później postrzelony syn regenta leży na ziemi, a esesmani zawijają go w dywan. Tego samego dnia Miklós Horthy znajduje się w Wiedniu, skąd zostaje przewieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen.

Niemiecki ambasador oświadcza regentowi, że jeśli zdradzi III Rzeszę, jego jedyny potomek dostanie kulę w łeb. Ale admirał się nie ugina – wczesnym popołudniem ogłasza przez radio zawieszenie broni ze Związkiem Radzieckim.

Operacja „Pancerna pięść” wchodzi w drugą fazę.

Ośłaniany przez cztery ciężkie czołgi typu Königstiger Skorzeny rusza zdobywać siedzibę Horthyego w budapeszteńskim zamku. W akcji biorą udział już nie tylko jego komandosi, ale także zwykli żołnierze Waffen-SS, którzy wcześniej szczelnie otoczyli zamek i zajęli mosty na Dunaju. Plan jest ryzykowny, bo Węgrzy dobrze się ufortyfikowali. Generał SS Erich von dem Bach-Zelewski, który właśnie przyjechał z Warszawy, gdzie zdławił powstanie, teraz objął dowództwo nad całą operacją przejęcia kontroli nad Węgrami. Chce ostrzelać zamek z ciężkiej artylerii, ale Skorzeny postanawia rozegrać sprawę inaczej.

Na widok czołgów obrońcy, z nielicznymi wyjątkami, się poddają. Skorzeny traci tylko siedmiu ludzi. Gdy wracza do apartamentów Horthyego, okazuje się jednak, że regenta nie ma – kilka godzin wcześniej podczas spotkania aresztował go niemiecki ambasador z ochroniarzami.

Horthy ugiął się pod presją. Ogłosił abdykację, wycofał zawieszenie broni i w obstawie wyjechał do Niemiec.

– Nie abdykowałem, nie podpisałem zawieszenia broni, jedynie wymieniłem mój podpis za życie mojego syna. Podpis złożony w momencie, gdy jest się na muszce karabinu maszynowego, ma niewielką wartość – oświadczył Niemcom. Do końca wojny stu esesmanów będzie pilnować go w jednym z zamków w Górnej Bawarii. Wbrew obietnicom Niemców młody Horthy do tego czasu będzie siedział w kaciecie.

A Węgry będą walczyły u boku III Rzeszy do końca wojny. Skorzeny znowu awansuje.

Najniebezpieczniejszy człowiek Europy

W dalszych miesiącach wojny nie było zbyt wielu udanych operacji Skorzeny'ego. Wiosną 1944 r. pod bośniackim miastem Drvar został zrzucony desant friedenthalczyków – chodziło o pojmanie pojawiającego się tam Josipa Broz-Tity. Zaplanowana niemal na kolanie i bez rozpoznania akcja skończyła się masakrą niemieckich spadochroniarzy.

Niewiele wyszło z planów stworzenia siatki dywersyjnej na tyłach Armii Czerwonej, w której skład mieli wejść członkowie ukraińskiego czy polskiego podziemia. W tej sprawie negocjowano nawet z przywódcą ukraińskich nacjonalistów Stepanem Banderą, którego Niemcy więzili w obozie w Sachsenhausen. Chętnych do służby było jednak za mało, by operacja przyniosła efekty.

W grudniu 1944 r. na rozkaz Hitlera Skorzeny dowodził operacją „Gryf”. Gdy dywizje Wehrmachtu i Waffen-SS ruszyły do ofensywy w Ardenach, jego ludzie w jeepach i amerykańskich mundurach przedostali się na tyły US Army. 23 niemieckim sabotażystom udało się zasiać panikę do tego stopnia, że jeszcze potem amerykańscy żandarmi posądzali swoich generałów, iż są przebierańcami podestanymi przez Skorzeny'ego. Sprawdzali ich, pytając o rzeczy, o których nawet najlepiej wyszkoleni Niemcy nie mieli pojęcia. „Jak

się nazywa dziewczyna Myszki Miki?”, „Skąd pochodzi L'il Abner (bohater popularnych komiksów)?”, „W jakiej lidze gra zespół baseballowy Chicago Cubs?”. Amerykański brygadier Bruce C. Clarke nie odpowiedział poprawnie na to ostatnie pytanie. Żandarmi wywlekli go z jeepa i trzymali pod strażą przez pięć godzin. Generał błagał, by go puścili, i przekonywał, że jest prawdziwym Amerykaninem. – Tylko szkop nie wiedziałyby takich rzeczy – odpowiadali żandarmi. Gdy podobne pytania zadali feldmarszałkowi Bernardowi Montgomery'emu, dowódcy nacierających na Niemcy brytyjskich armii, ten odparł, że nie ma czasu na bzdury, i kazał kierowcy ruszać. Po chwili seria pocisków wystrzelona przez amerykańskiego żandarma przebiła opony jego jeepa.

A komandosi, których Amerykanom udało się wówczas wziąć do niewoli, rozpowiadali, że ich dowódca planuje zabicie generała Dwighta Eisenhowera, naczelnego dowódcy sił sprzymierzonych w Europie. Wigilię 1944 r. generał Eisenhower spędził zamknięty w swojej kwaterze w Wersalu pod okiem ochroniarzy. Upřednio rozkazał pojmanie Skorzeny'ego żywego lub martwego. Zdjęcie sturmbannführera pojawiło się na rozwieszanych przez Amerykanów plakatach w zajętych przez nich miejscowościach. – To najniebezpieczniejszy człowiek Europy – mówili o Skorzenym Amerykanie.

Gdy niemiecka ofensywa w Ardenach zakończyła się klęską, Skorzeny został odkomenderowany nad Odrę, by bronić miasta Schwedt, 40 km na południe od Szczecina. Bez powodzenia. Potem jego oddział znów pojechał na zachód, do Remagen, gdzie Amerykanie uchwycili przyczółek na brzegu Renu. Jego ludzie mieli wysadzić most, którym wojska generała George'a Pattona wkraczały do Niemiec. Płetwonurkowie w specjalnych kombinezonach pozwalających na długie przebywanie w lodowatej wodzie usiłowali podpłynąć nocą pod most skryci za unoszącymi się w rzece kawałkami drewna. Ale Amerykanie przeczesywali Ren za pomocą reflektorów i zauważyli zbliżających się dywersantów.

16 maja 1945 r. Skorzeny oddał się w ręce Amerykanów, a ci postawili go przed sądem. Zarzut: wysyłanie komandosów za linię frontu w amerykańskich mundurach, co oznaczało złamanie konwencji haskiej. Nie udowodnili mu winy, bo obrońcy na świadka powołali brytyjskiego komandosa, który zeznał, że jego ludzie robili to samo. Aliantom zależało zaś, by tej sprawy nie drążyć. Trzy lata później Skorzeny uciekł z obozu internowania w Darmstadt i na długi czas zniknął.

Wojny ciąg dalszy

W czerwcu 1962 r. w Izraelu wybuchła panika. Powód: w sąsiednim Egipcie, z którym kraj ten stoczył już dwie wojny, wlaśnie wzbiły się rakiety Al-Kahir, po arabsku: Zwycięzca. – Są w stanie razić cele na południe od Bejrutu – zapewniał egipski przywódca Gamal Naser. To oznacza, że pod ostrzałem jest praktycznie całe terytorium państwa żydowskiego. Konflikt bliskowschodni wszedł w nową fazę.

Al-kahiry przypominały niemieckie V-2 i były dziełem naukowców, którzy podczas wojny budowali rakiety dla Hitlera. Ówczesne władze Egiptu podziwiała III Rzeszę, a nazistowskich zbiegów przyjmowały z otwartymi rękami. Naser dawał im schronienie i dobrze im płacił. Weterani Gestapo szkolili egipską bezpiekę. Słynny konstruktor Willy Messerschmitt w tajnej fabryce budował odrzutowce wojskowe dla Egipcjan. Johann von Leers, pomocnik Goebbelsa, doradzał Naserowi w sprawach propagandy.

W tajnej fabryce o kryptonimie „333” ściągani z Niemiec specjaliści od połowy lat 50. pracowali nad raketami, które w kolejnej wojnie miały być wystrzelone na Izrael. Mosad donosił, że Niemcy zamierzali wypełnić ich głowice odpadami radioaktywnymi, które na setki lat skażyłyby izraelskie miasta. Inne plany zakładały użycie gazów bojowych i broni biologicznej. Zaraz po objęciu władzy w 1954 r. Naser uruchomił też własny wojskowy program atomowy. Niewiele jednak osiągnął. W 1961 r. pierwszy reaktor atomowy w Egipcie zbudowali Sowieci, ale instalacja nie nadawała się do produkcji materiałów rozszczepialnych do bomb atomowych. W tym czasie reaktor w izraelskim ośrodku atomowym w Dimonie, który powstał dzięki pomocy Francji, Wielkiej Brytanii i Kanady, przygotowywał się do produkcji plutonu na dużą skalę.

Pod koniec 1962 r. szef Mosadu Isser Harel wysłał do fabryki „333” oraz do Niemców pracujących dla Egipcjan bomby ukryte w kilku paczkach. Przesyłki nie budziły podejrzeń, izraelscy agenci nadali je w Hamburgu. W wybuchach zginęło kilku egipskich robotników, a niemiecka sekretarka i jeden z naukowców zostali ciężko ranni. Inni naukowcy dostawali telefony z pogrózkami, że zginą, jeśli nie wrócą z Egiptu do kraju.

Mosadowi nie sprzyjało jednak szczęście. W Szwajcarii dwóch izraelskich agentów usiłowało groźbami przekonać córkę prof. Paula Goerkego, który opracowywał system naprowadzania dla egipskich rakiet w Egipcie, by nakłoniła ojca na powrót do domu. Powiedziano jej, że jeśli odmówi, zginie razem z nim. Ale kobieta nie dała się zastraszyć – poinformowała

o sprawie policję i ściągnęła szantażystów na kolejne spotkanie do Zurychu. Skuci kajdankami agenci Mosadu wylądowali w areszcie. Ich proces, jak każda afera z przyłapanymi na mokrej robocie funkcjonariuszami wywiadu, wywołał międzynarodowy skandal.

Harel, który na własną rękę kazał zastraszyć pracujących w Egipcie Niemców, musiał zrezygnować ze stanowiska. Izraelski premier David Ben Gurion nie chciał atakować niemieckich naukowców, by nie drażnić Niemiec Zachodnich, sojusznika i dostawcy broni dla Izraela.

Ale Mosad nie odpuszczał. Agenci Eitan i Ahituv poznali nazwisko szefa ochrony naukowców pracujących dla Nasera i okazało się, że podczas wojny był on podkomendnym Skorzeny'ego. Wówczas pojawił się pomysł, by skorzystać z usług jego szefa. W sierpniu 1963 r. odwiedzili byłego komandosa w Madrycie.

Skorzeny od końca lat 40. mieszkał poza Niemcami. Najpierw zadekował się w Paryżu, potem krótko przebywał w Ameryce Południowej. W końcu w 1950 r. osiadł w stolicy Hiszpanii. Ożenił się tam po raz trzeci z hrabiną Ilse von Finckenstein, siostrzenicą Hjalmara Schachta, nazistowskiego ministra gospodarki i szefa banku centralnego. Oficjalnie pracował dla austriackiego koncernu Voest i niemieckiego koncernu Kruppa. Ale wtajemniczeni wiedzieli, że pomaga dawnym nazistom w bezpiecznej przeprowadzce do frankistowskiej Hiszpanii lub do Ameryki Południowej. Tylko w Argentynie schronienie znalazło 10 tys. Niemców. Wśród nich był Adolf Eichmann, któremu Skorzeny miał pomóc w dotarciu do Hiszpanii, gdzie oczekiwał na statek do Argentyny. A także Josef Mengele, „doktor śmierć” z KL Auschwitz, który do końca życia mieszkał w Paragwaju. Dla południowoamerykańskich dyktatorów naziści byli specjalistami, dzięki którym modernizowali swój przemysł zbrojeniowy, wojsko i tajne służby.

Gdy do Skorzeny'ego przyszli Izraelczycy, był przerażony. Z początku myślał, że skończy na izraelskim szafocie, uspokoił się dopiero wtedy, gdy Eitan napisał na kartce: „W imieniu Państwa Izraela gwarantuję, że wobec Ottona Skorzeny'ego nie będą prowadzone żadne postępowania karne ani stosowana przemoc”.

Ulubiony komandos Hitlera zgodził się współpracować.

Izraelczycy zwrócili się do niego nie tylko ze względu na znajomość z dawnym podwładnym, który był szefem ochrony naukowców. Skorzeny wiele wiedział o swych rodakach w Egipcie. Sam w latach 50. szkolił Naserowi komandosów, a jednym z jego uczniów był Jaser Arafat, późniejszy przywódca Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Nad Nil Skorzeny'ego wysłała CIA. Już wcześniej Amerykanie uratowali go przed ekstradycją do ZSRR, gdzie oskarżano go za zbrodnie wojenne. W zamian budował dla USA siatkę agentów, wykorzystując zbiegłych nazistów. Jednym z nich był Klaus Barbie, okrutny szef Gestapo w Lyonie, który po wojnie ukrył się w Boliwii i pracował jednocześnie dla CIA oraz zachodnioniemieckiego wywiadu BND.

Ameryka nie była jedynym pracodawcą Skorzeny'ego – jak twierdził w jednym z wielu udzielonych po wojnie wywiadów, przychodzili do niego wysłannicy różnych krajów. Świadczył swe usługi m.in. wywiadowi RFN kierowanemu przez dawnego generała Wehrmachtu Reinharda Gehlena, z którym jeszcze podczas wojny planował akcje sabotażowe na sowieckich tyłach. Dostawał również zlecenia od wywiadu Austrii.

W Niemczech Zachodnich szybko z niego zrezygnowano ze względu na mitomanię komandosa. W 1950 r. Skorzeny rozmawiał z doradcami kanclerza Konrada Adenauera, którzy po cichu organizowali już zachodnioniemiecką armię. Mowa była o siłach specjalnych. Według Ottona powinny liczyć 200 tys. ludzi i ćwiczyć w Hiszpanii pod ochroną gen. Franco i dowództwem Skorzeny'ego.

„Awanturnik, człowiek bez charakteru, z obsesją bycia ważną figurą” – taką charakterystykę Skorzeny'ego odtajnił niedawno niemiecki wywiad BND.

Nazista do końca

Izraelczycy byli jednak z dawnego komandosa zadowoleni – dostarczył im szczegółowych informacji na temat Niemców pracujących dla Nasera i zaawansowania ich projektów. Ile na tym zarobił? Nie wiadomo.

Problem niemieckich naukowców został rozwiązany następująco: ich ustalone przez Skorzeny'ego nazwiska trafiały do Bonn, a ludzie kanclerza Adenauera ściągali ich do kraju, przebijając finansowo egipską ofertę. Egipskie rakiety bez systemu naprowadzania, który mieli opracować Niemcy, okazały się bezużyteczne. Program rozwijania broni masowego rażenia bez wsparcia

europijskich ekspertów obumarł.

A Skorzeny, który z roku na rok obrastał coraz większą legendą geniusza sił specjalnych, pisał wspomnienia, udzielał wywiadów, zarabiał na życie, szkoląc oddziały rozmaitym dyktatorom. Zmarł na raka w 1975 r. Do końca życia pozostał zagorzałym nazistą. Gdy urnę z jego prochami chowano w rodzinnym grobie na jednym z wiedeńskich cmentarzy, dawni żołnierze podnieśli ręce w geście hitlerowskiego pozdrowienia.



Wolfgang Vogel

Nawet 7 mld zachodnioniemieckich marek mogła zarobić Niemiecka Republika Demokratyczna, sprzedając na zachód własnych obywateli. Lukratywnego interesu doglądał jeden człowiek – wschodniobrzeński adwokat Wolfgang Vogel

Pojawienie się złotego mercedesa było znakiem, że wszystko idzie zgodnie z planem, a wolność jest blisko. Ale tego dnia samochód się spóźnił, a w autobusie czekającym przy wjeździe na most Glienicke pod Poczdamem panowała grobowa atmosfera.

Był mglisty ranek 18 czerwca 1985 r. Autobus stał tuż nad brzegiem Haweli, rzeki odgradzającej Berlin Zachodni od NRD. Pasażerowie, głównie obywatele Niemiec wschodnich skazani za szpiegostwo, niepewnie kręcili się w fotelach. Nie wiedzieli, czy pilnujący ich funkcjonariusze Stasi pozwolą im za chwilę przejść na drugą stronę, czy też autobus zawróci i zawiezie ich z powrotem do więzienia.

Strach mija dopiero wtedy, gdy na drodze pojawia się złoty samochód. Kierowca wchodzi do autobusu razem z czekającym na miejscu amerykańskim dyplomatą.

– Pozdrowienia od prezydenta Reagana – mówi na wstępie Amerykanin. Po chwili autobus wjeżdża na most i zatrzymuje się w jego połowie. Dalej, do Berlina Zachodniego, pasażerowie idą pieszo.

Z przeciwnej strony mijają ich cztery osoby. To aresztowani na Zachodzie agenci polskiego, czechosłowackiego i radzieckiego wywiadu. Wśród nich Marian Zacharski, szpieg, który wykradł Amerykanom plany najnowszych samolotów bojowych, czołgów i rakiet przeciwlotniczych.

A człowiek, który przyjechał złotym mercedesem 250, to mecenas

Wolfgang Vogel, który w niepozornym domku przy Reilerstrasse 4 we wschodniobrzezińskim Friedrichsfelde prowadzi kancelarię adwokacką. W enerdowskich sądach zajmuje się rozwodami, ale ma też inną specjalizację, o której wiedzą jedynie wtajemniczeni. Od ponad 20 lat zajmuje się handlem ludźmi między wschodem i zachodem. I dobrze z tego żyje.

Abel za Powersa i Prygora

- Jestem żoną Rudolfa Abła. Przyjechałam z Lipska - oświadcza kobieta, która niezapowiedziana przyszła do jego kancelarii. Jest rok 1959. Choć Vogel wie, że kobieta kłamie, od razu zgadza się ją reprezentować.

Kilka dni wcześniej wezwano go do Komitetu Centralnego Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), enerdowskiej partii komunistycznej, gdzie został uprzedzony, że ma się spodziewać niecodziennej wizyty.

- Zajmijcie się sprawą z Ameryki - usłyszał od jednego z partyjnych biurokratów.

Vogel z grubsza wie, kim jest Rudolf Abel. To radziecki szpieg odsiadujący 30-letni wyrok w więzieniu federalnym w Atlancie. Nie ma jednak pojęcia, że Abel, który naprawdę nazywa się William Fisher, jest pułkownikiem KGB, a jego pojmanie było jednym z największych sukcesów amerykańskiej FBI.

Do tej pory żaden agent nie wyrządził USA takich szkód - Ablowi udało się zwerbować szpiegów pracujących w tajnym ośrodku Los Alamos, gdzie powstała bomba atomowa. To w dużej mierze dzięki wykradzionym przez niego informacjom Sowietci już cztery lata po ataku na Hiroszimę złamali monopol atomowy USA.

Wpadł przez przypadek - najpierw w 1953 r. nowojorski gazeciarski znalazł pięciocentową monetę z wydrążonym schowkiem, w którym znajdował się mikrofilm z zaszyfowaną wiadomością. Monetę do obiegu najprawdopodobniej przypadkowo wprowadził pomocnik Abła Reino Häyhänen, pochodzący z Finlandii podpułkownik KGB, który w odróżnieniu swojego szefa bardzo dużo pił, a bywało, że chodził w pijackie cugi. Nic dziwnego, że pewnie płacąc za gazetę, użył monety przeznaczonej do przekazywania meldunków.

Chłopak poinformował o znalezisku policję, ta zaś ściągnęła FBI. Śledczy nie potrafili wprawdzie odczytać szyfru, ale sprawa wzbudziła ich czujność. Cztery lata później Abel stracił do ciągle pijącego Häyhänena cierpliwość i załatwił, że Moskwa odwołała go do kraju. Pomocnik wracał do ZSRR przez Paryż. Zamiast iść na dworzec i wsiąść do pociągu do Moskwy, udał się do ambasady USA, gdzie w zamian za dostatnie życie w Ameryce wyspał swojego szefa. Jednym z pierwszych zadań, jakie wykonał, było rozszyfrowanie meldunku z monety.

Za szpiegostwo na tak gigantyczną skalę Abel powinien skończyć na krześle elektrycznym, ale prokurator przekonał sąd, by darował szpiegowi życie, bo w przyszłości będzie można go wymienić na jakiegoś amerykańskiego agenta aresztowanego w ZSRR.

Rosjanie pragnęli skorzystać z tej furtki, ale nie chcieli sami negocjować, bo wydałoby się, jak bardzo im na Ablu zależy. Dlatego o zwolnienie musiała zabiegać rzekoma żona Abła za pośrednictwem adwokata cudzoziemca. Vogel do tego zadania pasował idealnie. Umiał się swobodnie poruszać po obydwu stronach żelaznej kurtyny – adwokackie egzaminy zdał zarówno w NRD, jak i w RFN.

„Spiegel” w 1972 r. pisał wręcz, że był typowym produktem wschodnich Niemiec. „Należał do pokolenia, które reżimowi zawdzięczało wszystko: wykształcenie, pracę, pozycję społeczną”. Jest też coś, o czym dziennikarze „Spiegla” nie mieli pojęcia – za jego lojalność ręczyła Stasi.

Vogel urodził się w 1925 r. w Bolesławowie na Dolnym Śląsku, ostatni rok wojny służył w Luftwaffe. Gdy III Rzesza upadła, a Dolny Śląsk stał się polski, rodzinę Vogla wysiedlono do Jeny w sowieckiej strefie okupacyjnej. Vogel studiował tam prawo. Gdy skończył studia, błyskawicznie piął się w górę. W 1952 r. jako 27-latek zaczął pracować w ministerstwie sprawiedliwości w NRD. Rok później w Berlinie wybuchło ludowe powstanie, które stłumiono za pomocą sowieckich czołgów. Vogel od jednego ze starszych kolegów dostaje propozycję wyjazdu na Zachód. Odrzuca ją, a na kolegę donosi do Stasi. „Spiegel” pisze potem, że w NRD od młodości należał do uprzywilejowanej kasty, miał wygodne życie. W RFN na pozycję musiałby ciężko pracować. No i był ze wschodnich Niemiec w jakiś sposób dumny. To były te lepsze Niemcy, które odcięły się od nazizmu i wyzysku robotników. Jako przedstawiciel lepszej kasty niewiele wiedział o realiach życia na wschodzie.

Na początku Vogel mógł bezskutecznie ślać do USA pisma w imieniu „żony” szpiega – w sowieckich więzieniach nie siedział nikt, kto byłby wart tyle co Abel. Ale 1 maja 1960 r. nad Swierdłowskim obrona przeciwlotnicza

zestrzeliła szpiegowski samolot U-2, a pilot Francis Gary Powers dostał się do niewoli. Po głośnym procesie moskiewski sąd skazał go na siedem lat więzienia.

Aby dodatkowo zachęcić Amerykanów do rozmów, Stasi aresztowała młodego ekonomistę Frederica Pryora, który przyjechał do Berlina pisać doktorat. Oskarżono go o szpiegostwo, a wpływowym rodzicom nie omieszkanie przekazać, że za to przestępstwo w NRD orzeka się karę śmierci. Nic dziwnego, że krewni pukali w Waszyngtonie do wszystkich drzwi, byle tylko doprowadzić do uwolnienia syna.

Ich adwokatem został Vogel. To on wykonał pierwszy ruch, informując Amerykanów, że zdaniem pani Abel młody ekonomista i pilot Powers mogą odzyskać wolność, jeśli Amerykanie uwolnią jej męża.

Negocjacje, które potem odbywały się w kancelarii Vogla i ambasadzie ZSRR w Berlinie wschodnim, były burzliwe, ale adwokat dopiął swego.

Rankiem 10 lutego 1962 r. Powers minął się z Ablem na moście w Glienicke – miejsce to wybrano na wymianę, bo most leżał na uboczu i mało kto z niego korzystał. Vogel wprawdzie tego nie wiedział – wówczas w centrum Berlina na przejściu Checkpoint Charlie przekazywał rodzinie Pryora – ale w świecie szpiegów i dyplomatów jego gwiazda właśnie wzeszła.

Niemcy za marki i surowce

– Jak pogodzić sprzedaż ludzi z zasadami komunizmu? – pyta Vogel podczas narady w Komitecie Centralnym SED. Jest rok 1962 i partyjni biurokraci debatuja nad innym interesem z zachodem.

Tym razem chodzi o handel nie szpiegami, lecz więźniami politycznymi. Z tym pomysłem przyszedł do KC właśnie Vogel, do którego z kolei zgłosił się adwokat z Niemiec Zachodnich reprezentujący tamtejszy Kościół ewangelicki. Prerażeni przenikającymi zza żelaznej kurtyny wiadomościami o piekle enerdownskich więzień biskupi zaproponowali, że wykupią od NRD więźniów politycznych.

Vogel, który mawiał o sobie, że jest marksistą, ale także katolikiem, wzdraga się na myśl o handlowaniu ludźmi, na dodatek na taką skalę. Ale gdy towarzysze każą mu brać się do roboty, wykonuje polecenia.

Według oficjalnych rozliczeń w ciągu ćwierćwiecza eksport obywateli

do RFN przyniósł 3 mld 436 mln 900 tys. marek i 12 fenigów zysku. „Spiegel” – już po zjednoczeniu Niemiec – podawał jednak dwa i pół razy większą kwotę.

Nad negocjacjami czuwał Vogel – dzięki jego pośrednictwu na wolność wyszło 34 tys. ludzi. Na NRD wzorowały się potem władze PRL, które w latach 70. za zachodniemieckie kredyty pozwalały wyjeżdżać do RFN Ślązakom czy Kaszubom. Na podobnej zasadzie w latach 80. ZSRR wypuszczał do Izraela obywateli pochodzenia żydowskiego.

Jeszcze w pierwszej dekadzie istnienia wschodnich Niemiec władze robiły wszystko, by zatrzymać ludzi po wschodniej stronie Łaby. Mur berliński wzniesiono w 1961 r. właśnie po to, by zatrzymać falę ucieczek do Berlina Zachodniego. Zanim stanął, z NRD wyjechało 2,6 mln ludzi! Decyzja o sprzedaży własnych obywateli była więc wielkim zwrotem w polityce komunistów, wymuszonym przez dramatyczne okoliczności.

NRD potrzebowało twardej waluty, by kupować surowce. Wydobywany tam węgiel brunatny nie zaspokajał potrzeb energetyki i zimą w latach 60. trzeba było zamykać nie tylko szkoły, ale też fabryki. Dostawy węgla z Polski i ZSRR były zbyt małe, by zaspokoić potrzeby państwa.

Za pierwszą 20-osobową grupę więźniów Vogel wynegocjował trzy wagony soli potasowych potrzebnych do produkcji nawozów. Za zwolnienie z więzienia proboszcza berlińskiego kościoła Mariackiego zażądał 100 tys. marek – na taką właśnie kwotę władze NRD oszacowały straty, jakie rzekomo wyrządził państwu niemieckich robotników i chłopów. Kościół zapłacił bez słowa sprzeciwu.

Z detalisty hurtownik

Wybuch powstania w 1953 r. był porażką Stasi. Po jego stłumieniu szefowie bezpieki robili wszystko, by nie dopuścić do ponownego protestu na taką skalę. Z roku na rok społeczeństwo poddawano coraz mocniejszej inwigilacji. Dlatego w NRD nigdy nie powstało coś w rodzaju polskiego Komitetu Obrony Robotników. Stasi miała tytuł tajnych współpracowników, że była w stanie błyskawicznie wyłapywać dysydentów. Ale to nie oni stanowili większość więźniów politycznych. Dominowali niedoszli tzw. uciekinierzy z Republiki, czyli ludzie mający dość życia w NRD, którzy próbowali

sforsować żelazną kurtynę i nie zostali przy tym zastrzeleni. A także ci, którzy przygotowywali się do ucieczki, nie wiedząc, że Stasi wie o ich zamiarach. Albo wiedzieli o zamiarze ucieczki sąsiada, a nie donieśli do Stasi.

Do innej kategorii więźniów politycznych należeli skazani za „zdradzieckie przekazywanie informacji”. To ludzie, którzy np. poskarżyli się krewnym w RFN, że życie w komunizmie nie jest usłane różami. Wystarczyło zresztą spotkać się z dziennikarzem z RFN, by dostać wyrok za „nielegalne nawiązanie kontaktu”. Do więzienia można było pójść za publicznie „znieważenie organów państwa” i „antypaństwową nagonkę”, czyli za opowiadanie dowcipów politycznych.

Od 1963 r. rozmowy o wymianie więźniów prowadzono już nie z hierarchiami, ale z przedstawicielami rządu RFN. I szło w nich nie o kilkanaście osób, tylko o setki ludzi. Początkowo Vogel negocjował cenę za każdego więźnia. Wyjaśniał, że wykształcenie lekarza kosztuje 150 tys. marek, że trzeba wyrównać szkody wyrządzone przez tych przestępców. W końcu zgodził się, że za jednego zwalnianego więźnia NRD dostanie 34 tys. zachodniemieckich marek.

Pierwszych szczęśliwców osobiście przewoził złotym mercedesem z berlińskiego więzienia Stasi przy Magdalene Strasse na dworzec przy Friedrichstrasse, gdzie znajdowało się kolejowe przejście graniczne między wschodnim a zachodnim Berlinem. Potem więźniów wożono autobusem z obracanymi tablicami rejestracyjnymi. Aby nie budzić podejrzeń, po przekroczeniu niemiecko-niemieckiej granicy enerdowskie tablice zmieniały się na zachodniemieckie. Vogel dalej przyjeżdżał do więzień i żegnał swoich klientów. Jego złoty mercedes stał się symbolem wolności.

Na początku za więźniów płacono gotówką. Z RFN kurierzy przywozili paczki zachodniemieckich banknotów owinięte w papier, a potem w walizkach, które Vogel zawoził do ministerstwa handlu zagranicznego. W latach 60. z Niemiec Zachodnich nie można było dokonać przelewu na konto w NRD.

W ciągu 25 lat cena więźnia wzrosła trzykrotnie. Należność wypłacano nie tylko w walucie, ale też w wagonach surowców i żywności, w tym owoców cytrusowych.

Vogel pomógł także załatwić paszporty dla 215 tys. mieszkańców NRD, którzy chcieli legalnie wyjechać na Zachód. Dlatego do jego kancelarii na przedmieściach wschodniego Berlina szły pielgrzymki. Ludzie wiedzieli, że legalny wyjazd najłatwiej załatwić przez Vogla.

Ostatni raz prawnik interweniował w grudniu 1989 r. Żelazna kurtyna już nie istniała, w murze berlińskim było mnóstwo wyrąbanych wyrw, ale władze

NRD wciąż trzymały pod kluczem politycznych. W najcięższym więzieniu NRD w Budziszynie więźniowie, domagając się amnestii, rozpoczęli strajk głodowy. Klawisze kilka lat wcześniej zdławiliby protest w ciągu kilku godzin. Ale po upadku muru byli bezsilni. Do więzienia przyjechała ekipa filmowa z Berlina Zachodniego. Spór można było rozwiązać tylko przez negocjacje. Tym zajął się właśnie Vogel. Protest zakończył się, gdy adwokat obiecał, że więźniowie będą na Zachodzie jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Słowa dotrzymał. Ci, którzy chcieli wyjechać do RFN, ruszyli w drogę 22 grudnia. Innych zwolniono do domów.

Ile za doradcę kanclerza?

- Spodziewałem się, że zobaczę pana wcześniej - mówi Günter Guillaume, ściskając dłoń Vogla na niemiecko-niemieckim przejściu granicznym w Herleshausen. Jest jesień 1981 r. Guillaume to szpieg Stasi, który już w latach 60. przeniknął do zachodnioniemieckiej partii socjaldemokratycznej (SPD).

Willy Brandt, legendarny przywódca socjaldemokratów, ufał mu tak bardzo, że gdy został kanclerzem, mianował go swoim najbliższym doradcą. Kiedy w 1974 r. Guillaume został zdemaskowany jako człowiek Stasi, kanclerz musiał się podać do dymisji.

Namierzono go przez przypadek. W 1972 r. w zachodnim Berlinie aresztowano enerdowskiego szpiega, który w kieszeni miał kartkę z nazwiskiem asystenta kanclerza. Kontrwywiad wziął Guillaume'a pod lupę, ale nie miał na niego haków. W marcu 1973 r. zapadła jednak decyzja o zgarnięciu go. Koronnego dowodu dostarczył sam. Gdy funkcjonariusze kontrwywiadu przyszli go aresztować, oświadczył im, że jest obywatelem NRD oraz oficerem i prosi o odpowiednie traktowanie.

Afera Guillaume'a to jeden z największych szpiegowskich skandali w zachodniej Europie i gigantyczna kompromitacja Bonn.

Właśnie dlatego przez pierwsze kilka lat władze RFN nie chciały rozmawiać o zwolnieniu szpiega, który odsiadywał 13-letni wyrok w więzieniu w Rheinbach. Pierwsze negocjacje z Voglem rozpoczęły się dopiero w 1980 r.

Adwokat miał już wtedy renomę wytrawnego gracza, który doskonale

porusza się po szpiegowskim bazarze. Świadkowie mówili, że podczas rozmów potrafił kontrolować każdy mięsień twarzy. Ufali mu zarówno Amerykanie, jak i Niemcy z Zachodu, bo nie zdarzyło się, by złamał dane słowo. Zaufanie miało kluczowe znaczenie, bo reguły rządzące szpiegowskim targowiskiem były twarde. Szpieg szpiegowi nie był równy – jego wartość wyznaczały szkody, jakie wyrządził. Za zwolnienie jednego człowieka druga strona musiała czasem wypuścić kilku czy kilkunastu agentów niższej rangi. Płatki na wolność czekały latami, aż się uzbiera odpowiednia ich liczba.

Byli też ludzie, o których zwolnieniu nie mogło być mowy. W 1980 r. w NRD za szpiegostwo na rzecz RFN rozstrzelano komandora wschodnioniemieckiej marynarki wojennej – egzekucja miała odstraszyć potencjalnych naśladowców. W jego sprawie rozmów z Zachodem w ogóle nie podjęto.

Wolność dla Guillaume'a Vogel wytargował za 39 zachodnich obywateli odsiadujących wyroki za szpiegostwo w NRD. Nie wszyscy byli prawdziwymi szpiegami, niektórzy zostali w szpiegostwo wrobieni przez Stasi.

Zwolnienie Heinza Felfego, pracującego dla Stasi byłego esesmana, który po wojnie szkolił kadry wywiadu RFN, w 1969 r. kosztowało wolność czterech zachodnioniemieckich studentów oskarżonych o szpiegostwo. Aby Amerykanie zgodzili się wypuścić polskiego szpiega Mariana Zacharskiego, KGB musiało wysłać na Zachód 23 zdemaskowanych agentów CIA.

Problem zaczynał się, gdy druga strona miała niewiele do zaoferowania. Tak w połowie lat 60. było w przypadku siedzącego w więzieniu w RFN Alfreda Frenzla, posła SPD, który szpiegował dla czechosłowackiego wywiadu. Vogel w imieniu Pragi oferował za niego 30 dysydentów, ale Bonn uznało, że to za mało, bo Frenzel jako członek komisji obrony Bundestagu przekazywał komunistom tajemnice Bundeswehry i NATO. Wówczas Sowieci aresztowali w Kazachstanie Bogu ducha winną zachodnioniemiecką dziennikarkę i oskarżyli ją o szpiegostwo. Bonn od razu zmiękło.

Gdy czechosłowaccy dyplomaci odbierali Frenzla z więzienia, Vogel prywatnym samolotem przywódcy NRD leciał do Moskwy po aresztowaną Niemkę. Adwokat twierdził, że był przerażony tym, do czego są zdolni jego klienci ze służb specjalnych wschodu i zachodu. – Zdarzało mi się płakać nad ludzkim losem – mówił korespondentowi duńskiego dziennika „Berlingske Tidende”. Tylko ten jeden raz pokazał swoją ludzką stronę. Ludzie, z którymi negocjował, wspominali go jako wyrachowanego gracza.

Jak uwolnić Sacharowa?

Od 1980 r. na zesłce w zamkniętym dla cudzoziemców mieście Gorki (dzisiejszy Niżny Nowogród w zachodniej Rosji) przebywał wielki fizyk, laureat Pokojowej Nagrody Nobla i dysydent Andriej Sacharow, a w łagrze pod Permem na Syberii 13-letni wyrok za rzekome szpiegostwo odsiadywał Anatolij Szaranski, jeden z założycieli moskiewskiego Komitetu Helsińskiego.

W sprawie Sacharowa Vogel poleciał nawet do RPA, by negocjować z tamtejszymi władzami wymianę dysydenta na Nelsona Mandelę, więzionego przywódcę czarnej większości. Ani rasistowski reżim, ani Sowietci nie byli zainteresowani takim układem, i obaj dysydenci odzyskali wolność dopiero wtedy, gdy w ZSRR nastąpiła pierestrojka.

O końcu zsyłki w 1989 r. Sacharowa poinformował przez telefon sam Gorbaczow.

Wcześniej, 11 lutego 1986 r., Szaranski odzyskał wolność na moście Glienicke. KGB bez słowa tłumaczenia przewiozło go z Syberii do Moskwy, a stamtąd do Berlina wschodniego. Dalej Vogel zawiózł go na granicę swoim mercedesem i wymienił na pięciu komunistycznych szpiegów. Wśród nich był Polak Jerzy Kaczmarek, który w RFN szpiegował pod przykrywką emigranta z PRL.

W sumie adwokat wynegocjował wolność dla 150 agentów obydwu stron. Ostatnich – zwerbowanego przez Stasi zachodniego inżyniera i enerdowskiego operatora dźwigu pracującego dla wywiadu RFN – wymienił pod koniec października 1989 r., trzy tygodnie przed upadkiem muru berlińskiego.

Zaufany Honeckera

W latach 80. w NRD nie było bardziej wpływowego prawnika niż Wolfgang Vogel. Pełnomocnictwa wystawiali mu i amerykański sekretarz stanu, i przywódca NRD Erich Honecker. Ten ostatni Vogla cenił szczególnie.

Na jego zręczności zyskał prestiż całego wschodnioniemieckiego państwa, a Honecker chciał funkcjonować na scenie międzynarodowej jako niezależny gracz. Ufał Voglowi tak bardzo, że wysyłał go do Bonn, by ten przygotował mu przełomową wizytę w RFN w 1987 r. Wówczas Honeckerowi

udało się załatwić zachodnioniemieckie kredyty, które podratowały upadającą enerderską gospodarkę. W Bonn z adwokata też byli zadowoleni.

- Vogel to nasz listonosz - mawiał zachodnioniemiecki kanclerz Helmut Schmidt.



Na zdjęciu Vogel (w środku) z zachodnioniemieckimi prawnikami Barbarą von der Schulenburg i Hasso von Wedem. Berlin Zachodni, lato 1980.

Prawnik dobrze się czuł ze swą sławą - zachodnich dziennikarzy przyjmował ubrany w elegancki garnitur w swoim gabinecie, którego ściany zdobiły jego zdjęcia z najważniejszymi politykami oraz oprawione wycinki z udzielonych wcześniej wywiadów.

- Fascynuje mnie to, że mogę zmieniać ludzkie życie na lepsze, że w krytycznej sytuacji mogę pomóc znaleźć takie wyjście, o którym człowiek nie ośmielał się marzyć - mówił korespondentowi „Berlingske Tidende”. O szczegółach pracy nie rozmawiał. - Są informacje, przez które można stracić życie - mówił dociekliwym dziennikarzom i zapewniał, że za wymianę agentów nie bierze honorariów, eleganckie garnitury szyje mu enerderski krawiec, a daczę wybudował za pensję wykładowcy w szkole partyjnej.

Nie była to prawda. Pomagał nie z własnej woli - na ręce patrzyła mu

wszecmocna enerdowska bezpieka. W kartotece jej tajnych współpracowników figurował pod numerem 4148/53 jako TW „Eva” i TW „Georg”. Zwerbowany został jeszcze w latach 50., a jego kancelaria w pewnym momencie stała się przybudówką Stasi. Bezpieka bezwzględnie wykorzystywała jego wizerunek bezstronnego pośrednika.

Winy i niewinny

- Dziennikarze nazywają mnie handlarzem ludźmi. Ale ja nie siedzę przy kasie i nie przeliczam kolejki więźniów na pieniądze. Prowadzę bardzo skomplikowane sprawy - mówił duńskiemu dziennikarzowi.

Po zjednoczeniu Niemiec wyznał „Spiegłowi”, że podczas rozmów największy wstręt budziły w nim słowa „cena” i „transport” - Używano ich, jakby chodziło o bydło, a to byli ludzie. Moja praca polegała na paktowaniu z diabłem, ale gdyby było trzeba, zrobiłbym to jeszcze raz - mówił.

Nie wspominał natomiast, że za swoje usługi brał duże pieniądze i jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec był krezusem. Rocznie na jego konto Bonn i Berlin przelewały milion zachodnioniemieckich marek z tytułu honorariów za pośrednictwo w handlu Niemcami.

Przemilczał też to, że instrukcje co do ceny dostawał od oficerów Stasi i że na ich polecenie ograbiał klientów z majątku. Obywateli NRD, którym pomagał uzyskać paszport, stawiał pod murem: Stasi zgodzi się na wyjazd, jeśli dom lub mieszkanie zostanie za niską cenę sprzedane wskazanemu przez Vogla funkcjonariuszowi bezpieki.

Dopiero po zjednoczeniu Niemiec okazało się, jak wielka była skala tego procederu. Emigranci musieli przekazywać funkcjonariuszom Stasi podmiejskie dacje, a nawet trabanty.

W latach 90. Vogel został aresztowany, prokuratura zarzuciła mu oszustwa, szantaż i łamanie tajemnicy adwokackiej. W pierwszej instancji dostał dwa i pół roku więzienia w zawieszeniu, niewinnił go jednak sąd najwyższy. Uznał, że to nie Vogel ustalał warunki gry, był tylko pośrednikiem. Skoro władze NRD żądały, by opuszczający kraj ludzie sprzedawali swój majątek, to Vogel musiał tego dopilnować.

Publicznie bronili go były kanclerz Helmut Schmidt i wieloletni szef zachodnioniemieckiej dyplomacji Hans-Dietrich Genscher. Adwokat nigdy nie

przyznał się do zarzutów. Tym, którzy twierdzili, że był marionetką w rękach Stasi, wytaczał procesy. Tłumaczył, że w takiej pracy „nie mógł być czarny ani biały. Był więc szary”

– Gdy ktoś pracuje ramię w ramię z bandą kryminalistów, jaką była Stasi, nie może pozostać bez skazy – twierdzi publicysta Jörg Bernhard Bilke. W 1964 r. Vogel wywiózł go w grupie 800 innych osadzonych z więzienia w Jenie. Ale jego krytyka to odosobniony głos wśród ludzi, którzy zawdzięczają adwokatowi wolność. Większość, tak jak Ellen Thiemann, pisarka skazana w latach 70. za próbę ucieczki z NRD, twierdziła, że „Vogel ich wyzwolił”.

„Nie zapomnę chwili, gdy dr Vogel przywitał mnie w autobusie, który zabierał mnie z więzienia w Karl-Marx-Stadt [dziś Chemnitz]. Poprosił mnie, bym na Zachodzie zachował dyskrecję o tym, co przeszedłem, i bym nie rozmawiał z prasą, w szczególności z dziennikarzami koncernu Axel Springer” – pisał Hans-Peter Schudt, skazany w latach 70. na pięć lat za to, że nie poinformował władz o planowanej przez znajomego ucieczce do RFN.

Vogel tłumaczył mu wtedy, że gdyby w wydawanym przez Springera „Bildzie” pojawiła się lista więźniów politycznych, nie miałby już żadnych szans, by wynegocjować dla nich wolność. W rzeczywistości adwokatowi chodziło o to, by wiadomość o handlu ludźmi nie rozniosła się na cały świat. Ale więźniowie wierzyli mu na słowo i nie puszczali pary z ust.

– Ja tego zobowiązania dotrzymuję do dziś – twierdzi Schudt.

Wolfgang Vogel w 2008 r. zmarł w swojej luksusowej willi w bawarskim Schliersee. Po zjednoczeniu Niemiec mieszkał tam ze swoją drugą żoną Helgą, która była jego wieloletnią sekretarką. – Jesteśmy mu winni szacunek – oświadczył wówczas były kanclerz Schmidt.



Horst Herold

Był pierwszym niemieckim policjantem, który do tropienia przestępców używał komputerów. Na jego polecenie do policyjnej bazy trafiały informacje o setkach tysięcy obywateli RFN. Ochroną danych osobowych nikt się w ówczas nie zajmował – ważne było unieszkodliwienie terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii

Francuscy policjanci nie kwapili się, żeby zajrzeć do wnętrza zielonego audi 100 z zachodnioniemiecką rejestracją – auto stało przy rue Charles Péguy, wąskiej uliczce w alzackiej Miluzie. O samochodzie poinformował mężczyzna mówiący z niemieckim akcentem, który zadzwonił do miejscowego komisariatu. Francuzi spodziewali się pułapki, dlatego otoczyli teren i czekali na pirotechników. Po ich przybyciu w bagażniku odkryto zakrwawione zwłoki.

Patolodzy znaleźli w ustach ofiary strzępy trawy, na ubraniu jodłowe igły; w tylnej części czaszki ziały trzy dziury po kulach. Twarz była miazgą.

Te informacje wystarczyły funkcjonariuszom Bundeskriminalamt (BKA), czyli Federalnego Urzędu Kryminalnego, niemieckiego odpowiednika FBI, do zrekonstruowania ostatnich chwil życia 62-letniego mężczyzny. Zginął na dworze. Zabójcy – było ich dwóch, na co wskazywało rozmieszczenie ran na czaszce – kazali uklęknąć ofierze, a potem trzykrotnie strzelili jej w tył głowy.

Zamordowanym okazał się Hanns Martin Schleyer, szef Niemieckiego Związku Pracodawców. Był 18 października 1977 r., dzień, w którym załamała się kariera Horsta Herolda, szefa BKA. W Niemczech Zachodnich trwała ofensywa terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii (RAF), zwana Niemiecką Jesienią, która doprowadziła państwo na skraj przepaści. Heroldowi prawie udało się ich powstrzymać.

Porwanie kapitalisty

Schleyer uosabiał wszystko, czego nienawidzili lewacy terroryści RAF-u. Jako szef lobby przemysłowego był twarzą niemieckiego kapitalizmu. Podczas wojny, będąc młodym oficerem SS, pracował w administracji Protektoratu Czech i Moraw, z czym wcale się nie krył w Republice Federalnej Niemiec. Gdy w styczniu 1977 r. został szefem związku, przydzielono mu ochronę policyjną – dwóch funkcjonariuszy jeździło za jego służbowym mercedesem 450, a trzeci siedział obok niego. Ale i tak bał się o życie. – Będę następny – zwierzył się przyjacielowi, mając na myśli Jürgena Ponto, rzecznika zarządu Dresdner Banku, którego RAF zamordował trzy miesiące wcześniej.

Wieczorem 5 września 1977 r. na kolońskiej Vincenz-Statz-Strasse żółty mercedes zagroził drogę limuzynie Schleyera i samochodowi ochrony. Gdy stanęły, czterech terrorystów otworzyło ogień. Policjanci zdążyli wystrzelić po kilka pocisków, zanim uzbrojeni w polskie pistolety maszynowe Rak napastnicy podziurawili ich jak sito. Schleyer, który wyszedł z tego bez zadraśnięcia, został zakładnikiem.

Od tej chwili w siedzibie wydziału antyterrorystycznego BKA w Bad Godesberg pod Bonn nie gasły światła, podobnie jak w wydziale przetwarzania danych w oddalonym o 150 km Wiesbaden, w kwaterze głównej BKA. Wielkie komputery pracowały dzień i noc.

Szukając Schleyera, Herold nie zamierza przeszukiwać każdego domu – w BKA pod jego rządami powstała ogromna baza danych ze wszystkim, czego udało się dowiedzieć o członkach RAF-u i ich sympatykach. Herold, którego z powodu pasji do komputeryzacji podwładni nazywali „komisarzem komputerem”, wierzył, że tu znajdzie trop. – Gdzie oni są? – zastanawiał się, patrząc przez okno, a potem zerkając na ekran komputera. Niestety, pytanie pozostało bez odpowiedzi, a politycy nie puścili mu tej porażki płazem. Wcześniejsze sukcesy w walce z Frakcją Czerwonej Armii i to, że zrobił z Federalnego Urzędu Kryminalnego najlepszą policję w Europie Zachodniej, przestały mieć znaczenie, gdy znaleziono ciało Schleyera.

Emeryt ze smartfonem

- Jestem ostatnim więźniem RAF-u – mawiał Herold, gdy w 1981 r. minister

spraw wewnętrznych Gerhart Baum przegnał go z BKA. Herold nie mógł sobie kupić mieszkania w centrum którejs z niemieckich metropolii – Frakcja Czerwonej Armii miała się dobrze, a jego nazwisko było na czarnej liście terrorystów. Chciał się przenieść do USA, gdzie koledzy z FBI mogliby mu pomóc w zmianie tożsamości. Prosił jedynie o dodatek do emerytury, by dało się za nią przeżyć za oceanem. Nie dostał zgody. MSW zaproponowało, by osiedlił się w strzeżonej bazie straży granicznej w Rosenheim u podnóża bawarskich Alp, gdzie odkupi od państwa kawałek ziemi i postawi sobie domek. Kosztowało go to aż 600 tys. marek, ale nie grymasił. Ochroniarze dalej nie odstępowali go na krok.

Dziennikarze gościli u niego niezwykle rzadko, ponieważ Herold, odkąd przeniósł się do Rosenheim, niemal zawsze odmawiał wywiadów. Wiadomo, że w domku z prefabrykatów niewiele przypominało mu o zmaganiach z Frakcją Czerwonej Armii – w piwnicy schował notatki, książki, wycinki prasowe, a nawet paski ze swoją pensją: 5,3 tys. marek. – Tyle w koncernach płacili asystentom – zżywał się, pokazując gościom poźółtkłe dokumenty sprzed półwiecza.

RAF rozwiązano w 1998 r., ale on ciągle gryzie się, że nie uratował Schlegera.

Rzadcy goście – w 2010 r. wpuścił dziennikarza „Süddeutsche Zeitung” – zwracają uwagę na iPhone’a, z którym 91-letni dziś Herold się nie rozstaje. Podczas rozmowy co chwila słychać pikanie – to aplikacje serwisów informacyjnych dają znać o kolejnych wydarzeniach: karambolu na autostradzie, podejrzanej przesyłce na lotnisku. Herold chłonie wiadomości jak gąbka.

– Dzięki tej zabawce jestem uzbrojony – mówi.

Jako pasjonat elektroniki już w latach 70. zaczął zbierać w jednej bazie danych informacje o setkach tysięcy obywateli. Ochrona danych osobowych, prawo do prywatności nie miały wówczas znaczenia, liczyła się walka z terrorystami. Tym, którzy twierdzili, że chciał wprowadzić w Niemczech świat Orwella, wytaczał procesy. W większości wypadków wygrywał, jak np. z dziennikarzem, który przeprowadził z nim długi wywiad, a potem opublikował go w „Spieglu” bez autoryzacji Herolda.

Wytyczoną przez szefa BKA ścieżką poszli Amerykanie. Mieli lepsze komputery, dzięki czemu Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), jak się okazało w 2013 r., na podsłuchu ma już cały świat. A jej szef gen. Keith Alexander służył w Niemczech, gdy Herold prowadził swoje eksperymenty.

Norymberski policjant stawia na komputery

Pierwszy policyjny bank danych znajdował się w ratuszu w Norymberdze. Komputer o 64-bajtowej pamięci operacyjnej (czyli setki milionów razy mniejszej niż pamięci współczesnych pecetów) zajmował pięć szaf stojących w pomieszczeniu o powierzchni 100 m kw., a jego tranzystory wydzielały tyle ciepła, że musiał być stale chłodzony.

Był rok 1968. Herold, wówczas 45-latek, od czterech lat kierował norymberską policją i jak na standardy zachodniemieckiej biurokracji był młody, ale także bardzo doświadczony. Podczas wojny jako pancerniak dotarł pod Woroneż, gdzie został ranny. Dośłużył się stopnia porucznika; w 1945 r. w Czechach dostał się do radzieckiej niewoli, z której udało mu się zbiec. Z Karpat przez Słowację i Czechy na piechotę przedzierał się do Norymbergi. Skończył prawo, w 1952 r. został asesorem sądowym, rok później przeszedł do prokuratury. Kolejny awans to stanowisko szefa norymberskiej policji kryminalnej, a w 1964 r. – szefa całej tamtejszej policji.

Działał tak, jakby sam był komputerem. Był systematyczny i uporządkowany do bólu, poświęcał się pracy. Złośliwi mówili, że był uzależniony od informacji jak alkoholik od wódki – chłonał je w wielkich ilościach. Jako idealista wierzył też, że policjanci leczą chore tkanki społeczeństwa.

Wcześniej dane o poszukiwanych policjanci spisywali na dużych fiszkach, podobnie działały kartoteki skradzionych samochodów, i prawie nigdy nie były aktualne – żeby się czegoś dowiedzieć, śledczy musieli się przekopywać przez góry akt. Równie mozolnie wyglądała praca nad analizowaniem odcisków palców czy innych śladów z miejsca przestępstwa.

Herold postanowił skończyć z marnowaniem czasu, a stworzona przez niego baza danych dawała nowe możliwości. Funkcjonariusze przesłuchiwali podejrzanego, wpisywali jego dane do komputera i często dowiadywali się, że był już zamieszany w podobną historię. Prowadząc dochodzenie w sprawie obrabowania sklepu, sporządzali opis – umieszczali w nim wzrost sprawcy, porę dnia itd. – i uzyskiwali dane o podobnych przestępstwach. Taki system oznaczał wówczas rewolucję. Z czasem norymberscy policjanci mieli dostęp do danych o wszystkich mieszkańcach półmilionowego miasta, do rejestru samochodów, informacje o odciskach palców i inne.

Heroldowi to jednak nie wystarczało, chciał dać swoim ludziom dostęp do danych zbieranych przez wszystkie instytucje, także szpitale; interesowały go nawet wyniki testów na inteligencję. Doceniał monitoring i wierzył,

że w przyszłości wyeliminuje on wiele przestępstw – kto zaryzykuje kradzież samochodu w mieście obserwowanym przez wszechobecne kamery? Kto podniesie rękę na kogoś innego, skoro policjanci szybko go odnajdą dzięki komputerowym bazom danych?

Policjanci z innych miast nie chcieli naśladować Herolda, ale to on miał wyniki. Po kilku latach w pamięciach norymberskich komputerów znajdowały się dane prawie 30 tys. przestępców i ich ofiar oraz dziesiątki tysięcy informacji dotyczących prowadzonych śledztw. W 1969 r. przestępczość w Norymberdze spadła o jedną czwartą, a policyjne komputery zaczynały pracować w innych metropoliach.

W listopadzie 1969 r. w prezydium policji w Norymberdze pojawił się minister spraw wewnętrznych Hans-Dietrich Genscher. Ujrzał m.in. wydrukowane mapy miasta z zaznaczonymi miejscami, w które wysłano radiowozy; zobaczył, jak ze szklanki, którą trzymał w ręku, technicy ściągnęli odciski palców, poddali analizie komputerowej, i w końcu – jak drukarka wypluła z siebie kartkę z napisem: H.D. Genscher. Był zachwycony i kiedy dwa lata później zaproponował Heroldowi kierowanie Federalnym Urzędem Kryminalnym, ten, po pewnym wahaniu, posadę przyjął.

Akcja w czytelnicy i narodziny RAF

Rok wcześniej, 14 maja 1970 r., do czytelnicy zachodniobierlińskiego Niemieckiego Centralnego Instytutu Spraw Społecznych strażnicy wprowadzili Andreea Baadera, założyciela Frakcji Czerwonej Armii. Od miesiąca w więzieniu w Tegel na drugim końcu miasta odsiadywał wyrok trzech lat za podpalenie domu towarowego we Frankfurcie nad Menem. Był to protest przeciwko wojnie w Wietnamie.

Baader zgłosił naczelnikowi więzienia, że pisze artykuł i chce przejrzeć czasopisma niedostępne w bibliotece więziennej. Uzyskał zgodę i został wysłany pod eskortą na trzy godziny do instytutu, gdzie czekała na niego dziennikarka Ulrike Meinhof, która spotykała się już z Baaderem w celi, bo pisała o nim książkę. Przez ponad godzinę wspólnie zajmowali się lekturą. Nagle do czytelnicy wszedł zamaskowany mężczyzna, który w powstałym zamieszaniu strzelił do bibliotekarza. Broń wyciągnęły też stojące na korytarzu kobiety. Kolejne strzały trafiły jednego ze strażników. Po chwili Baader,

Meinhof i troje wybawicieli wydostali się przez okno na ulicę, gdzie czekało na nich skradzione wcześniej alfa romeo.

Dwa miesiące później członkowie RAF-u byli już w Jordanii, w obozie palestyńskiego Fatahu, organizacji terrorystycznej stworzonej przez Jasera Arafata, której celem było „wyzwolenie Palestyny spod izraelskiej okupacji”. Przeszli przeszkolenie w technice dywersji. W 1972 r. wrócili do RFN, by się zaangażować w terror.

I Baader, i Meinhof, i inni późniejsi terroryści wyłonili się ze studenckiej rewolty 1968 r., kiedy to młodzi wyszli na ulice miast RFN rozczarowani życiem w konserwatywnym państwie i postawą rodziców zamiatających nazistowską przeszłość pod dywan. Nastroje podsycały komunistyczne służby specjalne z drugiej strony żelaznej kurtyny.

Protestujący byli brutalnie rozpraszeni przez policję. W kwietniu 1968 r. ciężko ranny został Rudi Dutschke, jeden z przywódców studenckich protestów. Wielu młodych doszło wówczas do wniosku, że demonstracje nic nie dadzą, że trzeba przejść do działań terrorystycznych. Tak narodziła się Frakcja Czerwonej Armii.

Operacja „uderzenie w wodę”

11 maja 1972 r. przed dowództwem amerykańskiego V Korpusu we Frankfurcie nad Menem eksplodowało 80 kg trotylu. Kilka dni później nastąpiły ataki na komendę policji w Augsburgu, urząd kryminalny w Monachium, a także na volkswagena sędziego sądu najwyższego. 19 maja bomba raniła 23 pracowników centrali koncernu Springera w Hamburgu. Wydawane przez koncern gazety, m.in. dziennik „Die Welt” i tabloid „Bild”, reprezentowały twardą konserwatywną linię. W 1968 r. szczuły na przywódców studenckiej rewolty. Dla niemieckiej lewicy Springer był synonimem wszelkiego zła. Dlatego RAF wziął na koncernie odwet.

Cztery dni później wybuch przed koszarami w Heidelbergu zabił trzech amerykańskich żołnierzy. Wcześniej przez Niemcy Zachodnie przeszła fala napadów na banki – w ten sposób terroryści zdobywali pieniądze na kampanię bombową.

Zadanie ich powstrzymania dostał Herold, ale Federalny Urząd Kryminalny, którym kierował od pół roku, nie miał jeszcze komputerów

i brakowało w nim ludzi. Siedziba urzędu nie była nawet ogrodzona, a tajne materiały paliło się na trawniku. Urząd powstał 20 lat wcześniej, by koordynować śledztwa prowadzone przez policje landów i w razie potrzeby je przejmować. Dopiero Herold wywalczył szersze kompetencje i zaczął zatrudniać nowych funkcjonariuszy.

- Trzeba walczyć w wodę, by ryby zaczęły się ruszać - mówił Herold, opracowując plan akcji, i właśnie dlatego nadał jej kryptonim „Wasserschlag”, czyli „Uderzenie w wodę”. 31 maja 1972 r. na zjazdach z autostrad stanęły radiowozy, by sprawdzać samochód po samochodzie. Kontrole objęły przejścia graniczne, dworce i lotniska. Do poszukiwań użyto też helikopterów, ale przeciwnicy byli sprytni - posługiwali się kradzionymi samochodami, które często zmieniali i legalizowali za pomocą podrobionych dokumentów. Podstuchiwali policyjne radia i starali się zmieniać swój wygląd. Policjanci uczulali pracowników stacji benzynowych, by zwracali uwagę na kierowców w perukach, ale początkowo nic to nie dawało.

Telefony podejrzewanych o kontakty z terrorystami były już w tym czasie podstuchiwane, a oni sami śledzeni, tak jak ich adwokaci. Herold poprosił o pomoc Bundesnachrichtendienst, czyli wywiad zagraniczny. Oznaczało to złamanie prawa, bo BND wolno działać tylko poza granicami, a na założenie każdego podsłuchu potrzebna jest zgoda sądu. Władze uznały jednak, że zduszenie RAF-u jest ważniejsze.

- Herold, pan oszalał - oburzał się Willi Weyer, szef MSW w Nadrenii Północnej-Westfalii, gdy po kilkunastu godzinach okazało się, że zmasowane kontrole nie dały rezultatów. Ale Heroldowi zdrowie psychiczne dopisywało. Jemu po prostu chodziło o coś innego - szef BKA zamierzał wyprowadzić ludzi RAF-u z równowagi, by stracili czujność. I tak się stało - 1 czerwca policjanci we Frankfurcie po dwugodzinnej strzelaninie aresztowali Baadera, Holgera Meinsa i Jana-Carla Raspego, których nakryli w garażu, gdy składali bomby. Tydzień później w Hamburgu wpadła Gudrun Esslin, a w następnym tygodniu w Hanowerze - Ulrike Meinhof. Pod koniec miesiąca w aresztach siedziało całe kierownictwo RAF-u, ale nie oznaczało to końca wojny.

- Mamy w kraju kilkuset anarchistów wspierających RAF - mówił Herold pod koniec 1974 r. w Bundestagu. Dysponują milionami marek, wspiera ich wiele lewicowych instytucji.

RAF okazał się hydrą - Herold wsadził do więzień założycieli, ale wkrótce kęsać zaczęli następcy, tzw. druga generacja. W międzyczasie szef BKA stał się sztandarowym wrogiem dla wielu lewicowców, także uczestników rewolty 1968 r. W trakcie procesu, po którym w 1975 r. dostał dożywocie, Baader nazywał go „oprawcą”. Dla Herolda to było przykre,

bo pochodził z robotniczej rodziny, był socjaldemokratą, chciał tylko chronić społeczeństwo przed zbirami.

Zabójstwo w Karlsruhe

– Spójrz, to są przyszli mordercy – Herold podaje prokuratorowi generalnemu Siegfriedowi Bubackowi plik zdjęć. Widać dwóch 25-letnich mężczyzn: Christiana Klara oraz Knuta Folkerts; ich nazwiska i fotografie trafiły do bazy komputerowej, ponieważ kontaktowali się z terrorystami.



Herold Horst (po lewej) w towarzystwie ministra spraw wewnętrznych Niemiec Gerharta Bauma (w środku) oraz Heinricha Boge (po prawej), sekretarza stanu w federalnym ministerstwie spraw wewnętrznych.

W połowie lat 70. Herold uruchomił w BKA kilka systemów informatycznych. Pierwszy, HU (Häftlingsüberwachung, inwigilacja więźniów), zawierał dane ludzi, którzy w więzieniu w Stammheim

odwiedzali Baadera i innych członków RAF-u. Herold sądził, że odwiedzający muszą mieć związki z terrorystami, więc spotkania kazał rejestrować, a z wypełnionych przez gości formularzy funkcjonariusze pobierali próbki ich pisma. Strażnicy kserowali dowody osobiste, fotografowali ich auta pozostawione na parkingu. W systemie zapisywano osoby, które towarzyszyły odwiedzającym albo tylko podwoziły je pod więzienie.

Na podstawie tych danych działał drugi system BEFA (Beobachtende Fahndung, czyli ściganie z obserwacją) gromadzący informacje o każdym spotkaniu funkcjonariusza i osoby, którą interesowało się BKA: czy to podczas rewizji, kontroli drogowej, czy przekraczania granicy. Policjanci wpisywali do systemu czas, miejsce i dane tych, którzy towarzyszyli takiej osobie.

Dzięki temu Herold wiedział, jak sympatycy RAF-u poruszają się po Niemczech i z kim się spotykają. W BEFA gromadzono masy danych o różnych przestępcach: handlarzach narkotyków, oszustach, fałszerzach pieniędzy, a samych podejrzanych o terroryzm było tysiąc. Do tego dochodziło 6 tys. ludzi z otoczenia RAF-u.

Trzecim systemem był PIOS (Personen, Institutionen, Objekten, Sachen – osoby, instytucję, obiekty, rzeczy), do którego wklepywano każdy strzępek informacji dotyczący członków lub sympatyków RAF-u. Co kupili, gdzie mieszkali, gdzie leczyli zęby. W PIOS do końca lat 70. znalazły się dane dotyczące 135 tys. ludzi i dziesiątek tysięcy obiektów, przedmiotów oraz instytucji. Przetwarzając te dane na różne sposoby, śledczy otrzymywali łańcuch powiązań między terrorystami a ich sympatykami, ich mieszkaniami i samochodami.

Odbywało się to na granicy prawa, a właściwie z jego przekroczeniem, bo inwigilowano wszystkich, którzy tylko otarli się o RAF. Ale nikt nie zwracał sobie tym głowy.

Jak precyzyjnie działał system, okazało się kilka dni po spotkaniu Herolda z Bubackiem. 7 kwietnia 1977 r. samochód wiozący prokuratora do pracy stanął na czerwonym świetle na jednym ze skrzyżowań w Karlsruhe. Wtedy podjechał do niego motocykl. Siedziały na nim dwie osoby w kaskach, jedna wyciągnęła pistolet maszynowy i zabiła Bubacka. Tożsamości zabójcy nie udało się ustalić. Ale dzięki komputerowym danym liczbę podejrzanych ograniczono do dwóch nazwisk – Klar albo Folkerst.

Niecałe pół roku później Hanns Martin Schleyer zapisał w kalendarzu: „Zadzwoń do Herolda”. To ostatni wpis przed porwaniem. Terrorysty umieścili go w wygłuszonej akustycznie szafie i co jakiś czas sadzali przed kamerą, by wygłosił kolejny apel do kanclerza Helmuta Schmidta. Więziony przedstawiał żądanie: wypuszczenie Baadera i innych uwięzionych członków

RAF-u. Przy okazji obrzucał Herolda błotem.

Rząd nie zamierzał się ugiąć i spełnić żądań.

W systemie PIOS znaleziono 35 tys. tropów mogących prowadzić do kryjówki terrorystów. – Jest w jakimś wysokim bloku, bo tylko tam mieszkańcy pozostają anonimowi. Nikt nie zagląda w okno. Są windy umożliwiające szybkie opuszczenie budynku. Samochód czeka na parkingu, blisko jest autostrada – zakładał Herold. Trafił w dziesiątkę.

18 października 1977 r.

Jedna z członkiń RAF-u wynajęła mieszkanie nr 104 w 15-piętrowym bloku przy Am Renngraben 8 pod Kolonią. Budynek został nawet wytypowany jako możliwa kryjówka terrorystów, ale ta informacja utonęła w morzu innych tropów. Tymczasem terroryści wywieźli Schleyera do Hagi, a potem do Brukseli.

43 dni po porwaniu, 18 października 1977 r., niemieccy komandosi dokonali szturm na samolot Lufthansy uprowadzony przez współpracujących z RAF-em Palestyńczyków. Ci także domagali się zwolnienia Baadera i reszty. Komandosi uwolnili 84 osoby, zginęło trzech zakładników i trzech z czterech terrorystów. Gdy wiadomość ta dotarła do Niemiec, Baader i inni siedzący w Stammheim popełnili samobójstwo. Ich cele były na podsłuchu, ale nikt nie zareagował. Dlaczego? To jedna z zagadek, których nie rozwiązano do dziś. Być może niemiecki rząd postanowił skrytobójczo rozwiązać problem RAF-u? Tego samego dnia zginął Schleyer.

Początkowo członkowie RAF-u chcieli podrzucić jego ciało pod urzędem kanclerskim w Bonn, ale w końcu zrezygnowali i zostawili audi w alzackim miasteczku. Cztery lata później, gdy Herold przeszedł na emeryturę, system PIOS został skasowany. Oficjalnie dlatego, że był tak przeładowany danymi, że przestał poprawnie funkcjonować. Prawda była inna – władze uznały, że utrzymywanie systemu zawierającego dane tylu obywateli to igranie z ogniem.

Jeszcze zanim Herold odszedł z BKA, w 1979 r. jego ludzie złapali we Frankfurcie związanego z RAF-em Horsta Heisslera – jego kryjówkę namierzono dzięki analizie bazy danych klientów elektrowni. Herold podejrzewał, że ukrywający się w mieście terrorysta płaci za prąd gotówką,

używając fałszywego nazwiska. Sprawdzono więc wszystkich 18 tys. odbiorców, którzy płacili w kasie elektrowni. Wpadły dwie osoby: handlarz narkotykami i terrorysta.

Członkowie RAF-u, którzy brali udział w zabójstwach Bubacka i Schleyera, zostali złapani w latach 80. Kilka lat temu ostatni z nich wyszedł na wolność.



Werner Stiller (na zdjęciu po operacji plastycznej przeprowadzonej w USA).

Werner Stiller

Rankiem 19 stycznia 1979 r. w centrali Stasi w Berlinie został ogłoszony alarm – włamano się do szafy pancernej i skradziono setki tajnych dokumentów. Doszło do zdrady, która na długo sparaliżowała enerdowski wywiad

- Ta nasza sekretarka to jednak idiotka – mężczyzna zwraca się do stojącego za kontuarem porucznika straży granicznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jego zastrzeżeń nie budzi ani paszport z młotem i cyrklem na okładce, ani przepustka uprawniająca do wyjazdu z NRD na każdym przejściu granicznym. Ale czujne oko pogranicznika wyłapuje, że jedna z rubryk w specjalnym zleceniu służbowym, kolejnym dokumencie, bez którego opuszczenie NRD nie jest możliwe, została źle wypełniona. Nowe przepisy wymagają wpisania celu podróży.

- Powinno być napisane: „Własna praca operacyjna”. Brakuje też adnotacji o bagażu – mówi oficer, wskazując na walizkę podróżnego.

Mężczyzna zachowuje spokój. – Ta sekretarka nigdy się nie nauczy przepisów... – wzdycha.

Gdyby tłumaczył się na zwykłym przejściu granicznym, pogranicznicy pewnie ściągaliby już z pleców karabiny. To przejście jest jednak przeznaczone dla swoich.

Wyjście przez służę

Na południowej ścianie dworca Friedrichstrasse, gdzie działa jedyne kolejowe przejście graniczne między zachodnią i wschodnią częścią Berlina, trzeba odszukać drzwi z napisem: „Wejście służbowe”, i nacisnąć dzwonek. Dalej jest puste pomieszczenie z szybą, za którą rozpięto zasłonę. To pierwsza kontrola. Jeśli pogranicznik nie ma podejrzeń, naciska guzik i otwiera kolejne drzwi.

Prowadzą do dyżurki, z której strażnicy obserwują na monitorach, co się dzieje na peronach. Tunel za następnymi drzwiami dochodzi do części dworca znajdującej się już w Berlinie Zachodnim.

To przejście graniczne, zwane przez funkcjonariuszy enerdowskiej bezpieki służą, jest ściśle tajne. Korzystają z niego wyłącznie funkcjonariusze wywiadu.

Dlatego także pogranicznik nie jest zbyt podejrzliwy; wie, że stoi przed nim swój człowiek. W walizce ma pewnie pieniądze dla szpiegów lub sprzęt. A że w papierach jest błąd... Zdarza się.

Gdyby wiedział, że te dokumenty kilkanaście godzin wcześniej zostały wykradzione z sejfu jednej z sekretarek i że w walizce jest mnóstwo tajnych dokumentów z szafy pancernejszego szefa XIII wydziału Stasi, w tym dane o najważniejszych szpiegach...

Niebawem środki bezpieczeństwa w Stasi zostaną tak zaostrzone, że funkcjonariusze będą dzielić czas na dwa okresy – przed ucieczką porucznika Wernera Stillera i po niej.

– Puszczam was w drodze wyjątku – mówi pogranicznik i oddaje dokumenty. Podróżny znika w tunelu prowadzącym na Zachód. Jest 18 stycznia 1979 r.

Egzamin za lipną granicą

Jesień 1971 r. Terenowy trabant w kamuflażu armii NRD pędzi polnymi drogami w kierunku Berlina Zachodniego. W środku siedzi 24-letni Stiller oraz niejaki pan Werner, oficer prowadzący tego młodego człowieka.

Kilka godzin wcześniej oderwał Stillera od zajęć. – Nasz agent zachorował, nie ma kto opróżnić skrzynki kontaktowej w Berlinie Zachodnim. To pilne – wyjaśnia.

Stiller godzi się bez sprzeciwu. Ze Stasi współpracuje od trzech lat,

a meldunki podpisuje jako Stahlmann.

Trabant jedzie wzdłuż stalowego płotu – betonowy mur rozdzielający wschodni i zachodni Berlin stoi w śródmieściu; tu, na obrzeżach miasta, jest płot. Auto zatrzymuje się przy wyrwie, przez którą Stiller przechodzi na Zachód. Opróżnia skrzynkę kontaktową ukrytą w pniu drzewa.

Coś jednak nie gra. Na ziemi leży paczka po enerdowskich papierosach i Stiller uzmysławia sobie, że wcale nie jest na terenie Berlina Zachodniego, lecz wciąż w NRD. Już wie, że bezpieka go sprawdza. Gdyby spróbował przedostać się na Zachód, wylądowałby w celi jako „uciekinię z Republiki”.

Ale Stiller zdaje egzamin i rok później dostaje etat w Stasi.

Nie pchał się do tej pracy – to bezpieka go sobie upatrzyła, gdy studiował fizykę na Uniwersytecie w Lipsku. Chcieli go, choć przedstawiciele partii komunistycznej na uczelni meldowali, że nie angażuje się w działalność polityczną i pyskuje na zebraniach. No i nie doniósł na dwóch kolegów, którzy zaplanowali ucieczkę do RFN.

Stasi przekonują jednak stopnie Stillera oraz to, że sam niczym nie podpadł bezpiece. Jest fizykiem, a Stasi brakuje ludzi z wykształceniem ścisłym.

Wystarczyła jedna rozmowa i obietnica studiów na Zachodzie, by Stiller z błyskiem w oku zgodził się zostać tajnym współpracownikiem. Pierwsze zadanie: sporządzić charakterystyki kolegów i wykładowców. Stiller świetnie pisze donosy. Oficer prowadzący jest zachwycony łatwością, z jaką chłopak, który dorabia jako kelner, owija sobie wokół palca zagranicznych gości.

Nazywam się Werner Stiller...

Po przejściu przez służbę pod stacją Friedrichstrasse Stiller idzie do metra i wsiada do pociągu linii U6, który ma go zawieźć na lotnisko Tegel. Boi się, że funkcjonariusze Stasi ruszą za nim w pościg. U6 to wprawdzie linia zachodniobierlińska, ale jej trasa biegnie pod wschodnim Berlinem – pociąg można zatrzymać na nieczynnej stacji i wyciągnąć Stillera z wagonu. Dlatego ma w pogotowiu pistolet.

Pociąg jedzie bez przeszkód, ale gdy Stiller dociera na Tegel, okazuje się, że ostatni samolot do Niemiec Zachodnich już odleciał. Zdesperowany idzie na posterunek Bundesgrenzschutz – zachodniemieckiej policji, która pilnuje

granic, lotnisk oraz szlaków kolejowych.

– Nazywam się Werner Stiller, jestem oficerem wywiadu NRD. Muszę się skontaktować z przedstawicielami BND [Federalnej Służby Wywiadowczej RFN] – mówi osłupiałemu policjantowi. Na lotnisku powstaje chaos. Policjanci, którzy pierwszy raz spotykają się z uciekinierem takiej rangi, nie wiedzą, co robić.

Zamiast pracowników BND do Stillera przychodzą oficerowie francuskiego wywiadu – Tegel znajduje się we francuskim sektorze Berlina Zachodniego. Nie są mili. – Jeśli nie dostarczy nam pan informacji na temat agentów Stasi działających we Francji, odeślemy pana z powrotem – grożą.

Imperium Ericha Mielkego

Jako porucznik Stasi Stiller zarabiał 2 tys. marek, czyli kilka razy więcej, niż wynosi średnia pensja w NRD. Mieszkał w ładnym bloku na przedmieściach wschodniego Berlina, wczasy spędzał w resortowych kurortach nad Bałtykiem. Miał trabanta. I pracę w najpotężniejszej instytucji w państwie. Przed skończeniem trzydziestki stał się – jak na norderowskie warunki – człowiekiem sukcesu.

Stasi było nieustannie rozrastającym się imperium. Gdy w 1957 r. stery w bezpieczeństwie przejmował Erich Mielke, miał pod sobą 14 tys. ludzi. Pół wieku później, gdy runął mur berliński, Stasi zatrudniało prawie 100 tys. funkcjonariuszy.

W żadnym innym kraju bloku wschodniego bezpieczeństwo nie prowadziła inwigilacja społeczeństwa na tak wielką skalę – w ciągu półwiecza istnienia NRD ponad 600 tys. tajnych współpracowników donosiło na sąsiadów, przełożonych, kolegów, a także członków rodziny. W 1989 r. dla Stasi pracowało ponad 100 tys. szpicli. Statystycznie co 85. mieszkaniec NRD podpisał zobowiązanie do współpracy.

Pilnowanie społeczeństwa nie było jedynym zadaniem bezpieczeństwa. Stasi podlegały więzienia, jego funkcjonariusze zajmowali się cenzurą, prowadzili tajne badania opinii publicznej, ściągali z Zachodu dewizy, towary deficytowe.

A sieć agentów HVA, Głównego Wydziału Wywiadowczego, szczerze opłatała RFN. Tajemniczy szef HVA Markus Wolf (to na nim John Le Carré wzorował przewijającą się przez jego powieści szpiegowskie postać Karli)

umiał umieszczać agentów w najbardziej, zdawałoby się, niedostępnych miejscach Niemiec Zachodnich. W 1974 r. okazało się na przykład, że jego agentem był Günter Guillaume, prawa ręka kanclerza Willy'ego Brandta.

HVA przekupywało nawet posłów Bundestagu, by głosowali za korzystnymi dla NRD ustawami. W zachodnioniemieckiej polityce, armii, gospodarce i ośrodkach naukowych działały 4 tys. wschodnioniemieckich szpiegów i ich oficerów prowadzących.

Kobieciarz i zdrajca

Werner Stiller dostał przydział do wydziału XIII i miał się zajmować przemysłem atomowym RFN. Sam nie szpiegował, tylko nadzorował pracę szpiegów, którzy przynosili niezwykle informacje.

Dzięki Reinerowi Fühlemu ps. „Klaus”, księgowemu w Centrum Badań Jądrowych w Karlsruhe, Stasi miała wgląd do największych sekretów zachodnioniemieckiego programu atomowego.

Równie ważnych informacji dostarczał wykładający na Uniwersytecie w Getyndze chemik prof. Karl Hauffe ps. „Fellow”.

A dzięki Wilhelmowi Paprothowi ps. „Wolfgang”, który pracował w oddziale koncernu IBM w Stuttgarcie, NRD zdobywała najnowsze technologie komputerowe.

Z czasem Stiller miał pod sobą 50 agentów, w tym dziesięciu działających w RFN. Jednak życie w NRD coraz mniej mu się podobało.

Później opowie dziennikarzom, że od samego początku gardził komunizmem, a do Stasi poszedł po to, by wyrządzić NRD jak największe szkody. Prawda była inna – postanowił zdradzić, bo jego świetnie zapowiadająca się kariera zwolniła. Stiller był żonaty i miał dwójkę dzieci, ale miewał też kochanki, o czym po czasie dowiadawali się jego szefowie. Tymczasem od funkcjonariuszy Stasi wymagano przykładowego życia rodzinnego, a przyłapanych na romansach degradowano.

Stiller nie zamierzał spędzić reszty życia, pracując przy podstuchach czy w jakiejś nudnej kancelarii.

Amerykanie po Francuzach

Tegel, styczeń 1979. Postawiony przez Francuzów pod ścianą Stiller otwiera walizkę i wyciąga akta Rolfa Dobertina. To urodzony w NRD fizyk, którego Stasi wysłała na studia do Paryża, a potem załatwiła mu pracę w CNRS, głównym ośrodku badań nuklearnych we Francji. To stamtąd przez kilkanaście lat wykradał francuskie sekrety.

Stasi płaciła mu w twardej walucie, a kopie przekazywała radzieckiemu KGB. Francuzi aresztują Dobertina dzień później. Dostanie 12 lat.

Po Francuzach na Tegel zjawiają się Amerykanie. CIA namawia Stillera do współpracy, obiecując mu dostatnie życie w USA, ale on odmawia. Nie chce współpracować z Amerykanami, bo w Stasi mówiło się, że CIA wykorzystuje zbiegów, a potem ich porzuca. A Stiller nie chce się znaleźć na lodzie.

Gdy wreszcie przyjeżdżają agenci BND i samolotem wywożą go do Bawarii, Stiller pyta ich z niepokojem: – A co z Ursulą?

– Mamy kłopoty techniczne – mówi wymijająco jeden z nich.

Kryptonim „Szakal”

Rok przed ucieczką Stillera funkcjonariusza wydziału M, który w Stasi odpowiadał za rutynową kontrolę listów, zaintrygował dziwny zapach koperty, którą miał w ręku.

Czuł stęchliznę – to znak, że koperta z wypisanym na wierzchu adresem w RFN długo znajdowała się w wilgotnym miejscu. Mogło to znaczyć, że list leżał na przykład w leśnej skrzynce kontaktowej.

Po jego otwarciu okazało się, że na niewinnym tekście opisującym kulisy jakiegoś rodzinnego sporu ktoś atramentem sympatycznym wypisał szereg cyfr. To zakodowana wiadomość dla BND.

W tym samym czasie z wydziału nasłuchu Stasi nadeszła wiadomość, że zachodniemiecka radiostacja zaczęła nadawać kilkunastominutowe wiadomości dla odbiorcy o kryptonimie 648. Przez radio nadawany jest ciąg liczb, które rozszyfrować mógł tylko adresat mający klucz.

Kontrwywiad połączył obydwie fakty i rozpoczął polowanie na szpiega o nieustalonej tożsamości, któremu nadał kryptonim „Szakal”. Pętla wokół

Stillera zaczęła się zaciskać.

List z domu wariatów

Stiller próbował nawiązać kontakt z BND już cztery lata wcześniej – w 1974 r. razem z nieformalną delegacją Stasi pojechał kibicować drużynie NRD startującej na rozgrywanych w RFN mistrzostwach świata w piłce nożnej. Zabrał ze sobą kopertę z zakodowanym tekstem, w którym proponował BND przejście na drugą stronę.

„Jeśli się zgadzacie, zgaście światła na górnym piętrze berlińskiego wieżowca koncernu Axela Springera” – pisał. Drugim sygnałem miało być zamieszczenie w gazecie „Die Welt” ogłoszenia o sprzedaży szczeniaków.

Po powrocie do NRD przez okno swojego pokoju w kwaterze głównej Stasi przy Normannenstrasse godzinami wpatrywał się w zachodniobерliński wieżowiec Springera. Światło nie gaśło. W „Die Welt” nie było ogłoszenia.

Stiller wysłał list do sądu w Augsburgu z prośbą o przesłanie go dalej do centrali BND w Pullach pod Monachium. Na odwrocie napisał adres nadawcy – szpital psychiatryczny. Zapewne ktoś, kto w augsburskim sądzie otworzył kopertę, uznał, że szereg cyfr faktycznie napisał wariat, i wyrzucił list do kosza.

Z pomocą brata

Stiller postanawia, że kolejną wiadomość przekaże BND przez posłańca. Osoby, której mógłby całkowicie zaufać, szuka aż cztery lata. W końcu znajduje ją w restauracji hotelu Panorama w ernerdowskim kurorcie Oberhof w Turyngii. Kelnerka Ursula Michnowski samotnie wychowująca nastoletniego syna zwraca uwagę urodą (szybko idą do łóżka) i nie boi się krytykować socjalistycznego państwa. Stiller najpierw sprawdza, czy nie została zwerbowana przez Stasi. Gdy okazuje się, że nie, wtajemnicza ją w swój plan. Ursula jako kelnerka świetnie zarabia, napiwki turyści płacą jej w twardej walucie. Żyje jej się dobrze, ale dziewczyna chce się wyrwać

z szarego NRD. Miała uciekać razem z bratem, gdy jeszcze można było swobodnie przejść ze wschodniego do zachodniego Berlina. Ale zawahała się, a w 1961 r. wybudowano mur.

Brat mieszka w Coburgu w Bawarii, blisko granicy z NRD, i co jakiś czas ją odwiedza. Zgadza się przewieźć przez granicę przesyłkę Stillera, która tym razem dociera do BND.

Kilka dni później agenci zachodniemieckiego wywiadu zjawiają się w domu brata Ursuli. Zamierzają nawiązać kontakt ze Stillerem, ale najpierw muszą sprawdzić, czy to nie prowokacja. Chcą też, by jeszcze przed ucieczką na Zachód porucznik Stasi wystawił im enerdowskich szpiegów.

Zaczyna się polowanie

O zdradzie Stillera w centrali Stasi wiedzą już 19 stycznia rano – rozbebeszone szafy pancerne w sekretariacie szefa XIII wydziału nie pozostawiają wątpliwości. Stiller to jedyny funkcjonariusz, który nie stawiał się w pracy. Bezpieka szuka go w mieszkaniach operacyjnych, z których korzystał, sprawdza przejścia graniczne.

Ze śluz na Friedrichstrasse nadchodzi informacja, że człowiek o rysopisie Stillera przeszedł wieczorem na Zachód.

Stasi aresztuje żonę Stillera, która mdleje na wieść, że mąż „uciekł z Republiki”. Po długich przesłuchaniach i wielokrotnych groźbach odebrania dzieci funkcjonariusze ze zdumieniem stwierdzają, że Stillerowa o niczym nie ma pojęcia. Także sąsiedzi i koledzy z pracy nie zauważyli niczego podejrzanego.

Tymczasem w RFN Stiller przekazuje funkcjonariuszom kontrwywiadu kolejne dokumenty. Po drugiej stronie łąby zaczyna się polowanie na szpiegów Stasi.

Polska odyseja Ursuli

- Z kim ja się zadaję? – zastanawiał się Stiller, gdy w 1978 r. dowiedział się,

że BND chce od niego materiałów, ale nie zamierza wysłać po nie kuriera. Mikrofilmy z zawartością teczek agentów, które Stiller wyniósł z archiwów, każą mu przesać w skrzynce, w toalecie pociągu, który przez NRD jedzie do Danii.

Okazuje się, że w centrali BND w Pullach nie radzą sobie z czytaniem rozkładów jazdy – wskazany pociąg nie zatrzymuje się na żadnej stacji w NRD. W tej sytuacji Stiller łamie zasady konspiracji i wysyła do RFN na ustalony wcześniej z BND adres telegram, że nie był w stanie przesać wiadomości. Potem razem z Ursulą ukrywa przesyłkę z mikrofilmami w pociągu relacji Lipsk – Mönchengladbach. I wysyła kolejny telegram.

Ukryte w toalecie mikrofilmy docierają na miejsce, choć obydwie telegramy przechwytytuje Stasi i rozpoczyna kontrolę wszystkich pociągów jadących na zachód. Śledztwo w sprawie szpiegów dostaje najwyższy priorytet – Mielke codziennie wysłuchuje raportów szefa kontrwywiadu.

Funkcjonariuszom Stasi pomogła nieudolność BND. Wywiad miał z zachodnioniemiecką pocztą umowę, że wszystkie listy kierowane na adres, który podano Stillerowi, będą przekazywane do centrali BND w Pullach pod Monachium. Ale umowa nie dotyczyła telegramów. A ponieważ adres, na jaki pisał Stiller, w rzeczywistości nie istniał, telegram zwrócono na enerdowską pocztę, z której go nadano. To wystarczyło, by zaalarmować bezpiekę.

Plus jest taki, że po ostatniej akcji BND przestaje mieć wątpliwości co do Stillera i postanawia go przerzucić wraz z Ursulą i jej synem na Zachód. W grudniu 1978 r. oboje odbierają ze skrzynki kontaktowej fałszywe paszporty, z którymi mają przekroczyć granicę NRD i RFN. Ale w dokumentach Stillera jest błąd – nie zgadza się kolor oczu.

– Co to za wywiad, który nie potrafi podrabiać paszportów?! – wścieka się porucznik. Nie tylko on ma złe zdanie o BND. Amerykanie już dawno pogardliwie nazwali swoich zachodnioniemieckich kolegów „agentami Myszki Miki”. Natomiast Stasi w centrali CIA w Langley uważano za bardzo niebezpiecznego przeciwnika.

W tym samym momencie Ursula popełnia błąd – wysyła do brata w RFN paczki z kryształowymi wazonami, których nie chciała stracić po ucieczce. Nadała je na tej samej poczcie, z której wysyłała telegramy i listy z zaszyfrowanymi meldunkami dla BND. Nie wie, że urząd jest pod obserwacją Stasi, które szukając „Szakala”, otwiera setki tysięcy listów – nie tylko tych wysyłanych na zachód.

Funkcjonariusze Stasi wyłapują kolejne wysyłane na zachód listy Stillera i Ursuli. Analizują ich charakter pisma. Gdy w ręce bezpieki wpadają paczki z wazonami, specjaliści bez trudu ustalają, że z BND koresponduje Ursula

Michnowski z Oberhofu.

Stasi chce mieć jednak absolutną pewność – powtórna analizę pisma przeprowadza najlepszy grafolog w NRD. Gdy potwierdza wcześniejsze przypuszczenia, Stasi wysyła do hotelu w Oberhofie agenta, by zdobył więcej próbek pisma Ursuli.

Jest sylwester 1978 r., trwa zima stulecia, która paraliżuje NRD. Hotel w Oberhofie jest zamknięty z powodu awarii ogrzewania. Agent dowiaduje się tylko, że Ursula wyjechała do matki. Tego, gdzie mieszka matka, w środku katastrofy klimatycznej nie jest w stanie sprawdzić. Trop się urywa.

W rzeczywistości zanim Stiller włamał się do szaf pancernych w centrali Stasi, Michnowski wyjechała do Warszawy i zameldowała się w podrzędnym hotelu Syrena. Czekala, aż BND wyciągnie ją z Polski.

Niestety, wysłany z nowymi paszportami zachodnioniemiecki agent musi przerwać operację, gdyż okazuje się, że stemple polskiej kontroli paszportowej zostały źle podrobione. Nie można ryzykować, że Ursula i syn, z którym ma uciec, wpadną na granicy. Stiller znowu wścieka się na bezradność BND.

Pata przełamuje zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher, który zgadza się, by uciekinierów – pierwszy raz w historii – przygarnęła ambasada RFN. 22 stycznia samochodem jednego z radców wyjeżdżają na Okęcie, gdzie wsiadają do samolotu lecącego do Helsinek. Stamtąd lecą prosto do RFN.

Powrót do Niemiec

Stiller po ucieczce mieszka w pilnie strzeżonym hotelu Alter Wirt w Monachium. Codziennie przez sześć godzin opowiada przesłuchującym go oficerom wywiadu i kontrwywiadu o swojej pracy. Zachodnioniemieccy bezpieczniacy nie mogą wyjść z podziwu. – Ma fenomenalną pamięć – mówią. Ilekroć zdradza jakieś nazwisko, siedzący na spotkaniu prokurator zrywa się do telefonu i krzyczy do słuchawki: „Brać go!“. W sumie kontrwywiad na celownik bierze 17 szpiegów Stasi. Do akcji rzuceni zostają wszyscy terenowi funkcjonariusze zachodnioniemieckich służb specjalnych. Wystawionych przez Stillera ludzi pilnują dzień i noc, na wypadek gdyby chcieli uciekać czy kontaktować się z ich oficerami prowadzącymi. Gdy

prokurator generalny wyda nakaz aresztowania, rzucają się na nich jak stado wilków.

O sukcesach kontrwywiadu trąbi zachodnioniemiecka telewizja odbierana w NRD – Bonn chce wyprowadzić Mielkego z równowagi i przestrzec swoich obywateli przed współpracą ze Stasi. Jedno i drugie się udaje.

Przez kilka miesięcy ernerdowski wywiad jest sparaliżowany, a o posadę obawia się nawet Markus Wolff. Co gorsza, dzięki Stillerowi na Zachodzie wiedzą, jak wygląda legendarny superszpieg, którego twarz była dotąd nieznana. Zdjęcie Wolffa na pierwszej stronie drukuje „Spiegel”. Jednak dzięki natychmiastowym ostrzeżeniom płynącym z centrali Stasi i ewakuacji części agentów najważniejsi z nich, w tym działający w BND, zostali ocaleni.

Mielke jest tak wściekły, że przeznacza milion marek na zamordowanie „Szakala”, a Wolff szuka wykonawców wśród zachodnioniemieckich kryminalistów. Ale BND przekazuje Stillera CIA. W USA przechodzi operację plastyczną i zmienia tożsamość – zostaje Peterem Fischerem. Amerykanie płacą mu za studia, potem robi karierę w słynnym banku Goldman Sachs. Żyje w luksusie, wakacje spędza w najdroższych kurortach.

Do Niemiec wraca po upadku muru, gdy jest jasne, że dojdzie do zjednoczenia. Stasi działa wówczas pod zmienionym szyldem jako Amt für Nationale Sicherheit – Urząd ds. Bezpieczeństwa Narodowego. Wie o Stillerze, ale nie może mu już nic zrobić. W połowie lat 90. niemieccy dziennikarze znajdują „Szakala” we Frankfurcie nad Menem, gdzie pracuje dla innego słynnego banku – Lehman Brothers.

Okazuje się, że kilka rzeczy nie zmieniło się, odkąd uciekł. Dalej ma słabość do kobiet – po ucieczce sześć razy się żenił i rozwodził, z Ursulą rozstał się jeszcze w USA. Nadal lubi ryzyko – zarabiał miliony i tracił je w nieudanych inwestycjach. Nie opuszczało go szczęście, bo pięć razy plajtował i mimo to wychodził na prostą. Ostatnio pracował w pośrednictwie nieruchomościami w Budapeszcie. Żyje skromnie, nie w luksusowym apartamencie, tylko w zwykłym mieszkaniu w wieżowcu. Rząd RFN wypłaca mu emeryturę należną oficerowi służb specjalnych. Stiller przekazuje pieniądze na konto berlińskiego muzeum Stasi. Działa w głównym budynku kompleksu ernerdowskiej bezpieki przy Normannenstrasse we wschodnim Berlinie. Główną atrakcją jest tu zachowany gabinet Ericha Mielkego.



Gerd Heidemann

Mamy rewelację stulecia – ogłasza 25 kwietnia 1983 r. tygodnik „Stern” i publikuje serię artykułów napisanych na podstawie odnalezionych w NRD dzienników Hitlera

„Ten mały Goebbels znowu ugania się za kobietami na boku. Jutro wydam tajne zarządzenie, że nie życzę sobie, by moi najbliżsi współpracownicy i przywódcy partyjni wdawali się w jakiegokolwiek romanse. Ja nie potrzebuję węszenia Himmlera. Tym bardziej że on kręci się też wokół Ewy”.

Gerd Heidemann pamięta, jak po raz pierwszy przeczytał te słowa zapisane rzekomo 30 kwietnia 1935 r. Gdy niecałe pół wieku później przeglądał gruby brulion zapisany pochyłym pismem, ręce mu się trzęsły. Zanim go otworzył, musiał zerwać dwie plomby z godłem III Rzeszy. Banderola na okładce ostrzegała, że zawartość jest ściśle tajna i że zawsze ma być pod kluczem. Nic dziwnego – chodziło o najintymniejsze zapiski Adolfa Hitlera.

Historię III Rzeszy trzeba pisać na nowo

Żaden z najbliższych współpracowników Hitlera nigdy się nie zająknął, że wódz pisał dzienniki. Przeciwnie – każdy z nich wiedział, że wolał dyktować. „Mein Kampf” miał napisać pod jego dyktando Rudolf Hess.

A w ostatnich dniach życia w berlińskim bunkrze kazał spalić adiutantowi

prywatne archiwum. Adiutant – jak wynikało z wielu relacji – zniszczył dokumenty w ogrodzie Kancelarii Rzeszy.

Heidemann, który był jednym z najlepszych zachodnioniemieckich dziennikarzy, wiedział to, a jednak gdy przeglądał pożółkłe strony, nie zapaliło mu się żadne światełko ostrzegawcze. Nie tylko jemu.

W 1985 r. sąd w Hamburgu uzna, że dziennikarz był opętany nazizmem, i za oszustwa oraz kradzież skaże go na cztery lata i osiem miesięcy więzienia. Dziś w swoim ciasnym mieszkanku w Hamburgu-Altonie Gerd dzień w dzień przegląda ogromne archiwum. Porządkuje wycinki z gazet i dokumenty, przesłuchuje nagrane wywiady. Emeryturę ma tak niską, że państwo wypłaca mu kilkaset euro zasiłku.

Ale nie traci ducha – nielicznym gościom udowadnia, że w sprawę został wrobiony.

25 kwietnia 1983 r. całe Niemcy widziały, jak Heidemann pozował do zdjęć z miną triumfującego Cezara. Na konferencję prasową w siedzibie tygodnika „Stern”, dla którego pisał od lat 50., zjechało 27 ekip telewizyjnych i ponad setka dziennikarzy z całego świata.

- Historię III Rzeszy trzeba pisać na nowo – zapowiadał reporter, pokazując bruliony, część składającej się z 62 tomów spuścizny po Hitlerze. A jego przełożeni mówili o największym od zakończenia II wojny światowej dziennikarskim odkryciu.

Trzy dni później „Stern” błyskawicznie znikł z kiosków. Globalna euforia trwała do 6 maja, gdy o 13.27 agencja Associated Press nadała pilną depeszę.

Przepustka do byłych nazistów

Gdyby Heidemann był przesądny, to trzymałby się od „Carin II” z daleka, bo nad tym 27,5-metrowym jachtem motorowym wisiąca klątwa. Pierwszym jego właścicielem był Hermann Göring, któremu wart 1,8 mln reichsmarek jacht z kajutami wyłożonymi szlachetnym drewnem oraz meblami obitymi skórą podarował niemiecki związek przemysłu samochodowego. Po wojnie jacht marszałka Rzeszy trafił do brytyjskiej rodziny królewskiej, która dość szybko się go pozbyła. Kolejnemu właścicielowi, bońskiemu milionerowi z branży drukarskiej, który kupił go za 160 tys. zachodnioniemieckich marek, rozpadło się małżeństwo.

Dziennikarz, gdy zobaczył jacht, dosłownie oszalał na jego punkcie. Postanowił go kupić, wyremontować i sprzedać z zyskiem jakiemuś amerykańskiemu zbieraczowi nazistowskich pamiątek. W końcu był to kawał historii – na pokładzie „Carin II” Göring gościł bonzów III Rzeszy i planował ofensywy Luftwaffe. Na kupno jachtu Heidemann potrzebował 160 tys. marek i kolejnych dziesiątek tysięcy na remont. Musiał zastawić dom, wziąć kredyt. Łódź kupił w styczniu 1973 r., ale chętnych na odkupienie jej już nie znalazł.

„Carin II” stała się jednak dla Heidemanna przepustką do hermetycznego środowiska żyjących w RFN dawnych nazistowskich notabli. Na pokładzie pojawiał się były SS-Brigadeführer Wilhelm Mohnke, który podczas oblężenia Berlina dowodził obroną dzielnicy rządowej i bunkra Hitlera. To on zeswatał reportera z Eddą Göring, jedyną córką marszałka Rzeszy. Wcześniej dziennikarz był trzykrotnie żonaty.

Jasnowłosa Edda bardzo przypominała ojca, ale była piękną kobietą. Gdy przyszła na świat w 1938 r., Niemcy świętowały, tak jakby urodził się następca tronu. Hitler został ojcem chrzestnym dziewczynki, nazywano ją małą księżniczką. Göring obsypywał ją cennymi dziełami sztuki, które na jego rozkaz rabowano z muzeów i galerii w okupowanej Europie. Po wojnie Edda odwiedzała swojego ojca siedzącego w norymberskim więzieniu. Zapamiętała go jako „wspaniałego człowieka”. W przeciwieństwie do innych dzieci nazistowskich bonzów nigdy nie powiedziała o nim złego słowa. Gdy na horyzoncie pojawił się znany, choć mało przystojny dziennikarz mówiący o Hermannie Göringu z taką czcią, była nim oczarowana. Heidemanna zaś pociągała w niej nie tylko uroda, ale również jej przeszłość.

Edda była jego wielką miłością. To ona wprowadziła go na salony, w których bywali dawni nazistowscy notable, i pomogła ich ściągać na „Carin II”. Czas mijał im od przyjęcia do przyjęcia.

Ich gościem był m.in. obergruppenführer Karl Wolff, adiutant i powiernik Heinricha Himmlera – skazany na 15 lat więzienia za udział w wymordowaniu setek tysięcy polskich Żydów. Odsiedział pięć lat, z więzienia zwolniono go z powodu ciężkiej choroby. Heidemann nagrywał rozmowy także z innymi nazistami, myślał o książce – wydawnictwo Gruner + Jahr, do którego należy „Stern”, wypłaciło mu nawet 60 tys. marek zaliczki. Związek z Eddą rozpadł się jednak po kilku latach. W 1978 r. generał Wolff był świadkiem na ślubie dziennikarza z jego czwartą wybranką Giną.

Pamiętnik – enerdowski ślad

Jest rok 1980. Aby spłacić długi, Heidemann sprzedaje pamiątki po Göringu. Trafia do zafascynowanego III Rzeszą przemysłowca ze Stuttgartu, który wyciąga z sejfu i pokazuje mu ozdobę swej kolekcji: pamiętnik Hitlera z wiosny 1935 r.

Gdy Heidemann zaczyna wypytywać o manuskrypt, słyszy niesamowitą historię o ostatnim samolocie z tajnym ładunkiem, który wyleciał z okrążonego Berlina do Salzburga, ale rozbił się po drodze. Oraz o generała służącym w armii NRD, który przemycił nazistowskie artefakty przez żelazną kurtynę. Enerdowiec dotarł do tajemniczego ładunku. W końcu pada nazwisko pośrednika. To dr Konrad Fischer, człowiek, który ma dostęp do dzienników Führera i wypożyczył ten tom.

Podniecony Heidemann wraca do Hamburga, ale w redakcji nikt nie wierzy w istnienie dzienników Hitlera. – Niech pan zostawi to nazistowskie gówno w spokoju! – mówi mu Peter Koch, redaktor naczelny.

Dziennikarze „Sterna” nie mogą zrozumieć, co się stało z ich kolegą, odkąd zaczął się zadawać z byłymi generałami SS.

Pilny słuchacz nazistów

Pierwsze zdjęcia Gerd opublikował w prasie pod koniec lat 40. Nie miał jeszcze 19 lat, a koledzy chylili czoło przed jego talentem i obrotnością. Młody fotograf potrafił odbierać chleb starym wygom. Szybko nauczył się pisać artykuły, które dołączał do zdjęć. Były coraz dłuższe i lepsze. W 1955 r. został przyjęty do „Sterna”, wówczas głównego tygodnika RFN.

Z biegiem lat staje się gwiazdą. W Meksyku odnajduje pisarza B. Travena, który jego zdaniem jest nieślubnym dzieckiem cesarza Wilhelma II. W Kongu podczas wojny domowej odkrywa oddział niemieckich najemników walczących pod rozkazami weteranów z Wehrmachtu.

Zdobywa World Press Photo za zrobione wówczas zdjęcie, na którym widać belgijskiego komandosa (Kongo było wówczas belgijską kolonią) celującego do leżącego na ziemi Murzyna. W 1970 r. podczas palestyńskiego powstania w Jordanii ratuje redakcyjnego kolegę, z którym pojechał relacjonować wydarzenia. Mężczyzna wpadł w ręce Palestyńczyków – ich

dowódca skazał go na śmierć za publikowanie kłamliwych jego zdaniem materiałów. Redakcja „Sterna” każe Heidemannowi trzymać się od sprawy z daleka, a pojmanego dziennikarza uznaje za martwego. Ale Heidemann ustala, że kolega znajduje się w hotelu w Ammanie, w samym centrum walk. Dociera do niego z białą flagą w ręku, po czym przekonuje Palestyńczyków i żołnierzy jordańskiej armii, by przestali na pół godziny strzelać. Dzięki temu z hotelu ucieka 60 osób, w tym znajomy Heidemanna. A on staje się bohaterem.

Tropi też żyjących w Niemczech nazistów. Odnajduje Carla Clauberga, lekarza prowadzącego eksperymenty na więźniach w Auschwitz i Ravensbrück. Demaskuje zbrodniarza, który podczas wojny na froncie wschodnim mordował cywili, a po wojnie został szefem policji w Wiesbaden. Opisuje też zbrodnie, jakich podczas dławienia warszawskiego getta dopuścił się Jürgen Stroop.

I nagle zmiana – zaczyna gościć na jachcie nazistów, których już nie rozlicza z niczego – po prostu nagrywa ich opowieści. O tym, że Eva Braun uciekła z bunkra Hitlera, że Göring ukrył swoje skarby na dnie jeziora, że Churchill podczas wojny utrzymywał kontakty z Mussolinim i zapewniał go, że włos mu z głowy nie spadnie, a potem kazał go zamordować. Heidemann węszy, ale tych sensacyjnych informacji nie jest w stanie potwierdzić.

Czasy się zmieniają. W latach 50. o III Rzeszy w RFN wiele się nie mówiło, w następnej dekadzie odbyło się sporo procesów nazistowskich zbrodniarzy, ale w latach 70. nazistowskie państwo stało się modne. Hitler i jego tajemnice fascynują nie tylko Heidemanna. Rynek hitlerowskich „dewocjonaliów” kwitnie, choć za propagowanie nazizmu i używanie zakazanych nazistowskich symboli można iść do więzienia nawet na trzy lata.

Dawni prominenci spisują swoje wspomnienia. Na przykład Albert Speer, minister uzbrojenia i nadworny architekt Hitlera, którego w Norymberdze skazano na 20 lat więzienia, generał Heinz Guderian, twórca niemieckiej doktryny pancerniej, a nawet SS-Obersturmbannführer Erich Kempka, osobisty kierowca Hitlera, który był z nim do końca. Dziennikarze docierają do ludzi, którzy mieli choćby tylko krótką styczność z Führerem, i przepytują ich przed kamerami. Jaki był jako człowiek? Jak się zachowywał?

Latem 1979 r. Heidemann leci z byłym SS-Obergruppenführerem Karlem Wolffem do Ameryki Południowej szukać Martina Bormanna, prawej ręki Hitlera, który rzekomo wyostał się z okrażonego Berlina. Przy okazji zamierza też odnaleźć Josefa Mengelego, lekarza obozowego z Auschwitz.

Ale ku rozczarowaniu redakcji jedyny zbiegły nazista, do którego reporter

dociera, to Klaus Barbie, były szef Gestapo w Lyonie. Heidemann namawia go do wywiadu, w którym „rzeźnik Lyonu” żałuje, że nie zabił więcej Żydów. – Kto słyszał o jakimś Barbiem – macha ręką naczelny. Materiał łąduje w szufladzie.

– W „Sternie” historia najnowsza nikogo nie obchodzi – mówi rozżalony Heidemann. Kilka razy składa wypowiedzenie, ale je wycofuje.

W sprawie dzienników Hitlera jednak nie odpuszcza. Skoro naczelny nie wykazywał zainteresowania, rozmawia za jego plecami z zarządem wydawnictwa. Szef Gruner + Jahr Manfred Fischer liczy, ile można zrobić na takim materiale: kilkanaście wydań „Sterna”, przedruki, książki, filmy. To może być żyła złota. Reporter też to wie. W umowie z wydawnictwem zastrzega sobie procent od zysków. Ma nadzieję, że spłaci długi, które dobijają już do 250 tys. marek.

Redaktor naczelny Peter Koch o sprawie dowiaduje się po fakcie i jest wściekły. Uspokaja go jednak wizja największego hitu w historii niemieckiej prasy. Sprawa dzienników dostaje kryptonim „Zielone sklepienie” – nazwa nawiązuje do znajdującej się w Dreźnie wielkiej kolekcji klejnotów należącej niegdyś do królów Saksonii.

Samolot rozbity w NRD

Gdyby Heidemann zachował zimną krew, zastanowiłby się, dlaczego na drzwiach mieszkania przy Aspergstrasse w Ditzingen (przedmieścia Stuttgartu) zamiast „dr Fischer” widniało „Kujau”. I nie kupiłby tak łatwo bajeczki, że to nazwisko byłej dziewczyny gospodarza.

A gdyby sprawdził, co o Konradzie Kujau wie policja, to dowiedziałyby się, że to notowany i wielce utalentowany fałszerz.

Gdyby zaś popytał w środowisku zbieraczy pamiątek po nazistach, to usłyszałby się, że dla Kujaua nie ma rzeczy niemożliwych – najcenniejsze dokumenty i przedmioty potrafi wyciągnąć spod ziemi. Nawet frak Hitlera i jego aparat fotograficzny. Wystarczyło dodać dwa do dwóch, aby dojść do wniosku, że człowiekowi, który rzekomo ma dzienniki Hitlera, nie można ufać.

Ale Heidemann Kujaua nie sprawdził. Jesienią 1980 r. razem z Thomasem Waldem, szefem działu historycznego w „Sternie”, którego wtajemniczył

w sprawę, pojechał do NRD badać sprawę rozbitego samolotu z ładunkiem, który Hitler polecił ukryć w Alpach.

Już w połowie lat 70. w Niemczech ukazała się książka, w której świadkowie opisywali wściekłość Hitlera, gdy dowiedział się, że junksers 352 wiozący jakieś rękopisy nie dotarł do celu. Ale dotąd sądzono, że rozbił się w Bawarii. W 1980 r. Heidemann odkrył, że samolot runął w Börnersdorfie pod Dreznem, w późniejszej NRD. Heidemann postanowił tam pojechać.

W wiosce dziennikarzom „Sterna” towarzyszyli wtedy funkcjonariusze wschodnioniemieckiej bezpieki Stasi. Heidemann znalazł las, w którym rozbił się junksers, i widział groby załogi. Bezpieczniacy zorganizowali przesłuchanie mieszkańców pamiętających katastrofę. Wprawdzie nikt nie widział, co przewoził samolot, ale Heidemann nabrał pewności, że lot wypełniający specjalną misję Hitlera faktycznie się tu skończył.

O tym, że w sprawie palce maczała Stasi, wiadomo od niedawna. W 2002 r. „Spiegel” i „Bild” napisały, że w archiwum bezpieki odnaleziono teczkę Heidemanna. Reporter od lat 50. był tajnym współpracownikiem. Miał fotografować instalacje atomowe w RFN i inne obiekty o strategicznym znaczeniu. – To bzdury – zaprzeczał reporter. – Byłem podwójnym agentem.

Jak twierdzi, gdy tylko podpisał zobowiązanie do współpracy ze Stasi – dostał pseudonim „Gerhard” – poinformował o sprawie zachodnioniemiecki kontrwywiad. Jego funkcjonariusze nakazali mu utrzymać kontakt z enerdowskim oficerem prowadzącym. O wszelkich zleceniach miał im meldować. Później do gry według Heidemanna miały się włączyć brytyjskie służby. Na zlecenie Stasi reporter fotografował szkołę policji w Kaiserslautern. Gdy jednak z NRD przyszedł rozkaz sfotografowania transportu amerykańskich pocisków z głowicami atomowymi w Bremerhaven, zadania nie wykonał. Prosił go o to kontrwywiad.

– Prowadziłem z nimi grę – mówił. Pieniądze, które dostał od Stasi, w sumie 6 tys. marek, także oddał kontrwywiadowi. W NRD chyba zdali sobie z tego sprawę, bo z odnalezionych akt wynika, że Heidemanna nie ceniono. W 1955 r. dziennikarz – w liście, który również miał uzgodnić z kontrwywiadem – wymówił Stasi współpracę.

Jednak reporter nie jest w stanie udowodnić, że był podwójnym szpiegiem. Akta kontrwywiadu RFN pozostają tajne. Znawcy służb specjalnych jego tłumaczenia wyśmiewają.

Co Stasi wiedziała o dziennikach Hitlera? Czy enerdowska bezpieka próbowała wykorzystać tę sprawę, by pogrążyć RFN? Czy manipulowała Heidemannem?

Wszyscy liczą miliony

- Jeśli dostarczy mi pan dzienniki, zapłacę 2 mln marek minus 10 proc. prowizji - oświadcza Gerd Heidemann Kujauowi. Jest śnieżna styczniowa noc 1981 r.

2 mln - tyle na zakup dzienników początkowo przeznaczyło wydawnictwo. Dwa miesiące później w Stuttgarcie reporter dostaje pierwsze trzy tomy. Jest przekonany, że właśnie przeszmyglowano je przez niemiecko-niemiecką granicę. Kujau twierdzi, że zaaranżował to jego szwagier, dyrektor muzeum w NRD, i jego brat, generał enerdowskiej armii. Ten sam, który zabezpieczył skrzynie z rozbitego junkersa.

Początkowo mowa jest o 27 tomach, ale potem Kujau mówi, że będzie miał dostęp do kolejnych, i podbija stawkę do 100 tys. marek za brulion. Heidemann przyjmuje nowe warunki. W sumie po trzech latach współpracy z Kujauem przywozi do Hamburga 62 dzienniki, które redakcja ukrywa w Szwajcarii w skarbcu bankowym.

W sumie Kujau dostanie ponad 9,3 mln marek w gotówce. Odbioru pieniędzy nigdy nie kwituje, bo Heidemann w umowie z wydawnictwem zastrzegł, że tożsamość dostawcy dzienników pozostanie tajemnicą.

Liczba ludzi zaangażowanych w „Zielone sklepienie” jest ograniczona do minimum. Heidemann i szef działu historycznego Walde pracują poza redakcją. Czytają dzienniki.

Poniedziałek - deszcz. Cały dzień siedziałem w domu. Wieczorem pożar Reichstagu - to opis wydarzeń z 27 na 28 lutego 1933 r. Po podpaleniu Reichstagu i zruceniu winy na komunistów Hitler sięgnął po dyktatorską władzę. Tymczasem z lakonicznego zapisu w dzienniku wynika, że tego dramatycznego dnia był wręcz znudzony.

Hrabia Ciano u mnie. Mussolini nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy. Powiedziałem już Göringowi, że traktuję go jako mojego namiestnika w Rzymie. Ciano jest prawie pokonany, stracił bardzo mocno, przestał zadzierać nosa. Nasze wojska weszły w międzyczasie do Warszawy - tak Hitler miał oceniać o stosunki z Włochami.

Czy w ogóle pokonamy te serbskie bandy? To właściwie główne zadanie Himmlera, ale on żyje w innym świecie, wydaje mi się, że w starogermańskim raju. Czasami mam wrażenie, że ma nierówno pod sufitem - tak Hitler oceniał swojego bliskiego współpracownika, szefa SS.

Niestety coraz bardziej męczy mnie bezsenność. Zaburzenia trawienia są coraz gorsze. Eva mówi, że czuć mi z ust - to pierwsza relacja dotycząca

dolegliwości, z jakimi musiał się borykać.

Eva musiała znieść wiele cierpień. Jak mi przekazali lekarze, to była cięża urojona. Eva sądzi jednak, że poroniła. Właśnie w momencie, gdy nie mam czasu, którego ta młoda kobieta potrzebuje, muszę ją zostawić samą. Ale mam nadzieję, że Eva, która jest bardzo mądra, szybko się z tym upora (...). Musiałem powiedzieć Evie, że jest młodą kobietą i że się z nią rozstanę, jeśli będzie na mnie dalej naciskać i mówić, że chciałaby spędzać więcej czasu u mojego boku i założyć ze mną rodzinę – dzięki tym słowom Heidemann poznał tajemnice alkwowy Hitlera.

Po latach koledzy Heidemanna, którzy później poznali treść dzienników, uznają, że kierownictwo redakcji musiała ogarnąć jakaś psychoza, skoro uwierzyli w autentyczność tych tekstów. Wszyscy chyba już liczyli miliony, jakie zarobią.

Wątpliwości zostają odrzucone

Gotyckie inicjały na okładkach dzienników brzmią „FH”. Redaktorzy „Sterna” łamią sobie głowę: Może „Führer Hitler”? A może „Führerhauptquartier” – kwatera główna Führera? Ta druga opcja zadowala dziennikarzy.

– Zbieraliśmy dowody na to, że dzienniki są prawdziwe. Do głowy nam nie przyszło, że może być inaczej – powie później Heidemann wypytującym go o szczegóły sprawy dziennikarzom. Nikt w redakcji nie wyobrażał sobie, że Kujau po prostu pomylił literki, które przyklejał do okładki brulionu. Gotyckie F trochę przypomina literę A.

W „Sternie” nikt nie zwrócił uwagi też na to, że literki są wykonane z pożącanego plastiku.

Uzdolniony plastycznie Kujau jako nastolatek sprzedawał podrobione przez siebie autografy. Został ślusarzem, pod koniec lat 50. uciekł z NRD do Berlina Zachodniego i przez kilkanaście lat prowadził tam firmę sprzątającą. Gdy splajtował, zajął się produkcją ręcznie zdobionych kufli dla rezerwistów Bundeswehry. Ale szybko się zorientował, że popyt na nazistowskie „dewocjonalia” jest większy od zapotrzebowania na ozdobne naczynia do piwa. A on potrafił podrobić praktycznie wszystko.

Na pomysł sfałszowania dzienników wpadł na długo przed poznaniem Heidemanna. Pierwszy tom napisał na maszynie, ale nie był zadowolony,

bo tekst nie wyglądał autentycznie. I wówczas postanowił pisać piórem – nauczył się dość wiernie podrabiać charakter pisma Hitlera oraz jego podpis.

Bruliony w twardych granatowych okładkach kupił w sklepie w Budziszynie w NRD. Za każdą sztukę zapłacił 3 enerdowskie marki i 42 fenigi. Nie używał starego atramentu, a żeby strony pożółkły, rozpylał nad nimi kawę albo herbatę.

Fałszerstwo można było wykryć w 30 sekund – wystarczyło podświetlić pożółkłe kartki światłem ultrafioletowym i stawały się bielutkie, co oznaczało, że do papieru dodano rozjaśniacza. Ta technologia pochodziła z początku lat 50. „Stern” nawet zlecił taką analizę, ale wynik został zignorowany.

Kujau wiedział sporo o III Rzeszy, zanim jeszcze zaczął pisać dzienniki. A fakty z życia Hitlera brał z literatury naukowej. Miał m.in. zbiór wystąpień Hitlera, raporty dzienne Wehrmachtu.

Ale i tak generał SS Wilhelm Mohnke, któremu Heidemann w maju 1981 r. czytał fragmenty, wyłapał poważne nieścisłości. Reporter wzruszał ramionami. Porażająca banalność niektórych wpisów też nie budziła zastrzeżeń; przeciwnie, wręcz fascynowała Heidemanna. Fragmenty o problemach zdrowotnych ukazywały Hitlera w nowym, bardziej ludzkim świetle.

Na miarę Watergate

„Stern” wynajął grafologów ze Szwajcarii i z USA, którzy mieli porównać dzienniki z próbkami pisma dyktatora. Nie mieli zastrzeżeń, bo i nie wiedzieli, że próbki pisma Hitlera dostarczył Kujau. Nikogo też nie dziwiło, że w dziennikach nie ma skreśleń.

Prof. Hugh Trevor-Roper, renomowany brytyjski historyk, który w 1945 r. na zlecenie brytyjskiego wywiadu przesłuchiwał ocalałych mieszkańców bunkra Hitlera, by ustalić, co się tam działo w ostatnich dniach przed końcem III Rzeszy, stwierdził w 1982 r., że dzienniki są na 99,5 proc. oryginalne. Gdy je zobaczył, przekonał go ogrom materiału. Przecież fałszerzowi nie chciałoby się zapisywać szwabachą, pracochłonnym pismem gotyckim, 62 brulionów. – To najbardziej doniosłe wydarzenie dotyczące historii najnowszej ostatnich dziesięcioleci. To taki sam dowód dziennikarskiej odwagi jak sprawa Watergate – twierdził.

Do tych samych wniosków dochodzi Gerhard Weinberg, amerykański

znawca III Rzeszy. Obu im „Stern” pozwala pobieżnie zapoznać się z dziennikami. Innych ekspertów nie pyta o zdanie z obawy, że sensacją wyjniucha konkurencja.

Gdy 25 kwietnia 1983 r. w siedzibie tygodnika trwa konferencja prasowa, a Heidemann triumfalnie pokazuje dzienniki, brytyjski historyk David Irving, który później zakwestionował Holocaust, próbuje udowodnić, że to fałszywki. Ochroniarze wyprowadzają go z sali. Media są w szoku, anglojęzyczni czytelnicy czekają, aż dzienniki Hitlera przedrukują „Sunday Times” (jego właściciel Rupert Murdoch zapłacił za to ponad 1 mln dolarów) i „Newsweek”.

28 kwietnia cały nakład „Sterna”, podwyższony z 400 tys. do 2 mln egzemplarzy, znikną z kiosków. Na okładce tygodnika widać stosik brulionów. Na pierwszym z brzegu – złote gotyckie litery.

„Odkryto dzienniki Hitlera” – głosi na czerwono tytuł.

W środku tekst: „Gdy nasz kolega Gerd Heidemann po raz pierwszy opowiedział kierownictwu redakcji, że jest na tropie nieznanymi dzienników Hitlera, nikt nie chciał mu wierzyć. Pokolenia historyków przeczesywały archiwa, chcąc zrozumieć Hitlera. Tysiące agentów czterech mocarstw przeszukiwało piwnice nazistowskich urzędów, przesłuchiwało mniej lub bardziej ważnych funkcjonariuszy reżimu, ale nie natrafiono na żaden trop prowadzący do dzienników. Nasz początkowy sceptycyzm zamienił się w całkowite zdumienie. Być może sami państwo rozumieją, gdy przeczytają to, co Heidemann zdobył. To po prostu nie do wiary” – pisze naczelny Peter Koch. Wylicza, że jego reporter zdobył dzienniki, obrazy, wiersze, podania, listy miłosne, których autorem był Hitler (wszystko to sporządził Kujau).

– Sama ilość spuścizny po Hitlerze uzasadnia wnioski, że historia III Rzeszy będzie musiała w części zostać napisana na nowo – kwituje redaktor.

W pierwszym numerze tygodnik dokładnie opisuje sprawę samolotu, na pokładzie którego dzienniki miały zostać wywiezione z oblężonego Berlina. Na zdjęciach Heidemann pozuje przy grobach pilotów i wśród szczątków maszyny. Na kolejnych stronach można zobaczyć kopie poszczególnych stron dzienników. Czytelnicy mogą porównać pierwszy wpis z 1932 r. (Hitler starannie kaligrafuje słowa) i ostatni, z 16 kwietnia 1945 r., dwa tygodnie przed jego samobójstwem – tekst jest ledwie czytelny.

Czy ludzie oszaleli? – pyta Wódcz we wpisie po serii antyżydowskich pogromów tzw. nocy kryształowej. Faktycznie, gdyby były to słowa Hitlera – a nie fałszerza – historię trzeba by pisać na nowo.

Jednak nie wszyscy kupują powieść o rozbitym w Saksonii samolocie i nowych faktach dotyczących wódza III Rzeszy. Padają zarzuty, że cała sprawa jest intrygą KGB, Stasi albo niemieckich neonazistów. „New York Times”

pisze, że chodziło o poróżnienie RFN i USA. „Die Zeit” – że o wbicie klina między RFN i ZSRR.

Niemieccy eksperci wątpią w prawdziwość dokumentów – podkreślają, że ekspertyzy „Sterna” są niewystarczające. Nie zgadzają im się też wyrażenia, które znajdują w dziennikach. – Słowa „uchowaj, Boże” nie przeszłyby mu przez gardło – mówią ludzie, którzy byli z Hitlerem w bunkrze.

Oburzenie wzbudza też to, że „Stern” na podstawie wybranych cytatów z pamiętnika robi z Hitlera całkiem przyzwoitego człowieka, który zabronił mordować Polaków (Himmler zlekceważył ten rozkaz), Żydów chciał tylko przesiedlać i wysłał Hessa do Wielkiej Brytanii z misją wynegocjowania pokoju. Całość ilustrują w „Sternie” zdjęcia przedstawiające ludzką twarz dyktatora.

– Protestuję przeciwko sposobowi przedstawienia tych materiałów – mówi Andreas Hillgruber, jeden z najważniejszych niemieckich historyków. Wielu dziennikarzy „Sterna” przyznaje mu rację, ale w drugim numerze poświęconym dziennikom redakcja pogardliwie nazwie Hillgrubera archiwalnym ajatollahem. „Spór o prawdziwość dzienników Hitlera był do przewidzenia. Nie przewidziano jedynie nierzeczowych podejrzeń, kubłów pomyj, które na redakcję »Sterna« wylali besserwisserzy, zazdrościcy, konkurenci i polityczni nienawistnicy” – pisze we wstępie Henri Nannen, założyciel tygodnika.

Jak można było?

– Ale jaja – tak kanclerz Helmut Kohl, który 6 maja 1983 r. wczesnym popołudniem siedzi na debacie w Bundestagu, komentuje przyniesioną przez szefa MSW Friedricha Zimmermanna wiadomość. Agencja Associated Press właśnie podała, że dzienniki to fałszywki. Eksperci z Archiwum Federalnego i Federalnego Urzędu Kryminalnego po analizach chemicznych uznali, że bruliony i atrament wyprodukowano po wojnie. A nowa analiza grafologiczna oparta na prawdziwych rękopisach Hitlera wypadła negatywnie. – Od początku wiedziałem, że to podróbki – mówi z ulgą minister Zimmermann. Dyskusja, którą wywołał „Stern”, zmierzała w fatalnym kierunku.

Sensacja historyczna stulecia zamieniła się w największy skandal w historii niemieckiej prasy. A także niezwykle drogie fałszerstwo – Kujau

wszak już zdążył pobrać ponad 9 mln marek!

- Każdej gazecie w RFN zdarzyło się popełnić kompromitujący błąd czy naruszyć czyjeś dobra osobiste. Ale „Stern” przez swoją nierzetelność naraził na szwank świadomość historyczną Niemców. Jak można było rzekome zapiski najważniejszego Niemca tego wieku opublikować bez sprawdzenia? - zżymał się naczelny „Spiegla” Rudolf Augstein. Ubolewał, że skandal uderza w wiarygodność wszystkich dziennikarzy. - „Stern” tonie - komentował tygodnik „Die Zeit”. Nakład gazety załamuje się, w redakcji wybucha bunt - pracownicy domagają się głów winnych.

- Wierzyłem, że dzienniki są prawdziwe, bo nie mieściło mi się w głowie, że można było złamać tyle zasad dziennikarskiego rzemiosła. To musiało się skończyć katastrofą - mówi Michael Seufert, szef działu politycznego, który prowadzi wewnątrzredakcyjne dochodzenie.

W jego trakcie Heidemann nie chce ujawnić źródła, ale w końcu podaje numer telefonu do Kujaua. Po kierunkowym reporterzy orientują się, że mieszka pod Stuttgartem. Namierzają jego dom. Wkrótce zdjęcie fałszerza mierzącego do fotoreportera ze strzelby pojawia się na okładce tygodnika.

„To ten człowiek dostarczył nam dzienniki” - głosi podpis.

W ciągu kilku tygodni z redakcji odchodzą wszyscy ludzie związani z dziennikami. Heidemann zostaje wyrzucony dyscyplinarnie.

A Kujau się śmieje. Twierdzi, że mówił Heidemannowi, że podrabia dzienniki, a dziennikarz oszust płacił mu za nie dużo mniej, niż brał z wydawnictwa. Czyli kradł. A w międzyczasie spędzał urlop z żoną na pokładzie wycieczkowca, co kosztowało 27 tys. marek.

Redakcja prowadzi własne śledztwo poza Niemcami - okazuje się, że zadłużony wcześniej Heidemann kupił dwa domy w hiszpańskim kurorcie Denia.

Podczas procesu karnego - Heidemanna oskarżono o przywłaszczenie sobie pieniędzy „Sterna” - reporter zaprzecza wersji Kujaua. Na dowód swej niewinności przedstawia nawet nagrane z ukrycia rozmowy z fałszerzem, ale sąd je odrzuca i uznaje dziennikarza za winnego. Dostaje cztery lata i siedem miesięcy więzienia. Fałszerz dostanie karę o dwa miesiące krótszą. Z powodu raka krtani wyjdzie po dwóch latach i zostanie celebrytą. Będzie kandydował na burmistrza Stuttgartu, w 2000 r. przegra jednak walkę z chorobą.

Heidemann, odkąd jego dziennikarska reputacja legła w gruzach, wegetuje. Jest bankrutem, ma 700 tys. euro długów. Żona go opuściła, hiszpańskie domy dawno przejęły banki. Odebrano mu też „Carin II”. Jacht rdzewieje w porcie Al-Dżuna nad Morzem Czerwonym. Chętnych na zakup nadal nie ma.

W 2013 r. „Stern” opróżnia skarbiec w szwajcarskim banku. Nieopublikowane tomy sfałszowanych dzienników Hitlera zostają przekazane do niemieckiego archiwum państwowego.



Margot odbiera odznaczenie organizacji FDJ, partyjnej młodzieżówki, w której przyszła minister oświaty zaczęła karierę.

Margot Honecker

*Stworzyła poprawczaki, które były obozami koncentracyjnymi dla dzieci.
Po zjednoczeniu Niemiec to barbarzyństwo nie zostało rozliczone*

Sąsiedzi z La Reiny, bogatej dzielnicy stolicy Santiago, mówią o niej „señora Margot”. Wiedzą, kim jest. Niektórzy nawet jej współczują. Była wszechwładna minister oświaty NRD, żona obalonego sekretarza generalnego partii komunistycznej i przewodniczącego Rady Państwa Ericha Honeckera nie jest pierwszą Niemką, która znalazła w Chile schronienie. Po wojnie osiedliły się tu tysiące nazistów. Wśród nich zbrodniarze, tacy jak Walter Rauff, oficer SS nadzorujący mordowanie Żydów w przenośnych komorach gazowych. Do Chile uciekli przed szubienicą.

Margot Honecker żyje za ceglany murem, nie przyjmuje dziennikarzy i ma zastrzeżony numer telefonu. Mur ma chronić mieszkańców osiedla Comunidad Andalué przed obcymi, w tym przed niemieckimi dziennikarzami. Odkąd Margot przybyła do Chile w 1992 r., nie dają jej spokoju. Tabloid „Bild”, który przez półwiecze swojego istnienia nie napisał o Honeckerach dobrego słowa, zapłaciłby tysiące euro za zdjęcia tego, co kryje się we wnętrzach wartej 100 tys. euro rezydencji. A w szczególności za fotografię urny z prochami zmarłego w 1994 r. Ericha Honeckera, która podobno stoi w jednym z pokoi.

W chilijskiej ksiąźce telefonicznej znalazłem numer córki Honeckerów Sonji, która mieszka w tej samej dzielnicy.

- Chciałabym porozmawiać o pani matce – proszę przez telefon.
- To wykluczone.

Jeszcze gdy Berlin dzielił mur, życie prywatne Honeckerów było pilnie

strzeżoną tajemnicą państwa. Dziewczynkę przez pierwsze kilkanaście lat życia szczerze odgradzano od świata. W dokumentach politechniki w Dreźnie, gdzie studiowała chemię, figurowała pod panińskim nazwiskiem matki. Prawdy o jej rodzicach nie znały nawet jej koleżanki.

Teraz też bardzo trudno się czegoś dowiedzieć.

Wiadomo, że Margot nie straciła wiary. – O upadku komunizmu w Europie w 1989 r. mówi, że to była zdrada. Słów „przemiany”, „odwilż” nie użyła nigdy – opowiada dziennikarzom telewizji ARD Carlos Puccio, zaufany przyjaciel Margot Honecker. Jesienią 2009 r., gdy Niemcy świętowały 20-lecie upadku muru berlińskiego, na YouTube pojawiło się przesłanie Frau Honecker do rodaków. Świętowała 60. rocznicę założenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej, państwa, które nie istnieje, a któremu poświęciła życie.

– Tego, co osiągnęliśmy w NRD, nie da się skreślić. Młodzi coraz częściej pytają o to, jak wyglądały socjalistyczne Niemcy. Widzą, że społeczeństwo trzeba zbudować na nowo – mówi siwowłosa Honecker na tle enerdowskiej flagi. Grupka siedzących przy stole słuchaczy, jej znajomych i chilijskich komunistów, bije brawo. W Niemczech filmik wywołuje irytację. Byli dysydenci domagają się oficjalnej reakcji rządu.

– Ślepa wiara w komunizm to kłamstwo życia Margot Honecker – mówi Wolfgang Templin, enerdowski opozycjonista prześladowany przez Stasi.

– Proszę nie rozliczać jej zbyt surowo. Była idealistką, chciała lepszych Niemiec – mówi mi prof. Michael Lemke, emerytowany historyk ze wschodnioberlińskiego Uniwersytetu Humboldtów.

Młodsza i piękniejsza

Grudzień 1949 r. Delegacja enerdowskich komunistów leci do ZSRR. W programie bal na Kremlu i spotkanie z Józefem Stalinem, który obchodzi 70. urodziny. Delegacji przewodniczy 40-letni Erich Honecker, komunista, który dziesięć lat spędził w nazistowskich więzieniach. Wśród notabli NRD uchodzi za gwiazdę. Jest bliskim współpracownikiem Waltera Ulbrichta, szefa Sozialistische Einheitspartei Deutschlands (Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec), i szefem komunistycznej młodzieżówki Freie Deutsche Jugend (Wolnej Niemieckiej Młodzieży).

Pobyt w Moskwie to dla Niemców odskocznia od trudnej codzienności. W istniejącej od 7 października NRD zniszczone miasta ciągle przypominają o wojnie. Do rządowego samolotu zaproszono także Margot Feist, 22-letnią działaczkę FDJ z Halle koło Lipska. Podróż jest nagrodą za jej osiągnięcia w pracy z pionierami, ale wtajemniczeni wiedzą, że Feist jest nie tylko podwładną Honeckera, lecz również jego kochanką.

Wkrótce o ich romansie dowiaduje się żona Honeckera, wówczas 40-letnia Edith Baumann. Natychmiast pisze na niewiernego męża donos do Ulbrichta: „Erich wraca o pierwszej w nocy i dziko fantazjuje. Trzeba to ukrócić”.

W szczególności nie wchodzi. Pisze tylko, że Erich i Margot robią „świństwa”, a jej mąż wie, że romans doprowadzi go do zguby, lecz „po prostu nie potrafi się z dziewczyną rozstać”. Baumann proponuje więc, by ktoś porozmawiał z Margot i przekonał ją, by dała Honeckerowi spokój. A najlepiej zesać ją na prowincję, z dala od odpowiedzialnego towarzysza.

To, że Erich Honecker związał się z młodziutką Margot, nie dziwi. Była filigranową dziewczyną o czarującym uśmiechu. Jednym słowem: ślicznotka. A ze starszą o trzy lata Baumann Honecker ożenił się tylko z poczucia partyjnego obowiązku. Z komunistyczną działaczką spędzał w pracy mnóstwo czasu, zaczął się z nią spotykać prywatnie, w końcu wylądowali w łóżku. W 1949 r. na świat przyszła ich córka Erika. Erich nie miał innego wyjścia. Musiał się żenić.

W sprawie romansu z Margot musiała się wypowiedzieć partyjna wierchuszka. Sprawa była tym bardziej bulwersująca, że w grudniu 1952 r. panna Feist urodziła Honeckerowi córeczkę Sonję.

Sprawa stanęła na posiedzeniu KC. Honecker i Feist zostali ukarani i rozdzieleni. Ją partia zgodnie z życzeniem Baumann wysłała do moskiewskiej szkoły Komsomołu, on poszedł w odstawkę. Ich polityczne kariery się zatrzymały.

Do tej pory Margot błyskawicznie pięta się w górę. Skończyła tylko szkołę powszechną, a podczas wojny pracowała jako telefonistka, ale w 1945 r. wstąpiła do partii. Rok później została członkinią władz FDJ w powiecie, potem awansowała do szefostwa FDJ w landzie Saksonia-Anhalt, a w końcu znalazła się we władzach krajowych organizacji. Powierzono jej nadzór nad Młodymi Pionierami, czyli komunistyczną organizacją dla dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. W 1949 r. została najmłodszą deputowaną do Izby Ludowej, jednoizbowego parlamentu NRD.

Dlaczego stateczny Honecker zaryzykował dla niej karierę? W latach 90. mówił w jednym z wywiadów, że imponowała mu swoim zaangażowaniem.

Prof. Lemke: – To była bez wątpienia miłość. Margot była piękną dziewczyną.

Wzorowa, socjalistyczna para

Na początku znajomości Margot mówiła o Honeckerze „wielki szef”.

– Była nim zafascynowana, ale też myślała o sobie. Wiedziała, że z Erichem łatwiej pójść w górę – wyjaśnia Lemke.

Obydwoje pochodzili z robotniczych rodzin. Łączyło ich marzenie, żeby na gruzach III Rzeszy zbudować nowe Niemcy, żeby dzięki socjalizmowi wypłenić nazizm. – Tymczasem jedną dyktaturę zamienili w drugą – mówi Wolfgang Templin.

W poświęconym Honeckerom reportażu niemieckiego filmowca Florianana von Stettena współpracownicy Margot z ministerstwa oświaty wspominają, jak na początku lat 50. Honecker czekał na nią pod gmachem. Jego los się ważył. Zwierzał się Margot, że być może wyrzucą go z partii i będzie musiał pracować jako robotnik. Z zawodu był bowiem dekarzem. Zapewniał, że mimo to jej nie opuści.

Los zaczyna im sprzyjać dopiero pod koniec lat 50.

On broni się przed partyjnymi intrygami, zostaje w NRD numerem dwa – po Ulbrichcie. W Komitecie Centralnym SED odpowiada za sprawy bezpieczeństwa, a potem za gospodarkę. Po dwóch latach sporów Edith Baumann godzi się na rozwód. Wówczas okazuje się, że partyjni koledzy zupełnie inaczej patrzą na związek z Margot – już nie jest to megalomania czy skok w bok niegodny komunisty. Po ślubie Honeckerowie stają się wzorcową socjalistyczną parą. Telewizja pokazuje, jak tańczą na balach, jeżdżą po kraju w ramach gospodarskich wizyt. Młodzi komuniści chcą być tacy jak Erich i Margot.

W 1961 r. Honecker na polecenie Ulbrichta nadzoruje budowę muru berlińskiego. Dziesięć lat później z błogosławieństwem Moskwy przeprowadza przewrót pałacowy i przejmuje stery w państwie. W górę idzie także Margot. Zostaje wiceministrem oświaty, a w 1963 r. staje na czele resortu. Enerdowskimi żłobkami, przedszkolami i szkołami będzie kierować ponad ćwierć wieku. Swoje piętno odcisnie na milionach enerdowskich dzieci.

Margot daje Niemcom szkołę

Jej kariera to ewenement w bloku wschodnim. W socjalizmie, choć głosił równouprawnienie płci, polityką zajmowali się głównie mężczyźni. Zdarzało się, że kobiety wchodziły do komitetów centralnych, ale w roli paprotek. A Margot miała w rękach realną władzę. – Oświata była jej niepodzielnym, dogmatycznym królestwem. Dzięki dostępowi do męża potrafiła pociągać za wiele innych sznurków – opowiada Templin.

Towarzysze, którzy nie potrafili normalnymi kanałami dostać się przed oblicze sekretarza generalnego, prosili Margot o pośrednictwo. Niektórzy twierdzili, że Erich był marionetką w rękach żony. – Przewyższała go inteligencją i wiedzą. On zatrzymał się na etapie więziennej biblioteki, ona, choć niewykształcona, ciągle się uczyła – mówi prof. Lemke.

Pod rządami Margot szkoły stały się równie ważnym sektorem jak przemysł ciężki. To tam socjalistyczni nauczyciele mieli formować nowe pokolenie Niemców. W praktyce oznaczało to polityczną indoktrynację dzieci od pierwszego dnia w szkolnych murach – enerdowska szkoła to apele, rozpoczynanie lekcji od recytowania komunistycznych formułek, wymagane członkostwo uczniów w organizacji pionierów, żelazna dyscyplina i pełna kontrola nauczycieli nad uczniami. Oraz kontrola Stasi. Dyrektor miał obowiązek informować bezpiekę o każdym incydencie, który miał miejsce w jego szkole, nawet o każdym podejrzeniu. Na sprzeciw uczniów wobec nauczycieli natychmiast reagowano represjami.

– Pani Honecker starannie dobierała kadry. Przyszłych nauczycieli bacznie obserwowano podczas studiów. Tych, którzy byli nie dość gorliwymi wyznawcami marksizmu, odsiewano. W NRD szkolnictwo było najbardziej dogmatyczne w całym bloku wschodnim – opisuje Templin. W latach 70. we wschodniemieckich szkołach nie tolerowano nawet dżinsów. Zdaniem enerdowskich nauczycieli ich noszenie obrażało uciskanych robotników w USA, którzy dżinsy zakładali jako ubranie robocze.

Jeden opowiedziany na szkolnym korytarzu dowcip polityczny mógł zaważyć na całym dalszym życiu ucznia.

Polityczną indoktrynację prowadzono na lekcji nauka o ojczyźnie. W VII klasie dochodziły zajęcia o nazwie „wydajna praca”. Uczono na nich o wyższości socjalistycznej gospodarki, a nauczyciele zachęcali uczniów do szybkiego wyboru przyszłego zawodu. W IX i X klasie pojawiało się przysposobienie obronne, na którym chłopcy, przyszli rekruci, uczyli się od oficerów enerdowskiej armii rzucać atrapami granatów i strzelać

z karabinków pneumatycznych. Ci, którzy nie chcieli brać udziału w zajęciach, o karierach w państwie robotników i chłopów mogli zapomnieć.

W NRD szkoła podstawowa trwała dziesięć lat. Do średniej nie puszczano każdego. O tym, które dziecko będzie mogło się uczyć dalej, decydowała rada pedagogiczna podstawówki. Za czasów Margot Honecker ustalono, że co najwyżej 12 proc. uczniów z danego rocznika zostanie dopuszczonych do matury. Reszcie zostawała nauka zawodu.

- Do szkoły średniej nie mogli się oczywiście dostać ludzie, którzy splamili się szerzeniem wrogiej propagandy. Albo pochodzili z niepewnych rodzin, które utrzymywały kontakty z krewnymi na Zachodzie – opisuje Templin.

W dzienniku obok nazwiska ucznia było wpisane jego pochodzenie. Największe szanse na maturę miały dzieci robotników i chłopów. Najmniejsze – pastorów. Wyjątkiem była Angela Merkel, która w NRD zrobiła doktorat. Jej ojciec Horst Kasner, pastor z miasta Templin, miał jednak wielu wpływowych przyjaciół.

- Mimo wszystko szkoły w NRD były lepsze niż te w RFN. Dzieci uczyły się więcej, nie było problemów wychowawczych – komentuje prof. Lemke. Wschodnioniemiecki system szkolny przyjęto w Finlandii, usuwając z niego socjalistyczną ideologię i oczywiście sztywny próg przyjęć do szkoły średniej. W rankingu PISA, który porównuje umiejętności uczniów z najbogatszych krajów świata, Finowie są teraz na pierwszym miejscu, zjednoczone Niemcy – w środku tabeli.

Dyskusja o wyższości enerdowskich szkół nad zachodnioniemieckimi trwa od lat. Gdy na wschodzie Niemiec dzieci chodziły do tej samej szkoły przez całą dekadę, na zachodzie po IV klasie dzieci dzielono według wyników. Najlepsze szły do gimnazjum, gorsze do szkół realnych i głównych (odpowiedników polskich techników i zawodówek). Gimnazjaliści robili matury i szli na studia, dzieci ze szkół głównych kończyły jako robotnicy. Ten system cementuje podziały społeczne, bo dzieci robotników i bezrobotnych nie mają szans na zdobycie wykształcenia. A w podstawówkach NRD nauczyciele mieli za zadanie wyrównywać poziom.

Po zjednoczeniu w byłym już NRD wprowadzono model zachodnioniemiecki, choć część ekspertów i publicystów wzywała, by korzystać z doświadczeń resortu Margot Honecker.

- Jednak nawet tych pozytywnych elementów szkoły według wzoru Margot Honecker nie dało się uratować, bo tamta szkoła była elementem systemu politycznego i upadła razem z nim – uważa Jürgen Baumert, dyrektor Instytutu Maxa Plancka dla Badań nad Kształceniem.

Terapia szokowa

Jest w Niemczech miejsce szczególnie związane z Margot. To Torgau, 20-tysięczne miasteczko w północnej Saksonii. Rok po tym, gdy Honecker została ministrem, poleciła otworzyć tam podlegający jej poprawczak. Szybko stał się postrachem młodzieży.

- To był obóz koncentracyjny dla dzieci - wspomina Marcus Meckel, enerdowski dysydent, który już jako poseł po 1990 r. badał skalę łamania prawa przez władze NRD.

Nie trzeba było być przestępcą, by tu trafić. Wystarczyło np. wagarować. Albo być dzieckiem dysydenta, który domaga się zgody na wyjazd do RFN. O osadzeniu w poprawczaku decydowali urzędnicy. Kilkumiesięczny pobyt miał wyprostować charakter. Jednak z Torgau młodzi ludzie wychodzili raczej okaleczeni.

- Byli wychowankowie opowiadali nam, jak ich bito - wspomina Meckel. Pobyt w Torgau zaczynał się od wsadzenia głowy do klozetu i spuszczenia wody. Bicie, lżenie, ćwiczenia aż do skrajnego wyczerpania - tak łamano dzieci. O tych metodach mówiono, że to „terapia szokowa”.

- Najgorsze barbarzyństwo. Po zjednoczeniu Niemiec nie zostało rozliczone - mówi Meckel. W kwietniu 2010 r. okazało się, że w Torgau regularnie gwałcono dziewczęta. O wszystkim doskonale wiedziała Stasi. Nikt nie kiwnął palcem. Pranie brudów z Torgau kompromitowałyby enerdowski system wychowawczy i towarzyszkę Honecker, która stworzyła cały system enerdowskich poprawczaków. W 1989 r. takich placówek było w kraju już 36. Przebywało w nich 2607 dzieci.

Margot Honecker zdecydowała też, aby odbierać potomstwo obywatelom NRD, którzy wpadli w ręce Stasi podczas próby ucieczki na Zachód lub których oskarżono o szpiegostwo. Praw rodzicielskich pozbawiano ich z paragrafu o zwalczaniu „zachowań antyspołecznych”. Dzieci znikwały bez śladu, a próby ich odszukania kończyły się dla rodzin kolejnymi represjami. O tej praktyce „Spiegel” pisał już w połowie lat 70. Ale prawda o odbieraniu dzieci i aranżowanych przez władze NRD adopcjach wyszła na jaw dopiero po zjednoczeniu Niemiec. Części rodziców udało się po latach odnaleźć synów i córki, inni szukają dalej. Z powodu zniszczenia dokumentów skala zjawiska jest nieznana. Mówi się o kilku tysiącach dzieci.

Margot i Wolf

Pod koniec lat 70. zniechodzoną Margot w NRD nazywano „fioletową wiedźmą” (na taki kolor farbowała włosy) lub „fioletowym smokiem”. Choć ciągle była atrakcyjną kobietą, ludzi odrzucał jej fanatyzm. Jej mąż, przejmując ster NRD, miał zreformować i zliberalizować kraj, a tymczasem oboje dokręcali śrubę. Partia ingerowała we wszystkie aspekty życia obywateli, Stasi ich inwigilowała i torturowała, a wiara Honeckerów w socjalizm była niewzruszona.

Templin: – Im bliżej ludzie poznawali Margot, tym bardziej się jej bali. Potrafiła bezwzględnie walczyć o wpływy. Nie wybaczała.

Kiedy żona jednego z kacyków przysłała na partyjną uroczystość także w ufarbowanych na fioletowo włosach, Margot się wściekła i narobiła jej mężowi takich kłopotów, że o mały włos nie stracił stanowiska. O żonach partyjnych dygnitarzy i ministrów w ogóle nie miała dobrego zdania.

– Te baby leżą w swoich domach brzuchem do góry, nigdzie nie pracują, nie mają nic do roboty i jeszcze narażają państwo na koszty, bo latają z mężami w zagraniczne podróże – mówiła. Nie oszczędzała nawet powszechnie lubianej Raisy Gorbaczowej. Żona radzieckiego genseka podpadła jej tym, że gdy w 1986 r. przyjechała do Berlina, natychmiast kazała się wieźć na drugą stronę muru na zakupy. – Po co tam te baby? Tam się robi globalną politykę! – oburzała się, oglądając w telewizji Gorbaczową i żonę prezydenta USA Nancy Reagan, które towarzyszyły mężom podczas rozmów rozbrojeniowych w Reykjavíku w 1986 r.

W latach 70. Honeckerowie zamieszkali w rządowej willi w Wandlitz pod Berlinem. Łączyło ich coraz mniej. Margot spędzała czas wśród wschodnioblerlińskich artystów, Erich relaksował się na polowaniach. Spali osobno. Podobno dlatego, że prowadzili różne tryby życia. On siedział do nocy, ona zrywała się z łóżka o brzasku. Ich uczucie wygasło.

– Małżeństwem byli tylko na papierze. Zajmowali się władzą i pałacowymi rozgrywkami – opisuje Templin. Tego, jak wyglądało ich prywatne życie, nie wiadomo dokładnie. Mówiło się, że Erich romansował ze swoją masażystką. Podobno kupił jej fiński domek nad jeziorem, подарował telewizor, gramofon i wideo.

Margot przypisywano romanse z enerdowskimi aktorami. Jej osobisty kierowca Georg Melzer w opublikowanych w 2010 r. wspomnieniach pisze, że często zostawiał ją pod dworcami S-bahn, berlińskiej kolejki miejskiej, a ona ruszała w nieznaną. Dla niepoznaki zakładała na głowę chustkę.

W skórzanej aktówce na wszelki wypadek nosiła mały pistolet, chromowanego browninga. Czy potrafiła się nim posługiwać? Na to pytanie jej kierowca nie znał odpowiedzi.

Ubierała się w skromne szare kostiumy, ze spódnicą za kolana. Szył je jej osobisty krawiec z luksusowej sieci domów mody Exquisit. Płaciła nawet po 3 tys. marek za sztukę. To kilka pensji robotnika...

Najsłynniejszym kochankiem Margot – według powtarzanych do dziś plotek – miał być Wolf Biermann, bard enerdowskiej opozycji, z którym znała się od dzieciństwa. W latach 30. małą Margot przygarnęła mieszkająca w Hamburgu babcia Biermanna. Ojciec przyszłej minister przygotowywał wówczas komunistyczną rewolucję w Halle. Aresztowało go jednak Gestapo i zesłało do obozu koncentracyjnego. A matka dziewczyny wkrótce zmarła.

Po wojnie Biermann uznał, że socjalistyczna NRD będzie dla niego lepszą ojczyzną, i osiedlił się na wschodzie. Starał się o członkostwo w partii, chciał skończyć we wschodnim Berlinie studia, ale komuniści traktowali go podejrzliwie. Był zbyt niepokorny. Pracował jako asystent reżysera w teatrze, ale cenzura jeszcze przed premierą zdejmowała sztuki, które chciał wystawiać. Pisał więc wiersze i piosenki.

„Tak po ludzku czuję się związany z tymi biednymi psami Stasi, co w śnieg czy deszcz muszą mnie czujnie pilnować” – pisał w 1970 r. w „Balladzie o Stasi”. Enerdowska publiczność nie miała szans poznać jego twórczości. Miał zakaz występowania. Koncerty dawał więc na zachodzie. Miał paszport RFN, mógł wyjeżdżać.

Jak to możliwe, że koncertujący w RFN i kontestujący reżim człowiek mieszkał nie w celi, lecz w centrum wschodniego Berlina, gdzie nielegalnie nagrywał kasety? Według kilku byłych dysydentów to Margot go chroniła. Ich ostatnie spotkanie miało się odbyć w 1976 r., tuż przed tournée Biermanna w RFN. Margot przyszła do jego mieszkania i przekonywała, by nie wyjeżdżał, inaczej zostanie pozbawiony enerdowskiego obywatelstwa. – Gdybyś tylko był na właściwej drodze, zostałbyś najważniejszym poetą w NRD – przekonywała. Rozmowa, choć miała się skończyć w łóżku, nie przyniosła rezultatów. Biermann na koncercie w Kolonii znowu zaatakował władze NRD. Zgodnie z przewidywaniami Margot z powodu „rażącego naruszenia obowiązków” przestał być obywatelem NRD. Odtąd stał się legendą. Jego koncerty nadawała zachodnia telewizja ARD odbierana prawie w całych wschodnich Niemczech. Z Margot nigdy już się nie spotkał. Dziś mieszka w Hamburgu i kategorycznie zaprzecza, że był kochankiem „fioletowej wiedźmy”.

Osaczeni w Lobetal

- W razie konieczności socjalizmu trzeba bronić z bronią w ręku - mówi patetycznym tonem Margot Honecker. Sala klaszcze. Jest 13 czerwca 1989 r., w Berlinie trwa 9. Kongres Pedagogiczny NRD, konferencja, która ma wytyczyć nowe kierunki w oświacie. W Polsce właśnie „Solidarność” wygrała pierwsze wolne wybory, za miesiąc pierwsze grupy uciekinierów z NRD będą szturmować zachodniemieckie ambasady w Warszawie i Pradze. Przez kraj przejdą demonstracje, Stasi będzie wobec nich bezradna. Margot Honecker tych zmian nie dostrzega, dalej mówi o zdobywcach socjalizmu w szkolnictwie.

Jesień 1989 r. Podczas zjazdu SED Erich wygłasza słynną frazę: „Zawsze naprzód, nigdy w tył”. Nie przeczuwa, że jego dni są policzone.

- Erich, musisz odejść - mówi na posiedzeniu Komitetu Centralnego SED premier NRD Willy Stoph. Jest 17 października 1989 r. Honecker właśnie rozpoczął spotkanie i zapytał, czy jakieś sprawy są do załatwienia. Usłyszał, że trzeba przegłosować jego dymisję. Człowiek, który twardą ręką rządził NRD przez 18 lat, w ogóle nie spodziewał się tego ciosu. Żył w innym świecie, nie zauważył, że NRD nie jest w stanie utrzymać się na powierzchni. Jego żona również była ślepa.

- Czy ci idioci nie wiedzą, czym jest kapitalizm, nie uczyli się tego w szkole? - pytała Margot, gdy tysiące jej rodaków uciekało przez Warszawę i Pragę do RFN. Honeckerowie nie mieli też pojęcia, że od miesiąca ich partyjni koledzy dogadywali się z Gorbaczowem na temat tego, jak w NRD wreszcie zaprowadzić pierestrojkę i pozbyć się twardogłowego Ericha.

Honecker nie chce odchodzić i nie godzi się na głosowanie w sprawie odwołania. Nikt go jednak nie popiera. Stoph próbuje przekonać go po dobroci. Szef Stasi Erich Mielke grozi wprost, że ze swoich archiwów wyciągnie kompromitujące go materiały. Wynika z nich, że cała historia Honeckera rewolucjonisty i bohatera walczącego z nazizmem, której uczono w szkołach, była zmyślona. Po trzech godzinach dyskusji Honecker ustępuje. Głosuje nawet za swoim odejściem.

Oficjalnie zrezygnował ze względów zdrowotnych. Następcą zostaje jego wychowanek Egon Krenz. Trzy dni później władzę nad oświatą traci Margot, oficjalnie także na własną prośbę. Nowe komunistyczne władze NRD zaczynają szykany wobec dawnych przywódców. Honecker jest oskarżony o nadużycia władzy i przywłaszczenie publicznych pieniędzy. Pod koniec 1989 r. zostaje aresztowany. Margot z niedowierzaniem ogląda, jak funkcjonariusze Stasi wchodzą do ich willi w Wandlitz. Gruntownie ją

przeszukują i rekwirują kolekcję strzelb myśliwskich Ericha. Margot nieustannie obserwują tajniacy. Tak jakby była „anty państwowym elementem”.

W areszcie Honecker siedzi krótko, okazuje się, że ma raka. Z celi nie ma jednak dokąd wrócić, bo w międzyczasie wygnano go z Wandlitz. I jego, i Margot przygarnia pastor z Lobetal pod Bernau. Mieszkają w jego domu. Przed płotem odbywają się demonstracje opozycji, która chce głowy Honeckera i krytykuje Kościół za to, że udzielił dyktatorowi azylu.

Muru berlińskiego już nie ma, więc NRD zalewają zachodni dziennikarze. Za Honeckerami podążają ekipy telewizyjne.

Stracili władzę i majątek. Dzieło ich życia – komunistyczne Niemcy – się rozpadało.

– Poczuli się tak jak na początku lat 50. Osaczeni, niepewni jutra. W efekcie odnaleźli znowu siebie. Bez władzy, przywilejów, potakiwaczy stali się romantyczną parą – opisuje prof. Lemke. Na ówczesnych zdjęciach niemieckiej telewizji widać bliskość dwojga starszych ludzi.

Socjalizm jeszcze powróci

Wiosną 1990 r. małżonkowie przenoszą się do radzieckiego szpitala wojskowego w Beelitz pod Berlinem. W NRD trwa kampania wyborcza przed pierwszymi wolnymi (i, jak się okaże, ostatnimi) wyborami do Izby Ludowej. SED już nie ma, jeszcze w grudniu 1989 r. jej nazwę zmieniono na Partię Demokratycznego Socjalizmu. Nie ma też Stasi, którą przekształcono w Urząd ds. Bezpieczeństwa Narodowego. Jej archiwa pod koniec 1989 r. przejęli opozycjoniści.

W marcu 1991 r. Honeckerowie uciekają wojskowym samolotem do ZSRR. Niemcy od kilku miesięcy są zjednoczone, za byłym przywódcą NRD prokuratura zjednoczonego Berlina rozesała list gończy. Honeckerowi zarzucała, że wydał rozkaz strzelania do uciekinierów. Erich i Margot liczą na to, że w Moskwie dostaną azyl, ale naciskana przez Niemców Rosja postanawia ich odesłać do Berlina.

Azyl oferują Syria i Korea Północna, ale małżonkowie postanawiają schronić się w ambasadzie Chile w Moskwie. Mają tam przyjaciół. Po puczu Pinocheta NRD przyjęła setki chilijskich komunistów. Za chilijskiego uciekiniera wyszła zresztą ich córka Sonja, która później przeniosła się do tego

kraju. A jednak w czerwcu 1992 r. władze Chile pod naciskiem Niemiec wyrzucają Honeckera z ambasady. Rosja deportuje go do Berlina. Erich, podobnie jak w latach 30. XX w., trafia do więziennej celi. Margot, której nowe Niemcy nie chcą sądzić, leci do Chile, do córki.

Do procesu Honeckera nie dochodzi, bo jego stan zdrowia nie pozwala. Po 169 dniach pobytu w areszcie wsiada do samolotu. W Santiago wita go tłumek chilijskich komunistów z flagami. Oraz Margot.

Honecker umiera 29 maja 1994 r. w wieku 81 lat. Urny z jego prochami Margot nie chowa na cmentarzu. – Zawsze chciał wrócić do Niemiec. Ciągle wierzę w to, że wróci – tłumaczy dziennikarzom.

Nie jest łatwo z nią porozmawiać. Aby zamienić parę słów z byłą szefową edukacji, trzeba stać pod bramą jej osiedla i czekać, aż pojawi się na ulicy. O ile nie jest akurat na corocznych badaniach lekarskich na Kubie albo nie odbiera rewolucyjnych odznaczeń od władz socjalistycznej Nikaragui. Ma pieniądze na podróże. Zjednoczone Niemcy co miesiąc wypłacają jej – jako byłej minister – 1,5 tys. euro emerytury. W Chile to dużo pieniędzy.

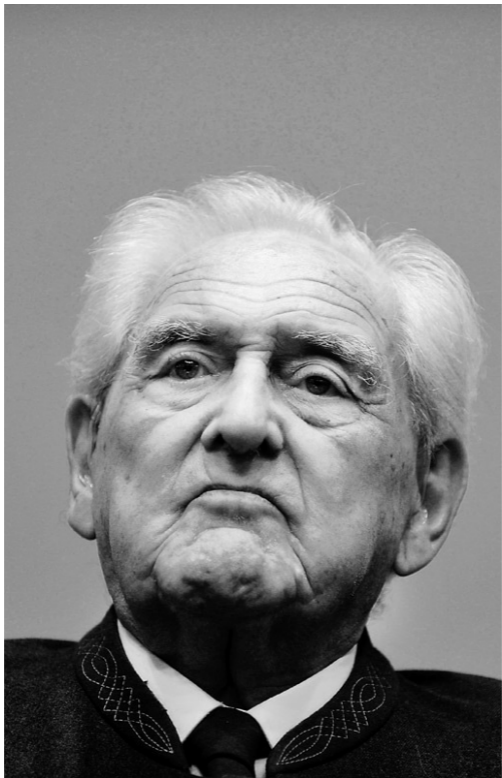
Jedną z nielicznych osób, którym udało się upolować prawie 90-letnią Margot, jest reporterka telewizji ARD. Na filmie widać, jak idzie wzdłuż muru osiedla i zadaje starszce pytania.

– Czy socjalizm upadł?

– Ależ skąd, on powróci – odpowiada Margot.

– Także w Niemczech?

– A dlaczego by nie w Niemczech?



Josef Scheungraber

Czy honorowy obywatel bawarskiego Ottobrunn kazał zabić 14 włoskich wieśniaków? Sąd uznał, że tak

Przed procesem chciałem zapytać burmistrza Ottobrunn, czy jest pewny, że w mieście nie mieszka żaden zbrodniarz wojenny.

„Postanowiłem, że o tym nie będę rozmawiał z dziennikarzami” – odpisuje w e-mailu.

– Jeśli Josef Scheungraber jest niewinny, to dlaczego wynajął adwokatów, którzy wielokrotnie bronili neonazistów? – pytam ludzi w Ottobrunn, miasteczku pod Monachium.

Dieter Dully, właściciel sklepu rowerowego, zaczyna się kręcić na krześle. – To dobre pytanie – mówi, błędząc wzrokiem po ścianach. O Scheungraberze najpierw nie chciał w ogóle rozmawiać, tak jak zdecydowana większość mieszkańców. Owszem, zna go, to sąsiad, porządny gość, życzliwy. Nakręcił się dopiero wtedy, gdy spytałem wprost, czy uważa, że Scheungraber jest winny.

– Jakie to ma dziś znaczenie? Człowieku, o jakich ty mówisz zbrodniach, o jakiej winie?! Przecież była wojna!

Scheungraber to szanowana postać w Ottobrunn. Biznesmen, długoletni miejski radny, szef ochotniczej straży pożarnej. I dobroczyńca, który nigdy nie odmawiał biednym. Trzy lata temu przyznano mu za to honorowe obywatelstwo. Teraz oskarżenia wobec Scheungrabera odbierane są jako atak na całe miasteczko.

– Lepiej, gdyby całej sprawy nie było. Nie szwendałbyś się po mieście i nie zadawał takich pytań – mówi Adrian, mniej więcej 50-latek. Zaczepiam

go pod miejscowym supermarketem. Pakuje do auta skrzynki z piwem i pośpiesznie odjeżdża.

Johanna, 60-latką: – To sprawa jego sumienia. Mnie nic do tego.

– Takie reakcje mnie nie dziwią. W Bawarii zawsze istniało szczególne społeczne przyzwolenie, by przeszłości nie rozliczać – mówi Gunter Hofmann, publicysta tygodnika „Die Zeit”.

Stary człowiek i sąd

– Niech pan się nie daje, niech pan się trzyma – mówi do Scheungrabera niewiele młodszy od niego mężczyzna ubrany tak jak on w tradycyjną bawarską marynarkę. Ścisza głos, a Scheungraber, siwy, niski staruszek, tylko potakująco kiwa głową i co chwila wykrzywia usta.

Więcej podsłuchać nie mogą. Scheungrabera od dziennikarzy i gapiów oddziela trzech adwokatów. Pilnują, by ich klient nie rozmawiał z obcymi. Jest 29 października 2008 r. Stoimy na korytarzu gmachu sądu krajowego w Monachium. Właśnie ogłoszono kolejną przerwę w procesie.

Josefowi Eduardowi Scheungraberowi z Ottobrunn niemieccy prokuratorzy zarzucają zbrodnie wojenne. Jako porucznik Wehrmachtu miał popełnić 14-krotne morderstwo ze szczególnym okrucieństwem i z niskich pobudek. Chcą dożywocia. Oskarżony twierdzi, że nie ma ze sprawą nic wspólnego.

Scheungraber ma 90 lat. Prasa pisze – i jak się później okazuje, ma rację – że to już ostatni Niemiec, którego sądzi się za zbrodnie wojenne. Reszta wymarła albo dobrze ukryta dożywa swoich dni w spokoju. Tak jak poszukiwany przez Centrum Szymona Wiesenthala Aribert Heim, „doktor śmierć” z obozu w Mauthausen, który pół wieku temu zaszył się gdzieś w Chile albo w Egipcie.

– Można powiedzieć, że długowieczność stała się jego przekleństwem – mówi, ostrożnie dobierając słowa, ks. Czesław Łukasz, pochodzący z Polski katolicki proboszcz Ottobrunn. Rodzina Scheungraberów to jego parafianie.

Co ksiądz może o nich powiedzieć? – To bardzo porządni ludzie. Znani, szanowani – lakonicznie odpowiada duchowny.

Masakra w Falzano

Koniec czerwca 1944 r., wioska Falzano di Cortona w Toskanii. Wehrmacht pośpiesznie wycofuje się przed aliantami na północ Włoch. Niemcy chcą się umocnić w górach otaczających Dolinę Padu na tzw. linii Gotów i tam wykrwawić aliantów. 26-letni Scheungraber służy w elitarniej jednostce strzelców alpejskich. Jest porucznikiem, dowodzi kompanią saperów. Do piechoty górskiej poszedł na ochotnika i błyskawicznie awansował z szeregowca na oficera. Jego mundur zdobią już dwa Żelazne Krzyże. Walczył w Polsce, we Francji i na Krecie, na froncie wschodnim doszedł aż na Kaukaz, gdzie został ciężko ranny.

W lutym 1944 r. we Włoszech ratował muzealne zbiory w klasztorze na Monte Cassino. Zanim alianckie bombowce zamieniły klasztor w ruiny, tamtejsi benedyktyni wywieźli bezcenne dzieła sztuki do Watykanu. Pomagali w tym niemieccy żołnierze, a propaganda Goebbelsa chwaliła ich jako herosów broniących dziedzictwa Europy przed barbarzyńcami. Ruiny klasztoru Niemcy zamienili w twierdzę. Scheungraber był jednym z 80 tys. żołnierzy, którzy bronili jej przed Amerykanami, Brytyjczykami, Francuzami i w końcu Polakami. W czerwcu 1944 r. miał za zadanie pilnować, by drogi prowadzące na północ były przejezdne. To trudne zadanie, bo włoscy partyzanci co chwila wysadzają mosty.

W Falzano Scheungraber i jego ludzie odbudowują przeprawę. Siekierami zwalają drzewa i z ich pni układają nowy most. Nie ma dźwigów i bale muszą nosić na plecach. Partyzanci zwabiają dwóch żołnierzy i na wiejskim podwórzu strzelają im w plecy.

Kilka dni później, 27 czerwca 1944 r., po pogrzebie zabitych kolegów żołnierze Scheungrabera biorą odwet na mieszkańcach Falzano. Działają zgodnie z wytycznymi dowódców. Feldmarszałek Albert Kesselring kazał za każdego zabitego przez partyzantów Niemca zabijać wszystkich mężczyzn w okolicy. W ten sposób z rąk żołnierzy Wehrmachtu zginęło 16 tysięcy włoskich cywilów w 250 miejscowościach.

Na polach podwładni Scheungrabera zabijają trzech wieśniaków. Potem w miasteczku organizują łapankę. 11 mężczyzn prowadzą do stodoły i budynek wysadzają w powietrze. W płonące zgliszcza wałą seriami z karabinów maszynowych. Spod gruzów ciężko poparzony wychodzi jedynie 14-letni chłopak. Wcześniej żołnierze Scheungrabera wysadzili też wiejski kościół, most i kilka innych budynków. Do włoskiej historii akcja przechodzi jako „masakra w Falzano”.

Szafa hańby otworzona

Po wojnie Scheungraber wraca do Ottobrunn, gdzie jego rodzina od pokoleń prowadzi warsztat ciesielski. Obok warsztatu otwiera sklep meblarski. Wchodzi do lokalnej polityki.

Miejscowość rozrasta się i przestaje być wioską w środku lasu. Dziś mieszka tam 20 tysięcy ludzi, to jedna z wielu sypialni 1,5-milionowego Monachium. Dwie główne ulice, kilkanaście sklepów, McDonald i salon Mercedesa. A poza tym setki domków z ogrodami. Mieszkają tu głównie inżynierowie z pobliskich fabryk i wykładowcy monachijskich uczelni technicznych. W przeciwieństwie do wielokulturowego Monachium Turków – nie licząc kebabowni przy dworcu – prawie tu nie ma.

Scheungraberowie są zamożni. Przy Putzbrunner Strasse, głównej ulicy Ottobrunn, gdzie kiedyś stał ich warsztat, dziś wznosi się trzypiętrowy apartamentowiec. Na parterze sklep z wielkim szyldem: „Möbel Scheungraber”. W środku designerskie meble i ceny zbijające z nóg. Za krzesło biurowe trzeba zapłacić 1,5 tys. euro, za kanapę 5 tys. – Zdjęcia proszę robić na zewnątrz – mówi ekspedient. Wcześniej przez sklepową witrynę wraz z synem Scheungrabera obserwował, jak zaczepiam przechodniów.

Scheungraber miałby spokój, gdyby w 1994 r. w piwnicach włoskiej prokuratury wojskowej przypadkiem nie otworzono pewnej szafy pancernej. We wnętrzu znalazły się akta 695 śledztw, które po wojnie włoscy prokuratorzy prowadzili przeciwko niemieckim zbrodniarzom. Jedna trzecia dochodzeń była na tyle zaawansowana, że można było rozpocząć procesy. Ale nie doszło do nich, bo w 1960 r. z nieznanych przyczyn naczelny prokurator wojskowy Enrico Santacroce tymczasowo zawiesił śledztwa, a akta ukrył. Gdy po 34 latach wypłynęły na powierzchnię, zbiór okrzyknięto „szafą hańby”. Gdyby nie dziwna decyzja prokuratora Santacrocego, dawno można byłoby skazać esesmana Hansa Krugera, który topił włoskich Żydów w jeziorze Como, czy Ericha Kocha, który wysłał setki Żydów z Mediolanu do Auschwitz. Można by też postawić przed sądem Scheungrabera i jego podwładnych.

W 2006 r. włoski sąd wojskowy w La Spenza zaocznie skazuje Josefa na dożywocie. Wyrok ma czysto symboliczne znaczenie, bo Niemcy od razu odmawiają wydania go do Włoch. Ale do Ottobrunn zaczynają zjeżdżać dziennikarze. W maju i grudniu 2007 r. członkowie monachijskich organizacji antynazistowskich demonstrują w miasteczku. Niosą transparent: „Nie zapominać, nie przebaczać”. Lokalna policja zabrania im jednak stać na Putzbrunner Strasse nie mogą nawet skandować nazwiska byłego

porucznika. Demonstranci liczą na to, że przyłączą się do nich mieszkańcy, lecz Ottobrunn jest głucho na powtarzane przez megafon apele. Z okolicy schodzą się za to neonaziści i szukają zaczepki. Policja musi ich oddzielać od demonstrantów. Ale pod presją opinii publicznej własne śledztwo rozpoczyna prokuratura w Monachium. Scheungraber staje przed sądem.

– Co pan/pani myśli o procesie Josefa Scheungrabera? – pytam przechodniów. Ci po kolei mówią, że albo nie wiedzą, o co chodzi, albo nie mają ochoty o tym rozmawiać. 60-letnia Johanna mówi mi tylko, że jeśli Scheungraber faktycznie kazał zabić ludzi, to musiał żyć pół wieku ze świadomością tego, co zrobił. – Sam wymierzył sobie najbardziej surową karę z możliwych. Cały ten proces teraz nie ma sensu – mówi.

– Ten temat jest w mieście tabu. Większość uważa, że Scheungrabera powinno się zostawić w spokoju. Ludzie nie chcą się babrać w cudzej przeszłości, i to jeszcze w takiej – mówi Michael Backmund, dziennikarz monachijskiej bulwarówki „Abendzeitung”. Wyjaśnia, że Ottobrunn żyje z firmy zbrojeniowej EADS powstałej z dawnych zakładów Messerschmitta, słynnego koncernu lotniczego, który podczas wojny produkował myśliwce dla Luftwaffe. – Ludzie tu są mocno związani z niemiecką armią i jej rycerską tradycją. Nie pozwolą jej kazać – dodaje.

Honorowe obywatelstwo za szczególne zasługi

Także lokalni politycy mówią o Scheungraberze niechętnie. W Ottobrunn rządzi CSU, partia chadecka działająca tylko w Bawarii, siostrzana wobec niemieckiej chadecji – CDU – ale o wiele bardziej konserwatywna i o wiele mniej wyczulona na niemiecką historię. W Bawarii CSU rządzi niepodzielnie od pół wieku. Jej polityków oskarżano o otaczanie się byłymi nazistami. Proces Scheungrabera chadekom nie jest na rękę, bo budzi wspomnienia.

Najważniejszy chadek w Ottobrunn, burmistrz Thomas Loderer, uprzejmie odpisuje mi w e-mailu, że o sprawie z dziennikarzami nie rozmawia. „Czekam na wyrok sądu. Mam pełne zaufanie do naszego niezależnego wymiaru sprawiedliwości” – pisze.

Wiceszef miejscowego CSU Andreas Schnitzer (przez telefon): – Nie mam nic do pana, ale niemieccy dziennikarze wystarczająco zaszczytli nam za skórę. Piszą, że mieliśmy w partii nazistowskiego zbrodniarza, a przecież

Scheungraber nigdy do CSU nie należał.

O dziwo, niewiele do powiedzenia mają miejscowi socjaldemokraci. – Tu nie ma tematów tabu. Po prostu Ottobrunn to sypialnia. Ludzie nie interesują się tym, co się dzieje w okolicy – wyjaśnia Friedrich Seeger, szef miejscowego SPD. Uważa, że cała awantura to robota bulwarówek, które robią z Ottobrunn brunatne gniazdo.

Skąd ta powściągliwość? W 2005 r. miejscowi radni jednogłośnie postanowili, by Scheungraberowi przyznać honorowe obywatelstwo miasta „za szczególne zasługi na rzecz ogółu”. Honorowe członkostwo przyznała mu też ochotnicza straż pożarna. Gdy na jaw wyszła przeszłość dawnego porucznika, politycy w Ottobrunn nabrali wody w usta. Publicznie mówili tylko, że nie mieli pojęcia o jego przeszłości. O odebraniu tytułów nie było jednak mowy. – To delikatna sprawa. Obowiązuje nas domniemanie niewinności – mówi Ariane Wissmeier-Unverricht, radna SPD.

Radni milczą, bo dziennikarze wyszperali przy okazji, że szef ochotniczej straży pożarnej sympatyzuje z neonazistami. Poza tym burmistrz Loderer już oświadczył dziennikarzom, że dobrze zna Scheungrabera i może dać słowo honoru, że jest niewinny.

– Nasz burmistrz jest młody. Chciał dobrze, ale to było niepotrzebne – ocenia Friedrich Seeger z SPD.

To nie temat do rozmowy

Dlaczego wcześniej nikt nie interesował się przeszłością Scheungrabera? – Nasi ojcowie służyli na wszystkich frontach, naoglądali się potworności. Nie widziałem sensu, by to rozgrzebywać – mówi Seeger.

Tuż po wojnie 22 najważniejszych nazistów sądzono na głównym procesie norymberskim. 12 z nich, m.in. szefa dyplomacji III Rzeszy Joachima von Ribbentropa, generalnego gubernatora Hansa Franka i feldmarszałka Wilhelma Keitla, szefa naczelnego dowództwa Wehrmachtu, skazano na śmierć i powieszono. Potem w tzw. 12 procesach pobocznych sądzono urzędników rządowych, prawników, lekarzy, przemysłowców, esesmanów. Wyroki śmierci zapadały rzadziej, ale i tak na szubienicy skończył dr Karl Brandt, osobisty lekarz Hitlera, który koordynował program eutanazji starców i psychicznie chorych, czy SS-Obergruppenführer Oswald Pohl, zarządca nazistowskich

obozów koncentracyjnych. Jednak dla większości Niemców procesy były tylko polityczną zemstą.

Gdy wybuchła zimna wojna, ogłoszona przez USA polityka denazyfikacji okazała się fikcją. Amerykanie potrzebowali silnych zachodnich Niemiec: z wywiadem, policją, administracją, wojskiem. Potrzebowali byłych nazistów, by dla nich pracowali. Symbolem był Hans Globke, główny doradca ojca powojennych Niemiec kanclerza Adenauera. Jako wysoki rangą pracownik MSW III Rzeszy był on współtwórcą uchwalonych w 1935 r. ustaw norymberskich, które wykluczały Żydów z życia publicznego. Napisał instrukcję dla prawników, jak stosować dyskryminacyjne przepisy. Po wojnie tłumaczył, że robił to dla dobra Żydów – by ograniczyć represję.

– W latach 50. i 60. o przeszłości w ogóle nie mówiono. Byłych nazistów spotykało się wszędzie: w sądach, urzędach, fabrykach, nawet w redakcji „Spiegla”. Gdy Niemcy z powrotem dostały armię, w Bawarii jednostkom wojskowym nadawano patronów z Wehrmachtu – mówi Gunter Hofmann z „Die Zeit”.

Przełom nastąpił w 1963 r. We Frankfurcie nad Menem zaczął się proces 20 esesmanów z załogi KL Auschwitz. W ciągu trzech lat sędziowie przesłuchali 318 świadków, odbyła się nawet wizja lokalna w Polsce. Mimo że niemiecka opinia publiczna wspierała oskarżonych, uznając proces za polowanie na czarownice (policjanci salutowali, gdy dawni esesmani wchodzili na salę), wyroki były surowe. Sześć osób, którym udowodniono brutalne morderstwa więźniów, skazano na dożywocie, resztę na kary od 3 do 14 lat więzienia.

Trzy lata później wybuchła studencka rewolta. Młodzi domagali się, by rodzice rozliczyli się z tego, co robili podczas wojny. Niemcy zaczęli wyrzucać nazistów z eksponowanych stanowisk, a zbrodniarzy ścigać. Wszczęto 100 tys. śledztw. Winę udowodniono 6,5 tys. osób. Zwykle zapadały wyroki kilkuletniego więzienia lub grzywny. – Winnych trzeba ścigać, jak długo się da. Nie chodzi o zemstę, tylko o sprawiedliwość, o gest pod adresem ofiar III Rzeszy – uważa Gunter Hofmann.

Ale Dieter Dully w sklepie rowerowym w Ottobrunn tłumaczy: – Na wojnie jest tak, że dostaje się rozkazy. Przecież Scheungraber sam nie wymyślił sobie, że zabije tych Włochów. Kazano mu, to zrobił. Odmówić nie mógł, bo sam stanąłby pod murem. Czy ty postąpiłbyś inaczej? – kieruje palec w moją stronę.

Hofmann tłumaczy, że opinia ze sklepu to spuścizna po długoletnich rządach chadeka Franza Josefa Straussa. – Mówił, że Niemcy nie mogą wiecznie posypywać głowy popiołem. Chciał, by kraj wstał z kolan, zapomniał

o tym, co było. To podejście w Niemczech powszechnie kontestowano, ale w małych konserwatywnych miasteczkach na przeszłość zarzucono płaszcz milczenia. Tak było prościej.

Cicha Pomoc byłym nazistom

Pod koniec lat 90. Włosi przekopali niemieckie archiwa. Na podstawie dokumentów Wehrmachtu ustalili, że most w Falzano naprawiali żołnierze z kompanii Scheungrabera. Prokuratorzy przekonali sąd, że byli oni jedynymi Niemcami, którzy mogli wziąć odwet na cywilach. A skoro Scheungraber nimi dowodził, to odpowiada za ich czyny. Ale niemiecki sąd nie może sobie pozwolić na tego typu wnioskowanie. Aby skazać Scheungrabera, prokurator musi udowodnić, że porucznik rozkazał żołnierzom wysadzić stodołę z Włochami. Dowodów jest niewiele, a troje adwokatów byłego porucznika nie próżnuje.

Obrońcy przede wszystkim próbują udowodnić, że Scheungraber jest za stary na to, by go sądzić. Powołują się na prawa człowieka i diagnozy lekarskie, z których wynika, że jest ślepy, głuchy i nie potrafi zapamiętać tego, co działo się godzinę wcześniej. Do tego dochodzą ciężkie schorzenia płuc i serca oraz zagrażająca życiu przepuklina. Sąd wysyła oskarżonego na badania do monachijskiej kliniki, a lekarze po kolei obalają argumenty adwokatów. Uznają, że Scheungraber może jest stary, ale rozumie, co się wokół niego dzieje, i jest na tyle zdrowy, że może odpowiadać przed sądem.

Mimo wieku Scheungraber jest wyprostowany i chodzi po żołniersku, stanowczym krokiem. Do sądu przychodzi z laską, ale chyba tylko dlatego, żeby zrobić wrażenie na sędzi i fotoreporterach. Gdy nie ma ich w pobliżu, porusza się bez jej pomocy.

– Ten proces miałby sens, gdyby odbywał się 25 lat po wojnie. Żyliby podoficerowie z kompanii mojego klienta, żyliby Włosi – świadkowie tragedii. Mogliby bez wątpliwości zeznać, że pan Scheungraber jest niewinny – przekonuje mnie Rainer Thesen, jeden z obrońców.

Prokuratura ma jedynie zdjęcie zrobione przed masakrą. Scheungraber stoi nad grobami zabitych niemieckich żołnierzy tuż po pogrzebie. Świadkowie, których kilka lat temu przesłuchiwali włoscy prokuratorzy, twierdzili, że wtedy do Scheungrabera przyjechał inny oficer, a porucznik kazał mu brać

żołnierzy i ruszać na wioskę. Niemieccy prokuratorzy bazują na tych zeznaniach.

Mecenas Thesen: – Zdjęcie niczego nie dowodzi. Może tę zbrodnię popełnili sami Włosi, którzy pozostali wierni Mussoliniemu?

Ale oskarżenie ma asa w rękawie. Podczas śledztwa prokuratorzy kazali założyć Scheungraberowi podsłuch. Okazało się, że przed procesem rozmawiał ze swoimi dawnymi podwładnymi i uzgadniał z nimi zeznania. Dawni towarzysze na sali sądowej zaśpiewują się niepamięcią.

Twardego dowodu na to, że Włosi zginęli z rozkazu porucznika, nie ma. 7 października na proces przyjeżdża Gino Masseti, 14-latek, który jako jedyny wyszedł żywy ze stodoły. Opowiada sądowi, co działo się w jej wnętrzu. – Byłem dzieckiem, nie wiedziałem, że skrzynki, które wnoszą, to materiał wybuchowy. Gdy wnieśli ostatnią i zaryglowali drzwi, ktoś powiedział: „Teraz wszyscy umrzemy”. Na wybuch trzeba było czekać całe pięć minut. To była wieczność.

Scheungraber patrzy na Włocha bez emocji, w ustach ma cukierka. Nie odezwał się ani słowem, nawet gdy sąd poprosił obu do siebie, by pokazać im fotografie. – Czy rozpoznaje pan kogoś? – spytał Massetiego.

– Niestety nie.

Podczas procesu zeznają też inni Włosi, krewni ofiar. 81-letnia Emma Sassini opowiada, jak pobiegła do dymiących gruzów stodoły, którą wysadzili ludzie Scheungrabera. Z rumowiska wygrzebała ciało ojca. – Mimo obrażeń można go było rozpoznać – zeznaje kobieta. 67-letnia Antoinetta Donati opowiada, że jej matka do końca życia przechowywała podziurawioną koszulę męża zabitego przez ludzi Scheungrabera jak relikwię. – Nigdy nie doszła do siebie, ciągle przeżywała tamten tragiczny dzień – opowiada. – Cały czas sobie wyobrażam, jak proste byłoby moje życie, gdyby Niemcy oszczędzili mojego ojca i brata – mówił 72-letni Gelasia Trasenni.

Żaden ze świadków nie jest w stanie rozpoznać Scheungrabera.

– Pamięć po takim czasie się zaciera. Ludziom myli się to, co się stało, z tym, co stać się powinno czy mogło. Zeznania składane po tylu latach nie mają wartości – przekonuje adwokat Rainer Thesen. On i dwóch mecenasów: Klaus Goebel i Christian Stünkel, robią kompetentne wrażenie. Ale monachijscy dziennikarze przypominają mi, że każdy z nich ma brunatne plamy w życiorysie.

Thesen, pułkownik Bundeswehry w stanie spoczynku, wielokrotnie bronił dawnych żołnierzy Wehrmachtu i esesmanów oskarżonych o zbrodnie wojenne. Jego klientem był m.in. Friedrich Engel, szef niemieckiej policji w Genui odpowiedzialny za śmierć 250 Włochów. Thesen udowadniał m.in.,

że branie cywilów jako zakładników i rozstrzelanie ich było dopuszczalne nie tylko przez niemieckie, ale również brytyjskie i francuskie prawo. To jedyny sposób, by bronić się przed atakami partyzantów.

O Christianie Stünklu działacze antyfaszystowskich organizacji piszą, że to główny prawnik neonazistów we wschodnioniemieckiej Turynгии. Występuje jako ich obrońca we wszystkich sprawach – od znieważenia po ciężkie pobicie.

Klaus Goebel z kolei zastąpił jako obrońca kłamcy oświęcimskiego Davida Irvinga i Antona Mallotha, esesmana, strażnika w KZ Theresienstadt. Tego ostatniego nie uchronił jednak przed dożywociem. To właśnie podczas procesu Mallotha wyszło na jaw, że Goebła opłaca Stille Hilfe, czyli Cicha Pomoc. To organizacja założona tuż po wojnie przez m.in. córkę Heinricha Himmlera, która do dziś pomaga byłym nazistom uniknąć więzienia. Z jej pomocy skorzystał m.in. Adolf Eichmann (organizator Holocaustu pojmany w latach 60. przez izraelskich agentów i powieszony w Jerozolimie), Josef Mengele (lekarz w Auschwitz, który zabijał więźniów, prowadząc na nich eksperymenty), Klaus Barbie (szef Gestapo w Lyonie, skazany we Francji w 1987 r. na dożywocie) czy Erich Priebke (oficer SS odpowiedzialny za masakrę 335 włoskich cywilów pod Rzymem, który od połowy lat 90. siedzi we włoskim więzieniu).

Ariane Wissmeier-Unverricht z SPD: – Pewnie adwokaci sami przyszli do Scheungrabera. Teraz nim sterują i robią sobie darmową reklamę.

Polskiemu księdzu jest przykro

Proboszcz Czesław Łukasz mówi, że proces Scheungrabera spadł na parafian jak grom z jasnego nieba. – Sam go znam od lat, w życiu bym się nie spodziewał, że coś takiego jest możliwe – rozkłada ręce.

Proboszczem w Ottobrunn jest od 11 lat. Swoich parafian nie może się nachwalić. – W Polsce powiedzielibyśmy, że to inteligencja techniczna. Wierzący, zaangażowani w życie Kościoła – mówi z entuzjazmem. Sympatia jest obustronna. Niemcy na stronie internetowej parafii napisali, że cenią kapłana za otwartość i życzliwość, a jego wiedzę biblijną podziwiają.

Pytam, czy parafianie rozmawiają z księdzem o procesie. Proboszcz zaprzecza, starannie dobierając słowa. Czy to dlatego, że ksiądz jest Polakiem? – Nie. W Ottobrunn ludzie po prostu nie mówią o historii. To taka Nowa Huta,

większość to przyjezdni z całych Niemiec. Każdy dźwiga na barkach przeszłość swej rodziny. Zbiorowej historii tu nie ma – wyjaśnia. – Ludzie cenią dobrobyt i spokój. W tej sprawie są bezradni, mogą tylko czekać na wyrok. Boją się najbardziej, że Ottobrunn zostanie okrzyknięte brunatną osadą. To w Niemczech najgorsza łątka.

Ale po chwili ksiądz Łukasz dodaje, że to, co wydarzyło się we Włoszech, nie było niczym nadzwyczajnym.

– Niemcy mścili się tak wszędzie. Tyle że w Falzano zabito 15 osób, a w Polsce wyrzynano całe wsie – opowiada. Tak było w jego rodzinnych stronach, w Lasach Janowskich na Lubelszczyźnie. W 1942 r. we wsi Pikule za rzekomą pomoc partyzantom Niemcy zabili 110 osób, także kobiety i dzieci. Ksiądz do dziś pamięta wielki zbiorowy grób na cmentarzu. Gdy był dzieckiem, odprawiano przy nim msze.

Pytam, dlaczego ksiądz nie opowie o tym wiernym w kazaniu. – To nie miałyby sensu. W Ottobrunn ludzie nie chcą publicznie rozdrapywać ran. Ale w głębi serca wiedzą, czym była wojna, jakie okropieństwa działy się w Polsce i we Włoszech. Staram się patrzeć na tę sprawę jak kapłan. Jest mi po ludzku przykro, że pan Scheungraber u schyłku życia musi stawić czoło takim oskarżeniom. Ale to nie znaczy, że nie powinno się szukać prawdy – mówi na koniec.

Wyrok: dożywocie

Friedrich Seeger z SPD irytuje się, gdy pytam, kiedy Ottobrunn rozliczy się z przeszłością. – My to mamy już za sobą – mówi. Na początku lat 80. ktoś odkrył, że w wiosce działała mała filia KL Dachau. Więźniowie budowali tajny zakład badawczy, w którym testowano silniki lotnicze. Gdy wówczas grupka mieszkańców postanowiła upamiętnić więźniów, wybuchła awantura. – Zarzucono nam, że kalamy własne gniazdo – wspomina Seeger. Przepychanki trwały kilkanaście lat. W końcu pomnik postawiono w centrum Ottobrunn. Przedstawia czterech stojących w kręgu ogolonych na łysy więźniów. Jeden trzyma tablicę z napisem: „Pod przymusem dla Rzeszy”.

– Nazistowska przeszłość została w Ottobrunn rozliczona – powtarza Seeger.

Adwokat Thesen: – Panu Scheungraberowi jest przykro, że mieszkańców

Falzano dotknęła taka tragedia. Współczuje bliskim ofiar, ale nie czuje się winny. Uważa, że porządny żołnierz nie zabija bezbronnych cywilów.

Sklepikarz Dully: – Polacy też wypędzali i zabijali bezbronnych Niemców. Mielibyśmy teraz ich sądzić? Daj spokój. To nie ma dziś żadnego znaczenia.

A jednak prokuratorom udaje się sprowadzić na sądową salę cieślę, który w latach 70. pracował w zakładzie Scheungrabera jako czeladnik. – Szef chwali się, że zabił 14 Włochów, że ich po prostu wypieprzył w powietrze. Dlatego nie mógł jeździć do Włoch na wakacje – zeznaje. Mówi, że ze słów Scheungrabera wynikało, że to on sam postanowił zabić Włochów, że w tej sprawie nie było żadnego rozkazu. Gdy zaskoczeni obrońcy próbują go docisnąć, czemu tak długo zwlekał ze złożeniem zeznań, świadek odpowiada, że przypomniał sobie teraz, kiedy o procesie Scheungrabera zrobiło się głośno. – Długo z sobą walczyłem. Żona do końca mi to odradzała – mówi.

Po jego zeznaniach strategia obrońców leży w gruzach. W lipcu 2009 r. Scheungraber w ostatnim słowie oświadcza ze złością w głosie, że poświęcił ojczyźnie 14 lat życia, służąc jako żołnierz, a teraz jest ciągany po sądach. Kilka dni później zapada wyrok: za wielokrotne morderstwo z niskich pobudek – dożywocie. Obrońcy Scheungrabera próbują się odwoływać, ale ich apelacja zostaje odrzucona. Scheungraber nigdy nie przekroczy jednak progu więzienia. Sądowi lekarze uznają, że jest na to zbyt schorowany.



Heinz Reinefarth

Radni miasta Westerland długo debatowali nad tekstem na tablicy, która ma zawisnąć na ratuszu. Czy wyryć nazwisko generała SS Heinza Reinefartha, czy tylko bezosobowy napis, że odpowiedzialny za stłumienie powstania warszawskiego był w Westerland burmistrzem?

- Czy można się modlić na grobie zbrodniarza? - pytam pastor Susanne Zingel. Rozmawiamy na cmentarzu przy kościele św. Seweryna w Keitum na wyspie Sylt. Przed nami przecięty na pół głaz. To nagrobek zmarłego w 1979 r. SS-Gruppenführera Heinricha (Heinza) Reinefartha, który przez 12 lat był burmistrzem sąsiedniego miasteczka Westerland.

Na kamieniu imię, nazwisko, daty urodzin, śmierci i symbol krzyża rycerskiego z liśćmi dębu. To order za utopienie we krwi powstania warszawskiego. Reinefarth ma na sumieniu dziesiątki tysięcy mieszkańców, kobiet i dzieci.

Przed spotkaniem ze mną pastor Zingel podpytywała o byłego burmistrza swoich starszych parafian. Wszyscy zapewniali, że był porządnym człowiekiem i dobrym gospodarzem. Dlaczego więc nie ma grobu w Westerlandzie, a w Keitum leży wśród mogił biednych uciekinierów ze wschodu, którzy po wojnie zalali wyspę?

Bo pastor z Westerlandu nie chciał na swoim cmentarzu zbrodniarza. Proboszcz w Keitum też miał zastrzeżenia. W księgach parafialnych pastor Zingel wyszperała, że pogrzeb Reinefartha odbył się „bez asysty duchownego”. Obecna była tylko najbliższa rodzina, ale później nad jego grobem regularnie zbierali się towarzysze broni i działacze skrajnej prawicy.

Czy można się za Reinefartha modlić? Susanne Zingel nie ma nic

przeciwko. Reinefarth teraz płaci za swoje grzechy, musi się skonfrontować z przeszłością, z każdą ofiarą z osobna. Czy pochowałaby go na swoim cmentarzu? Duchowna się zamyśla.

W mieście coś się zmienia

Jeszcze trzy lata temu bezpartyjna burmistrz Petra Reiber (rządzi Westerlandem od ćwierćwiecza) nielicznym dziennikarzom, którzy interesowali się sprawą, lakonicznie odpisywała, że o Reinefarcie nie ma nic do powiedzenia. Urzędnicy i radni mówili, że w mieście są ważniejsze rzeczy niż grzebanie w przeszłości. Brakuje mieszkań, morze niszczy plaże, a z roku na rok z nieznaney przyczyny przyjeżdża mniej turystów. Sylt to najstynniejszy i najbardziej luksusowy niemiecki kurort. Wyciąganie trupa z szafy mogłoby wyspie tylko zaszkodzić.

W 2005 r., gdy z okazji 100-lecia nadania praw miejskich miała wyjść książka o historii miasta, autor odbierał telefony z radami, by o brunatnej przeszłości burmistrza nie pisał. W 2010 r. dwóch gimnazjalistów na łamach lokalnych gazet prosiło mieszkańców o wspomnienia o burmistrzu Reinefarcie do swojej pracy. Bez echa. Rok później ekipa telewizji RBB chciała w miejskim archiwum sfilmować dokumenty z podpisem burmistrza z SS. Wyrzucono ją za drzwi. Ratusz w Westerlandzie cierpliwie znosił pojawiające się od czasu do czasu teksty, że „piasek na wyspie Sylt ciągle ma brunatny kolor”.

Ale gdy 6 maja 2014 r. wszedłem do ratusza, wszystkie drzwi stały przede mną otworem. – Nadszedł czas, byśmy rozliczyli się z historią. Wstyd, że trwało to tak długo – mówił Peter Schnittgard, przewodniczący rady miasta z CDU, wylewnie zapraszając do gabinetu. Burmistrz Petra Reiber była na zwolnieniu lekarskim, ale kilka dni wcześniej w sprawie Reinefartha wystąpiła przed kamerą regionalnej telewizji NDR. – Musimy sobie powiedzieć wprost: to był zbrodniarz i morderca. Po wojnie zajmował publiczne stanowisko, był dla ludzi wzorem – mówiła.

To, że w mieście coś się zmienia, 88-letni Ernst Wilhelm Stojan poczuł kilka miesięcy wcześniej. Pod jego domek podjechał na rowerze lokalny polityk z żoną. Niby trafili tu przypadkiem, bo akurat jechali na drugi koniec wyspy. – Ernście Wilhelmie, po co dalej rozdrapywać tę starą historię? To nie

ma sensu – przekonywał Stojana.

Stojan, emerytowany dyrektor szkoły, miejski radny i poseł do landtagu, już 60 lat temu wypowiedział Reinefarthowi wojnę. Głośno mówił o jego zbrodniach, chciał, by ludzie przejrżeli na oczy i przegonili go z wyspy. Ale w Westerlandzie uznano, że Stojan kła własne gniazdo.

- Ilu przyjaciół straciłem przez niego? Ile musiałem się od ludzi nasłuchać, że urządzam polowanie na czarownicę? – wylicza z goryczą. Temat generała SS na Sylcie był jeszcze tabu.

Przewodniczący Schnittgard zapewnia, że rozliczeń już nic nie powstrzyma. – To przez takich jak Reinefarth w młodości w Norwegii wyrzucano mnie z autobusów, we Francji nie wpuszczano do schronisk. Byłem Niemcem, potomkiem zbrodniarzy – mówi z coraz większą irytacją w głosie. Gdy rozmowa schodzi na to, co Reinefarth robił w sierpniu 1944 r. w Warszawie, twarz Schnittgarda tężeje. „Okropne, niewyobrażalne, porażające” – mówi o niemieckich zbrodniach tak, jakby poznał je w szczegółach dopiero niedawno i ciągle nie mógł się otrząsnąć. – Wstyd mi za to, co się wtedy wydarzyło, i że tego człowieka dopuszczono tu do władzy.

Zadaliśmy ćwierć miliona strat

Sierpień 1944 r. Z ogarniętej powstaniem Warszawy wychodzi kolumna kobiet i dzieci z podniesionymi rękami. – Mamy za mało amunicji, by ich wszystkich rozstrzelać – mówi 41-letni Heinz Reinefarth. Nosi już dystynkcje SS-Gruppenführera, czyli generała dywizji, pod szyją ma krzyż rycerski, najwyższe odznaczenie wojskowe III Rzeszy. Zdobył go cztery lata wcześniej, prowadząc swoją kompanię do brawurowego ataku na baterie Francuzów. Za Warszawę dostanie do krzyża liście dębu. Ten dodatek oznacza wyższą klasę orderu, przyznawaną za kolejny bohaterski czyn na polu walki. Do krzyża rycerskiego oprócz liści dębu można było dostać miecze i brylanty. Komplet dodatków zdobyło tylko 28 osób.

Reinefarth jest synem sędziego z Gniezna. Po I wojnie światowej studiuje prawo i wstępuje do Freikorpsu Oberland. To ochotnicza skrajnie prawicowa formacja paramilitarna, której członkowie okryli się złą sławą podczas walk z Polakami na Górnym Śląsku, gdzie wyróżniali się okrucieństwem. Wcześniej bili się z komunistami usiłującymi przejąć

w Niemczech władzę. Gdy do oddziału przyłączył się młody Reinefarth, jego dowódcy skumali się z NSDAP. Zamierzali wesprzeć pucz, który miał wynieść Adolfa Hitlera. Przywódca NSDAP na czele pochodu zwolenników chciał 9 listopada opanować Monachium, później całą Bawarię, a następnie z pomocą oddziałów takich jak Freikorps Oberland – ruszyć na Berlin. Jednak gdy na czele liczącego ok. 3 tys. ludzi tłumu zwolenników maszerował przez monachijskie przedmieście, do pochodu nie przyłączyli się ani mieszkańcy miasta, ani żołnierze. Pierwsi z nadąsanego Hitlera i jego przybocznych się śmiali, drudzy zaczęli do nich strzelać. W walkach zginęło 16 puczystów i czterech policjantów. Hitler uciekł, aresztowano go kilka dni później w pizamie, do której przyczepił Krzyże Żelazne zdobyte podczas I wojny światowej. Skazano go za zdradę na pięć lat więzienia, odsiedział rok.

A Reinefarth, który później został adwokatem, tak mocno związał się z NSDAP, że zdobył sławę jako brunatny prawnik. Zajmował się sprawami z zakresu naruszenia nietykalności osobistej. Jego koledzy z SS i SA w środkowych Niemczech napadali na Żydów i łądownali w kryminale. W Republice Weimarskiej policja próbowała postawić tamę antysemitycznym atakom. Wtedy do akcji wkraczał Reinefarth i zwykle wyciągał ich z za krat.

Na wojnę z Polską poszedł jako zwykły szeregowiec Wehrmachtu. Po walkach o Kutno dostał pierwszy awans i pierwszy order.

W 1942 r., już jako porucznik, z powodu odmrożeń na froncie wschodnim został odesłany na tyły.

Potem jego kariera nabrała prędkości.

Zawdzięcza to Kurtowi Daluege, dawnemu koledze z czasów, gdy wyciągał esesmanów z więzień. Daluege stał wówczas na szczycie hierarchii SS, i to on sprawił potem, że Reinefartha zauważył sam szef SS – Himmler. Reinefarth najpierw działał w Protektoracie Czech i Moraw, w 1944 r. dostaje przydział do Poznania. Zostaje dowódcą SS i policji w Kraju Warty. Podlegają mu lokalne jednostki SS, Gestapo i zwykli policjanci. A także obóz zagłady w Chełmnie nad Nerem. Od 1941 r. w ciężarówkach przerobionych na komory gazowe mordowano tam Żydów i Romów z Wielkopolski, a w 1944 r. – mieszkańców łódzkiego getta, które wówczas likwidowano. W Chełmnie zginęło ok. 250 tys. ludzi.

Gdy 1 sierpnia w Warszawie wybucha powstanie, Reinefarth na rozkaz Himmlera formuje grupę szturmową i spieszy z odsieczą. 4 sierpnia jego ludzie, kryminaliści z oddziału Oskara Dirlewangera i mężczyźni zrekrutowani spośród jeńców z Armii Czerwonej pod komendą Bronisława Kamińskiego, zaczynają rzeź kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców Ochoty i Woli, zachodnich dzielnic Warszawy. Nacierający w kierunku śródmieścia ludzie Reinefartha

zgodnie z wydanym przez Hitlera rozkazem mordują każdego schwytanego Polaka. Część ofiar ginie na miejscu, część jest spędzana do fabryk czy parków, gdzie przeprowadzane są masowe egzekucje. Jednocześnie podkomendni Reinefartha plądrują dzielnice. Dowódca nie jest w stanie im tego zabronić.

Od 5 do 7 sierpnia z ręki jego ludzi ginie ok. 60 tys. cywilów.

A potem grupa bojowa Reinefartha wchodzi na Powiśle i Czerniaków.

- Zadaliśmy wrogowi ćwierć miliona strat - cytuje go „Ostdeutscher Beobachter”, organ NSDAP w Poznaniu. Te dane są tylko trochę przesadzone.

W maju 1945 r. do niewoli biorą go Brytyjczycy. Powinien, tak jak komendant Auschwitz Rudolf Höss czy Jürgen Stroop, który tłumił powstanie w warszawskim getcie, zostać wysłany w kajdankach do Polski, która domaga się ekstradycji. W więzieniu na Mokotowie czekał go stryżek. Ale alianci puszczają go wolno.

Brunatne bagno Szlezwika-Holsztynu

- Był jedynym generałem Himmlera, który po wojnie wszedł do polityki. Przed nami zaprzeczał nawet temu, że był w SS - wspomina Stojan. Pierwsze wieści o przeszłości Reinefartha, które nadeszły z Polski, opisuje gazeta żyjącej w północnych Niemczech duńskiej mniejszości narodowej. Niemieccy dziennikarze przez lata tematu nie tykają. Gdy w 1952 r. rada miejska Westerlandu wybiera burmistrza, Stojan, wówczas szef frakcji SPD, przekonuje kolegów, by głosowali przeciw Reinefarthowi. Dołączają do nich duńscy radni, ale za generałem murem staje CDU oraz jego partia Blok Wypędzonych i Wywłaszczonych (BHE).

W 1945 r. tysiące Niemców, uciekając przed Armią Czerwoną, zatrzymują się na północy kraju. Miejscowi przez lata traktują przybyszy jak obywateli drugiej kategorii, ale ich partia jest poważną siłą. BHE ma burmistrzów, posłów w landtagu Szlezwika-Holsztynu, członków lokalnego rządu. Na północy chronią się naziści z krwią na rękach. Franz Schlegelberger, p.o. ministra sprawiedliwości III Rzeszy, oraz najwyższy rangą nazistowski prokurator Ernst Lautz odpowiadali za egzekucję setek Żydów i Polaków. Herta Oberheuser, która w obozie w Ravensbrück prowadziła pseudoeksperymenty na więźniach, po wojnie była pediatrą pod Neumünster. Werner Catel, który przeprowadzał eutanazję setek upośledzonych dzieci, pracował w klinice

uniwersyteckiej w Kilonii. W lokalnej polityce trudno znaleźć ludzi, którzy nie należeli do NSDAP.

- Tolerowano ich, bo powojenne Niemcy potrzebowały fachowców. Pracowali w urzędach, w policji, w szkołach, w prasie – opisuje Stojan. Podobnie było w innych częściach zachodnich Niemiec, ale graniczący z Danią Szlezwik był szczególnym przypadkiem. Mówiono, że to „brunatne bagno”. Dopiero dwa lata temu władze landu powołały komisję historyków, która ma się zająć tą sprawą. Wyników jeszcze nie ma.

W starciu z Reinefarthem Stojan nie miał szans. Był generał z łatwością owijał sobie mieszkańców Westerlandu wokół palca. Był przedwojennym adwokatem. Wiedział, jak podchodzić ludzi. Kandydaturę Reinefartha poparł nawet Andreas Nielsen, pierwszy powojenny burmistrz miasta, który był więźniem obozu koncentracyjnego.

- To nie jest problem – mówił, gdy Stojan dopytywał, czy na pewno chce mieć następcę z SS.

Philipp Marti i e-mail z Wrocławia

- Reinefarth nie żyje od 38 lat. Dlaczego dopiero teraz postanowiliście się nim zająć? – pytam przewodniczącego Schnittgarda. Niedawno dał się przekonać, że milczenie na temat burmistrza z SS zaszkodzi miastu bardziej niż rozrachunek z przeszłością. O tym, co się działo w Polsce podczas wojny, ma jakieś takie pojęcie. Tego za jego czasów w niemieckiej szkole nie uczono. Na moje pytanie nie daje jednak jasnej odpowiedzi. Kluczy. W słowo wchodzi mu Monika Kuhn, szefowa magistratu.

- Po prostu minęło już wystarczająco dużo czasu – mówi.

Wyspa się zmienia. Stare pokolenie, które pamięta Reinefartha, odchodzi. Dzieci często wybierają życie na stałym lądzie. Sprzedają domy bogatym Niemcom z głębi kraju. – To naprawdę ostatni moment. Wkrótce umrą ostatni świadkowie. Wtedy rozliczenia z Reinefarthem stracą sens. Bo co nasz trup w szafie obchodzi jakichś przyjezdnych z Badenii? – mówi Stefan Hartmann, lokalny dziennikarz.

Politycy w Westerlandzie przyznają to niechętnie: tabu nie udałoby się przełamać, gdyby do miasteczka jesienią 2011 r. przyjechał Philipp Marti, szwajcarski historyk.

Na temat burmistrza wpadł przypadkiem. Pisał o nazistowskich notablach uciekających w kwietniu 1945 r. z Berlina. Wśród nich był Reinefarth. Potem badał ich powojenne kariery i znowu natknął się na jego nazwisko. Postanowił przyjrzeć się esesmanowi bliżej. Biografię „Przypadek Reinefartha” w kwietniu 2013 r. wydano w Niemczech. To pierwsze takie opracowanie. Niemieckich naukowców, którzy co roku produkują kilkadziesiąt świetnych książek o III Rzeszy, kat powstania w Warszawie nie interesował.

Marti przyjechał do Westerlandu jako zwykły turysta. Wynajął pokój w pensjonacie, nie wypytywał o burmistrza na ulicy. Siedział w archiwum. – Interesowały mnie protokoły z posiedzeń rady miasta za rządów Reinefartha. Prowadzono je w bardzo skrótowy sposób, ale to, co się działo w mieście, dokładnie opisywały lokalne gazety. Mieszkańcy zasypywali redakcje listami – opowiada.

Nikt nie powiedział mu wprost, ale czuł, że burmistrz z SS to nie jest dobry temat do rozmów w kawiarni. Jego pracę nagłośnił Stojan, który zabiegał o dofinansowanie badań Szwajcara. W ratuszu przyjęto to z ulgą. Uznano, że skoro historyk jest Szwajcarem, to neutralnie osądzi, co się na wyspie działo, i wokół Reinefartha zrobi się wreszcie cisza.

– W ogóle mnie nie dziwi, że taki człowiek jak Reinefarth został burmistrzem. Wcale nie był obcy, przed wojną często spędzał w Westerlandzie wakacje. Zamożna rodzina żony miała tam dachę. Poza tym był generałem, bohaterem wojennym. To budziło szacunek. Był też bardzo popularny wśród uciekinierów. Potrafił mediować między nimi a miejscowymi – opisuje Marti.

Czy wiedzieli, co ich burmistrz robił podczas wojny? Ci, którzy wiedzieli, byli przekonani, że Niemcy zrobili w Warszawie to, co należało. Bo powstanie na tyłach walczącego z sowietami niemieckiego wojska wywołali zdrazieccy partyzanci. – O przeszłości burmistrza rozmawiano co najwyżej w wąskich kręgach, i to ściszym głosem. To naprawdę było tabu – mówi historyk.

– Gdybym był tu pastorem, gdy żył Reinefarth, na pewno nawiązywałbym do przeszłości w kazaniach – twierdzi Christoph Bornemann, ewangelicki proboszcz w Westerlandzie. Ale przyznaje, że to mało prawdopodobne, by zmusił w ten sposób burmistrza do pokuty. Reinefarth nie chodził do kościoła. Bornemann przybył na wyspę osiem lat po jego śmierci, ale o tym, co burmistrz robił podczas wojny, wiedział doskonale. Jego ojciec latem 1944 r. był oficerem łącznikowym między oddziałami Wehrmachtu a jednostkami SS Reinefartha. Samego generała co prawda nie spotkał, ale widział piekło, które rozpętał na ulicach Warszawy. Obrazy mordowanych setkami cywilów prześladowały go do końca życia. Pastor pamiętał o tych opowieściach, gdy z młodzieżą jeździł do Auschwitz. A kilka lat temu

w muzeum w Bremie zwiedzał wystawę o uwikłaniu niemieckiej policji w nazizm, na której Reinefarthowi poświęcono osobny kącik – był przecież również generałem policji.

– Potrafię zrozumieć, że ludzie z tamtego pokolenia o Reinefarcie nie chcieli rozmawiać. To przez wojenną traumę i wstyd wielu żyło w zakłamaniu, nie dopuszczając myśli, że Niemcy mogli mordować na taką skalę. Wierzyli, że podczas wojny zachowywaliśmy się rycersko – mówi pastor. Rozumie też polityków, którzy wzbraniali się przed rozrachunkiem z przeszłością. – Bardziej niż historia interesował ich klub sportowy – widział piekło, które rozpętał na ulicach Warszawy. – tłumaczy.

Rok temu proboszcz dostał e-maila, w którym Polak z Wrocławia oburzał się, że miasto jeszcze nie policzyło się z Reinefarthem. W pastora coś pękło. Z poparciem rady parafialnej napisał do władz miasteczka apel, by wreszcie zmierzyły się z przeszłością.

– Ruszyła lawina, której nie da się już zatrzymać – mówi dziennikarz Hartmann.

Wyspa dobrobytu

– Bojkotowaliście Reinefartha? – pytam Stojana. – Nie dało się. Musieliśmy współpracować. Byliśmy na siebie skazani – mówi. Burmistrz trzymał do polityka SPD dystans, traktował go wręcz jak wroga. Tuż po wojnie na Sylt trafiło tylu uciekinierów, że wyspie groziła katastrofa humanitarna. Słóczono ich w hotelach i pensjonatach, a także w piwnicach, szopach, koszarach. Brakowało jedzenia. Stosunki między miejscowymi a obcymi były coraz bardziej napięte. Wyspa była zaś bankrutem. Reinefarth, gdy tylko został burmistrzem, załatwił pieniądze na odbudowę kurortu (ministrowie, którzy je przydzielali, też byli członkami NSDAP). Pod koniec lat 50. liczba gości wzrosła dziesięciokrotnie. Nazwisko burmistrza szybko zaczęto przekreślać na „Wohlfahrt”, czyli dobrobyt.

Stojan wspomina, że Reinefarth był niesłychanie skromnym człowiekiem. – Uprzejmy i uczynny, drzwi do gabinetu zawsze były otwarte dla mieszkańców. Pochylał się nad każdym problemem. Pracował za dwóch, nie tylko w ratuszu – był także m.in. prezesem towarzystwa ratownictwa morskiego. A do tego jeszcze prowadził kancelarię adwokacką – wylicza.

Gdy Stojan przekonywał, że trzeba się pozbyć esesmana z ratusza, ludzie pukali się w czoło.



Powstanie Warszawskie – grupa żołnierzy ROA wraz z Niemcami. W środku SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth. 4 września 1944 r.

W 1957 r. na wyspę przyjeżdża ekipa z Monachium, by kręcić film o urokach Syltu i zaangażowaniu burmistrza w rozbudowę kurortu. Gdy rozmawiają z Reinefarthem, słychać mocny bawarski akcent. Burmistrz traktuje ich serdecznie, każde drzwi stoją przed nimi otworem.

Nikt nie podejrzewał, że to przebierańcy pracujący dla NRD, którzy postanowili skompromitować Reinefartha, przypominając jego przeszłość. Kilka miesięcy później do enerdowskich kin wchodzi film pt. „Urlop na Sylcie”. Migawki z plaż i gabinetu Reinefartha przeplatają się na nim ze zdjęciami masowych egzekucji w Polsce.

– Ten, kto zna pana Reinefartha, wie, że świat niesłusznie o nim zapomniał. Przez dwie dekady życia w SS miał numer 56634 – mówi lektor. Burmistrza nazywa „nierozliczonym nazistą” i „katem Warszawy”.

W zachodnich Niemczech wybucha wielka afera. – Jestem wstrząśnięty i oburzony – skarży się Reinefarth dziennikarzom „Spiegla”, zapewniając, że zarzuty są wyssane z palca. Żaden sąd nie skazał go przecież za zbrodnie. Lokalna prasa pisze, że burmistrz padł ofiarą oszczerczej kampanii.

Ale w „Spieglu” jeden z profesorów prawa opisuje spotkanie z Reinefarthem w Warszawie podczas tłumienia powstania. Świadek nie ma wątpliwości, że burmistrz ma na sumieniu tysiące Polaków, do niemieckich prokuratur płyną materiały z Polski dokumentujące zbrodnie. Śledczy muszą wszcząć dochodzenie, lecz ich zwierzchnicy też byli nazistami, więc robią wszystko, by je umorzyć. Dokumenty uznają za fałszywki, profesora, który spotkał Reinefartha w Warszawie – za niewiarygodnego. Na korzyść Reinefartha zeznaje inny kat miasta, generał SS Erich von dem Bach-Zelewski, specjalista od zwalczania partyzantki, który dowodził całą operacją zdławienia powstania. Bach-Zelewski po wojnie przed sądami stawał kilkakrotnie. Miał mniej szczęścia niż Reinefarth, bo w 1963 r. dostał w końcu dożywocie. Ale nie za zbrodnie popełnione podczas wojny, tylko za zamordowanie sześciu komunistów w latach 30. – Do końca byłem człowiekiem Hitlera. Do dziś jestem przekonany o jego niewinności – mówił wówczas jako podsądny.

– Ludziom wydawało się, że nazistowski zbrodniarz jest odrażającym typem. A Reinefarth był kulturalnym, sympatycznym człowiekiem i ich dobroczyńcą. Mieszkańcy Syltu stanęli za nim murem – opowiada Marti.

W 1958 r. esesman zostaje posłem do landtagu. Premier Szlezwiku dwukrotnie bierze go pod uwagę jako ministra spraw wewnętrznych, w końcu był prawnikiem i policjantem.

Pod ochroną CIA

– Co ty tak często jeździsz z Reinefarthem do tej Anglii? – pytał Stojan w latach 50. Hansa Petersena, dyrektora uzdrowiska na Sylcie. Petersen był w SPD, ale z burmistrzem z SS żył w najlepszej komitywie. Miał wiele do powiedzenia w lokalnej gazecie i pilnował, by wokół generała nie było szumu. Z Reinefarthem można było robić niezłe interesy. Dlatego w sporach, które toczył z nim Stojan, szef SPD w mieście, Petersen brał stronę burmistrza.

– Jeździmy do Anglii, bo Londyn bardzo interesuje się odbudową wyspy. Chcą pomóc, inwestować – tłumaczył Petersen.

Prawda wyszła na jaw dopiero w latach 70., gdy Stojan pojechał do Yad Vashem w Izraelu. Otoczyła go wówczas grupka ludzi i rozmowa od razu zeszła na temat Reinefartha. Jeden z żydowskich historyków wyjaśnił mu, że Reinefarth uniknął stryczka, bo chronił go brytyjski i amerykański wywiad.

Wiedział sporo o Sowietach, zostawił w Polsce swoich dawnych konfidentów, którzy na początku zimnej wojny mogli być dla aliantów cenni. Do Anglii Reinefarth jeździł, by dzielić się wiedzą z agentami MI6 i CIA. To oni go oszczędzili, gdy w latach 60. Niemcy zaczęli rozliczać swoich zbrodniarzy.

Historyk Silke von Bremen bardzo chciałyby wiedzieć, o czym Reinefarth informował aliantów. Ale Waszyngton i Londyn niechętnie przyznają się do współpracy z nazistami. Akta ciągle są tajne. Silke nie potrafi pojąć, jak Reinefarth był w stanie schować w sobie te wszystkie wspomnienia z płonącej Warszawy. Czy rozmawiał o tym ze swoją rodziną? Coś musieli wiedzieć. Von Bremen poznała kiedyś jego córkę, która później też została prawnikiem. Podczas ucieczki przed Armią Czerwoną została gdzieś przysypana. Aby ją wydobyć, trzeba było odciąć jej ramię. – Wydawało mi się, że nie tylko przez to jest nieszczęśliwa – mówi.

Stojan mówi, że żona Reinefartha była miłą kobietą. Można z nią było porozmawiać o wszystkim. Tylko tematu polityki i przeszłości męża unikała jak ognia.

W 1962 r. w Niemczech wyszła monografia poświęcona powstaniu, w której odpowiedzialność Reinefartha za zbrodnie była przedstawiona jako bezsporna. Prokuratura wszczęła kolejne śledztwo, landtag pozbawił go immunitetu, a rada miasta w 1963 r. odwołała ze stanowiska.

Reinefarth z braku dowodów został jednak kolejny raz uniewinniony. Do śmierci pracował jako adwokat i notariusz.

Tablica na ratuszu

Radni z Westerlandu długo debatowali o tym, jak rozliczyć się z jego przeszłością. Najpierw na miejscowym cmentarzu obok grobów polskich robotników przymusowych chcieli postawić obelisk ku czci poległych w powstaniu warszawskim. Gdy część polityków zaprotestowała, mówiąc, że rozliczać trzeba się w centrum miasta, a nie na cmentarzach, postanowiono

powiesić na ratuszu tablicę. Kilka miesięcy radni zastanawiali się, czy wspominać na niej nazwisko „Reinefarth”. W końcu postanowili, że tak będzie najlepiej. 31 lipca 2014 r. odstonięto tablicę z następującym tekstem:

„Warszawa, 1 sierpnia 1944 r. Polscy bojownicy ruchu oporu powstają przeciwko niemieckim okupantom. Reżim narodowo-socjalistyczny każe powstanie zdusić. Ponad 150 tys. ludzi zostaje zamordowanych, niezliczona rzesza mężczyzn, kobiet i dzieci odnosi rany. Burmistrz Heinz Reinefarth jako dowódca grupy bojowej był odpowiedzialny za te zbrodnie. Zawstydzeni oddajemy hołd ofiarom i mamy nadzieję na pojednanie”.

Dwa tygodnie wcześniej Reinefartha w specjalnej uchwale potępili posłowie landtagu Szlezwika-Holsztynu.

„Landtag głęboko ubolewa, iż po 1945 r. w parlamencie zasiadł zbrodniarz wojenny. Z całą stanowczością potępia zbrodnie popełnione przez swojego byłego członka Heinza Reinefartha, a w szczególności brutalne stłumienie powstania warszawskiego. Ofiary prosi o wybaczenie”.

Bibliografia

Publikacje zwarte

- Annussek Greg, *Hitler's Raid to Save Mussolini: The Most Infamous Commando Operation of World War II*, Da Capo Press, Cambridge 2006
- Aust Stefan, *Der Baader-Meinhof-Komplex*, Goldmann Verlag, Monachium 2008
- Bar Zohar Michael, Mishal Nissim, *Mossad. The Greatest Missions of the Israeli Secret Service*, Ecco, Nowy Jork 2012
- Beevor Antony, *Druga Wojna Światowa*, Znak, Kraków 2013
- Beevor Antony, *Stalingrad*, Znak, Kraków 2008
- Biddle Wayne, *Dark Side of the Moon: Wernher von Braun, the Third Reich, and the Space Race*, W.W. Norton & Company, Nowy Jork 2009
- Charles Dan, *Between Genius and Genocide: The Tragedy of Fritz Haber, Father of Chemical Warfare*, Jonathan Cape Ltd, Londyn 2005
- Chwałba Andrzej, *Samobójstwo Europy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014
- Czech Danuta, *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu-Brzezince, Oświęcim 1992
- Dachs Johann, *Tod durch das Fallbeil: Der deutsche Scharfrichter Johann Reichhart (1893-1972)*, MZ Buchverlag, Regensburg 2012
- Diedrich Torsten, *Paulus – Das Trauma von Stalingrad: Eine Biographie*, Verlag Ferdinand Schöningh, Paderborn 2008
- Engelmann Roger, *Das MfS-Lexikon: Begriffe, Personen und Strukturen der Staatssicherheit der DDR*, Ch. Links Verlag, Berlin 2012
- Gieseke Jens, *Die Stasi: 1945–1990*, Pantheon Verlag, Monachium 2011

- Hauser Dorothea, *Baader und Herold: Beschreibung eines Kampfes*, Rororo, Lipsk 2007
- Huhn Klaus, *Margot Honecker – die rote First Lady*, Edition ost – Spotless, Berlin 2009
- Klee Ernst, *Das Personenlexikon zum Dritten Reich: Wer war was vor und nach 1945*, Fischer, Frankfurt nad Menem 2005
- Klee Ernst, *Auschwitz, die NS-Medizin und ihre Opfer*, Fischer, Frankfurt nad Menem 2010
- Klee Ernst, *Auschwitz – Täter, Gehilfen, Opfer und was aus ihnen wurde: Ein Personenlexikon*, Fischer, Frankfurt nad Menem 2013
- Klee Ernst, *Das Kulturlexikon zum Dritten Reich: Wer war was vor und nach 1945*, Fischer, Frankfurt nad Menem 2009
- Kowalczuk Ilko-Sascha, *Endspiel: Die Revolution von 1989 in der DDR*, C.H. Beck, Berlin 2009
- Kowalczuk Ilko-Sascha, *Stasi konkret: Überwachung und Repression in der DDR*, C.H. Beck, Berlin 2013
- MacMillan Margaret, *The War that Ended Peace: How Europe abandoned peace for the First World War*, Profile Books, 2014
- Marti Philipp, *Der Fall Reinefarth: Eine biografische Studie zum öffentlichen und juristischen Umgang mit der NS-Vergangenheit*, Beiträge zur Zeit- und Regionalgeschichte, Tom 1, Wachholtz, Neumünster 2014
- Osborne Richard, Herbert Von Karajan: *A Life in Music*, Pimlico, Londyn 2014
- Ostałowska Lidia, *Farby wodne*, Czarne, Warszawa 2011
- Pötzl Norbert F., *Basar der Spione. Die geheimen Missionen des DDR-Unterhändlers Wolfgang Vogel*, Hoffmann und Campe, Hamburg 1997
- Röhl John C.G., *Wilhelm II., Die Jugend des Kaisers 1859-1888*, C.H. Beck, Berlin 2008
- Röhl John C.G., *Wilhelm II.: Der Weg in den Abgrund 1900-1941*, C.H. Beck, Berlin 2009
- Sachslehner Johannes, *Kat z „Listy Schindlera” Zbrodnie Amona Leopolda Götha*, Znak, Kraków 2010
- Schenk Dieter, *Der Chef*, Goldmann Verlag, Monachium 2000
- Seufert Michael, *Der Skandal um die Hitler-Tagebücher*, Scherz, Frankfurt nad Menem 2008
- Skorzeny Otto, *Meine Kommandounternehmen*, Universitas Verlag, Tybinga 2007

- Stiller Werner, *Der Agent: Mein Leben in drei Geheimdiensten*, Ch. Links Verlag, Berlin 2012
- Stuhler Ed, *Margot Honecker. Eine Biografie*, Ueberreuter, Berlin 2003
- Szollosi-Janze Margit, *Fritz Haber, 1868-1934: Eine Biographie*, C.H. Beck, Berlin 1998
- Taubert Klaus, *Generation Fußnote. Bekenntnisse eines Opportunisten*, Schwarzkopf und Schwarzkopf Verlag, Berlin 2008
- Till Bastian, *Sinti und Roma im Dritten Reich. Geschichte einer Verfolgung*, C.H. Beck, Berlin 2001
- Uehling Peter, *Karajan: Eine Biographie*, Rororo, Lipsk 2008
- Waltenbacher Thomas, *Zentrale Hinrichtungsstätten: Der Vollzug der Todesstrafe in Deutschland von 1937-1945. Scharfrichter im Dritten Reich*, Zwilling, Berlin 2008
- Ward Bob, *Dr. Space: The Life of Werner von Braun*, Naval Institute Press, Annapolis 2009
- Will Berthold, *Vollstreckt – Johann Reichhart. Der letzte deutsche Henker*, Goldmann, Monachium 1984
- Wölbern Jan Philipp, *Der Häftlingsfreikauf aus der DDR, 1962/63–1989. Zwischen Menschenhandel und humanitären Aktionen*. Vandenhoeck & Ruprecht, Getynga 2014
- Ayaß Wolfgang, Gilsenbach Reimar, Körber Ursula, *Feinderklärung und Prävention. Kriminalbiologie, Zigeunerforschung und Asozialenpolitik*, Rotbuch Verlag, Berlin 1998

Źródła internetowe

- Bilke, Jörg Bernhard, *Wie der „Schakal“ gejagt wurde - Werner Stillers zweites Buch*, Tabula Rasa Online, 2011, http://www.tabularasa-jena.de/artikel/artikel_3242/
- Brembeck Reinhard J., *Herbert von Karajan Nazi-Dirigent oder Deserteur?*, sueddeutsche.de, archiwum internetowe, 28 czerwca 2007, <http://www.sueddeutsche.de/kultur/herbert-von-karajan-nazi-dirigent-oder-deserteur-1.893530>
- Helmendorfer Erich, *Ich tät's nie wieder, Scharfrichter Reichart ist gegen die Todesstrafe*, zeit.de, archiwum internetowe, 30 październik 1964, <http://www.zeit.de/1964/44/ich-taets-nie-wieder>
- Hendrik Paul, *Ulbricht's helpers: the role of Hitler's army generals in former East Germany*, 25 kwietnia 2001,

<http://www.wsws.org/en/articles/2001/04/ss-a25.html>

- Jürgs Michael, *Gefangen in der Vergangenheit*, tagesspiegel.de, archiwum internetowe, 22 września 2007, <http://www.tagesspiegel.de/politik/geschichte/raf-gefangen-in-der-vergangenheit/1048788.html>
- Krug Alexander, *Anwalt von Josef S. Kontakte zu einer Nazi-Organisation*, sueddeutsche.de, archiwum internetowe, 18 lipca 2008, <http://www.sueddeutsche.de/muenchen/anwalt-von-josef-s-kontakte-zu-einer-nazi-organisation-1.594467>
- Krug Alexander, *Schlamm Schlacht im Gericht*, sueddeutsche.de, 23 lipca 2009, archiwum internetowe, <http://www.sueddeutsche.de/muenchen/ns-prozess-schlamm-schlacht-im-gericht-1.177957>
- Krug Alexander, *Wir haben das Entsetzen nie überwunden*, sueddeutsche.de, archiwum internetowe, 30 maja 2009, <http://www.sueddeutsche.de/muenchen/prozess-wir-haben-das-entsetzen-nie-ueberwunden-1.465946>
- Krug Alexander, *Wir waren halt noch richtige Kerle*, sueddeutsche.de, archiwum internetowe, 17 lipca 2009, <http://www.sueddeutsche.de/muenchen/kriegsverbrecher-prozess-wir-waren-halt-noch-richtige-kerle-1.158262>
- Kulke Ulli, *Wilhelm II. Beischlafdiebstahl mit „Komplikationen des Coitus“*, welt.de, archiwum internetowe, 11 stycznia 2013, <http://www.welt.de/geschichte/article112690035/Beischlafdiebstahl-mit-Komplikationen-des-Coitus.html>
- Otto Jeannette, *Schulsystem in der DDR. Nicht zu retten*, zeit.de, archiwum internetowe, <http://www.zeit.de/2009/46/C-DDR-Schule>
- Prantl Heribert, *Gefangen in den Rastern des Staates*, sueddeutsche.de, 25 maja 2010 r., <http://www.sueddeutsche.de/kultur/horst-herold-gefangen-in-den-rastern-des-staates-1.421867>
- Rathkolb Oliver, *Herbert von Karajan und die NS-Zeit. Völlig gleichgültig*, sueddeutsche.de, archiwum internetowe, 3 kwietnia 2008, <http://www.sueddeutsche.de/kultur/herbert-von-karajan-und-die-ns-zeit-voellig-gleichgueltig-1.260833>
- Stuhler Ed, *Margot Honecker zum 80. Das Wasser war viel zu tief*, stern.de, archiwum internetowe, 17 kwietnia 2007, <http://www.stern.de/politik/deutschland/margot-honecker-zum-80-das-wasser-war-viel-zu-tief-587185.html>

- Sundermeyer Olaf, *Brauner Sand in Westerland*, zeit.de, archiwum internetowe, 30 września 2011, <http://www.zeit.de/wissen/geschichte/2011-09/sylt-reinefarth-nationalsozialismus>
- Wagner Thomas, *If it had not been for 15 minutes*, 2004, <http://radio-weblogs.com/0101986/stories/2002/01/21/iftHadNotBeenFor15Minutes>
- Winter Sophie, *Das Perfide am Gaskrieg war die Panik*, welt.de, archiwum internetowe, 9 kwietnia 2014, <http://www.welt.de/geschichte/article126722164/Das-Perfide-am-Gaskrieg-war-die-Panik.html>
- Die Antennen weit ausgefahren, SPIEGEL-Interview mit Daimler-Aufsichtsrat Wernher von Braun*, spiegel.de, archiwum internetowe, 21 lipca 1975, <http://www.spiegel.de/spiegel/print/d-41458242.html>
- Es hat nicht an Leuten gefehlt. Notfalls mit der Waffe*, spiegel.de, archiwum internetowe, 20 grudnia 1947, <http://www.spiegel.de/spiegel/print/d-41123953.html>
- Exklusiv: Margot Honecker spricht in BILD*, bild.de, archiwum internetowe, 17 kwietnia 2004, <http://www.bild.de/news/2007/news/geburtstag-interview-1693120.bild.html>
- Der Fluch der Göring-Yacht*, sueddeutsche.de, archiwum internetowe, 17 maja 2010, <http://www.sueddeutsche.de/panorama/hermann-goering-der-fluch-der-goering-yacht-1.335077>
- Hitler-Tagebücher: Ein tödlicher Fehler*, spiegel.de, archiwum internetowe, 09 maja 1983, <http://www.spiegel.de/spiegel/print/d-14018078.html>
- Horst Herold Der Terroristenjäger*. stern.de, archiwum internetowe, 17 października 2003, <http://www.stern.de/politik/geschichte/horst-herold-der-terroristenjaeger-514509.html>
- PemperWiki*, <http://www.mietek-pemper.de>
- Reinefarth. Mehr Polen als Pulver*, spiegel.de, archiwum internetowe, 20 września 1961, <http://www.spiegel.de/spiegel/print/d-43366368.html>

Filmy

Der Fall Eva Justin, reż. Valentin Senger, Hessischer Rundfunk, 1963

Generalfeldmarschall Paulus – Der Verlierer von Stalingrad und die DDR,
rež. Peter Pippig, Christian Schulz, Mitteldeutscher Rundfunk,
2011

Inheritance, rež. James Moll, Allentown Productions, 2006

Liebe an die Macht: Margot und Erich Honecker, rež. Florian von Stetten,
Westdeutscher Rundfunk, 2004